cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net nakład 11 867 indeks 211060 #176 01/2021

Dariusz Jarosiński
OSTATNI SZLACHCIC WIELKIEGO KSIĘSTWA LITEWSKIEGO

Piotr Lisiewicz
MŁODY BÓG OD MACZKA

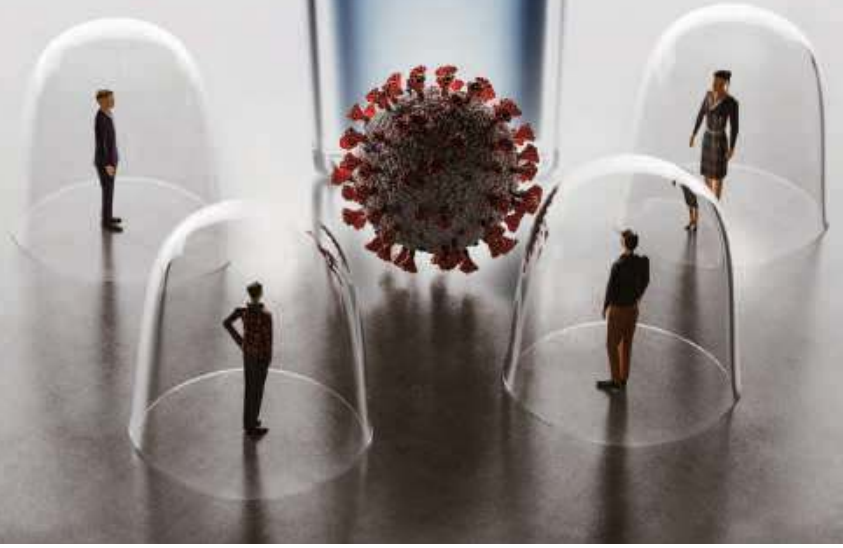
NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO



REMEDIUM

Czy **szczepionka** zwalczy COVID-19?



OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI, FOT. ADOBE STOCK (2)

ISSN 1895-4960

eprasa.pl f4e64891b7

TEMAT NUMERU ▼ 4–13



Pokonać pandemię. Szczepienia szansą na zwalczenie COVID-19 / 4

IDEE ▼ 14–32



Obawy Prymasa Wyszyńskiego, czyli o wadach narodowych Polaków / 14

HISTORIA ▼ 34–62



Młody bóg od Maczka / 34

KULTURA ▼ 64–73



Zamek zawstydzony, że jest zamkiem / 64

ŚWIAT ▼ 74–96



COVID w Amazonii, czyli koronawirus po indiańsku / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Hubert Kowalski
Pokonać pandemię. Szczepienia szansą na zwalczenie COVID-19 4

Ryszard Czarnecki
Trampolina, gilotyna i polityczna gra wokół zarazy 9

Grzegorz Wszołek
Antidotum na choroby. Historyczny rys szczepień 10

IDEE

Jakub Augustyn Maciejewski
Obawy Prymasa Wyszyńskiego, czyli o wadach narodowych Polaków 14

Józef Pałkiewicz
W pułapce gorącego Wschodu 20

Przemysław Żurawski vel Grajewski
Ani triumf, ani zgon. Ocena „kompromisu" zawartego na szczycie UE 26

Małgorzata Matuszak
Kryzys męskości? 30

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Młody bóg od Maczka 34

Dariusz Jarosiński
Ostatni szlachcic Wielkiego Księstwa Litewskiego 40

Ewa Polak-Pałkiewicz
Nie patrz na nas! 46

Agnieszka Kowalczyk
Konie, szable i marsowo dzielne postacie 52

o. Maksymilian Kolbe
Pasteur kontra modny biolog 58

Karol Zbyszewski
Auto i medal 60

Karol Zbyszewski
Natchnienie w archiwum 61

Karol Zbyszewski
Czy potrzebne są drogi 62

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Zamek zawstydzony, że jest zamkiem 64

Krzysztof Karnkowski
Odwaga nagrodzona 69

Sylwia Krasnodębska
Szpiegowski political-fiction Doroty Kani 72

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
COVID w Amazonii, czyli koronawirus po indiańsku 74

Hanna Shen
Chiny powinny zapłacić 82

Antoni Rybczyński
Oblężony Kreml, car paranoik 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Biden, Nord Stream 2 i bezpieczeństwo energetyczne Unii Europejskiej 94

Stałe rubryki



Katarzyna Gójska
Państwa narodowe działają skuteczniej
NA POCZĄTEK 3



Małgorzata Matuszak
Czym jest... początek
KATECHIZM INTELIGENTA 25



Marek Kalinowski
Pieśń podróży
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 63



Olga Doleśniak-Harczuk
Świeczka dla ofiar Breitscheidplatz
Z GLOBALNEGO TYGLA 90



Ryszard Czarnecki
Coś więcej niż sport, czyli...
CZARNECKO TO WIDZĘ 97



Marcin Wolski
Głupota i medycyna
PAPKULTURA 98



Tomasz Sakiewicz
Jeden wirus zmienił wszystko
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
wydawca
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Anita Gargas, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002

NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW
NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

eprasa.pl f4e64891b7



Katarzyna Gójska

Państwa narodowe działają skuteczniej

Głos i znaczenie państwa narodowego zabezpiecza interes jego obywateli, gdy go zabraknie, gdy zostanie zastąpiony decyzjami urzędników wybieranych na zasadach najbardziej korzystnych dla największych europejskich graczy, ogromna część społeczeństw Wspólnoty utraci swą podmiotowość.

Epidemia chińskiego koronawirusa przypomniała o znaczeniu państwa narodowego – naszego własnego, potrafiącego zabezpieczać interes swoich obywateli, działającego na naszą rzecz, a nie bliżej nieokreślonej wspólnoty, w której niby wszyscy jesteśmy równi, a tak naprawdę za każdym razem ktoś dzieli nas na kategorie. Podczas pierwszej fali Unia Europejska patrzyła na rozkręcającą się pandemię jak zahipnotyzowania. Z pola widzenia zniknęli najwięksi brukselscy krzykacze, urzędnicy, których nominację ustalano podczas nieznanych publicznie narad, a nie w wyniku wyborów. Każdy grał na siebie i był w tym maksymalnie bezwzględny. Potem niby wszystko się zmieniło. Pojawiły się wspólne zamówienia – w tym rezerwacje szczepionek. Mogło się zatem wydawać, iż po pierwszych miesiącach epidemicznego szoku wspólnotowa maszyna w końcu wprawiła w ruch swoje powolne tryby. Ale czy na pewno?

Proces dopuszczania do użycia pierwszego preparatu na terenie UE jest o miesiąc opóźniony w stosunku do Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych lub Kanady. Pierwsi zaszczepieni Europejczycy pojawili się wówczas, gdy każdy z wymienionych krajów przekroczył już pół miliona zabezpieczonych pierwszą dawką szczepionki chroniącej przed COVID-19. A przecież to nie jest tak, że w USA podjęto decyzję bez analiz, a w UE jakaś rada mędrców dużo wnikliwiej pochyliła się nad bezpieczeństwem szczepionek. Opóźnienie jest wynikiem biurokratycznej niezborności, a nie troski o zdrowie kogokolwiek. Tymczasem kilka tygodni bezczynności kosztowało kraje Wspólnoty tysiące zgonów, dziesiątki tysięcy ciężko chorujących pacjentów, miliardy euro strat spowodowanych zamrożeniem gospodarki. Trudno zatem mówić o skuteczności w działaniu. Unia Europejska jako federacja byłaby jeszcze mniej efektywna. Albo wręcz gorzej – byłaby efektywna dla jednych – dominujących – a mniej efektywna dla innych, w naturalny sposób będących niższą kategorią obywateli.

> Proces dopuszczania do użycia pierwszego preparatu na terenie UE jest o miesiąc opóźniony w stosunku do Wielkiej Brytanii czy Stanów Zjednoczonych lub Kanady. Zwłoka jest wynikiem biurokratycznej niezborności Unii, a nie troski o zdrowie kogokolwiek.

Głos i znaczenie państwa narodowego zabezpiecza interes jego obywateli, gdy go zabraknie, gdy zostanie zastąpiony decyzjami urzędników wybieranych na zasadach najbardziej korzystnych dla największych europejskich graczy, ogromna część społeczeństw Wspólnoty utraci swą podmiotowość, a tym samym skuteczność w realizowaniu swoich interesów. Zatem w najbardziej żywotnym polskim interesie leży obrona – konsekwentna i bezdyskusyjna – Unii, w której jesteśmy w stanie walczyć o swoje. Suwerenność to nie tylko hasło, to realna obrona praw każdego z nas. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Hubert Kowalski



Pokonać pandemię. Szczepienia szansą na zwalczenie COVID-19

Świat od roku zmaga się z pandemią COVID-19. Niedawno pojawiła się realna szansa na jej pokonanie. Szczepionka może sprawić, że społeczeństwa wrócą do normalnego funkcjonowania. Ta metoda zwalczania koronawirusa to również ratunek dla osób, które są najbardziej narażone na ciężki przebieg choroby i śmierć. Eksperci uważają, że korzyści płynące ze szczepień zdecydowanie przewyższają ewentualne ryzyko.

eprasa.pl f4e64891b7



ILUSTRACJA MARIUSZ TROJNSK. FOT. ADOBE STOCK (2)

eprasa.pl f4e64891b7

W związku z COVID-19 każdego dnia umierają ludzie, głównie starsi i schorowani. Jak podkreślają lekarze, każdy ma prawo, by żyć jak najdłużej i dotrwać do późnej starości. By dać im szansę, potrzebne jest zwalczenie pandemii. Najrozsądniejszą drogą do tego celu są szczepienia. Od początku pandemii badacze z całego świata pracowali nad stworzeniem najlepszego preparatu. Choć prace nie ustają, to efekty już teraz są imponujące.

To nie czas jest problemem

Aby Europejska Agencja Leków (EMA) podjęła decyzję o zatwierdzeniu szczepionki, musi najpierw stwierdzić, że korzyści jej dopuszczenia przewyższają ryzyko. Obecnie korzyścią jest zwalczenie pandemii i w efekcie uratowanie życia milionów ludzi. EMA bierze pod uwagę m.in. jakość, skuteczność, bezpieczeństwo. Dane dotyczące dwóch ostatnich wytycznych są zdobywane dzięki badaniom klinicznym z udziałem ludzi.

Eksperci przypominają, że czas testowania szczepionek jest obecnie krótki m.in. dlatego, że od dawna opracowywano preparaty m.in. przeciw innym koronawirusom. Nowe szczepionki powstały więc częściowo na podstawie wcześniejszych doświadczeń. Obawy części Polaków, którzy nie chcą się zaszczepić ze względu na szybkie tempo prac, skomentował prof. Włodzimierz Gut, wirusolog. – Testowanie nie jest sprawą czasu, lecz wykonania określonych procedur pierwszej, drugiej i trzeciej fazy badań. Jeżeli zostaną spełnione, to szczepionki zostają dopuszczone do użycia – przypominał w rozmowie z „Gazetą Polską" naukowiec. – Liczy się punkt startu i punkt końcowy. Jeżeli wykonane są wszystkie niezbędne analizy, to najmniejszym problemem jest czas ich wykonania – podkreślał prof. Gut.

– Ten wirus wciąż nas zaskakuje, ale główną obawą, niewiadomą jest to, co zostawi po sobie. To przede wszystkim tego powinniśmy się obawiać, a nie tego, co wiąże się ze szczepionką. Wszystko odbyło się zgodnie ze standardami, przeprowadzono badania trzeciej fazy. Tryb ekstraordynaryjny związany jest z faktem, iż mamy do czynienia z czymś, co może nas zaskoczyć. A my nie możemy dać się zaskoczyć. Wszystko wskazuje na to, że technologia, która jest stosowana przy tworzeniu szczepionek, jest bezpieczna – mówił „Gazecie Polskiej" prof. Jarosław Pinkas, specjalista w zakresie zdrowia publicznego.

Podczas grudniowego spotkania prezydenta Andrzeja Dudy z ekspertami, którzy na bieżąco analizują rozwój pandemii, prof. Andrzej Horban, główny doradca premiera ds. COVID-19, również podkreślił, że szczepionka jest dokładnie zbadana, ponieważ przeszła trzy fazy prób klinicznych. – Została dokonana bardzo dokładna analiza wyników tych badań. Zwykle tak jest, że każdy produkt, który jest dopuszczony do obrotu, musi być zatwierdzony po uzyskaniu wyników trzeciej fazy. Dopiero potem praktyka pokazuje, czy występują inne, niespodziewane zmiany czy niespodziewane objawy kliniczne. To się nazywa czwarta faza, ale to jest badanie obserwacyjne, robione na bardzo dużej populacji – mówił ekspert. – Zbieranie doświadczeń właściwie trwa przez lata, ale nie czeka się z rejestracją do uzyskania wieloletnich obserwacji, ponieważ żeby mieć te obserwacje, musi być ta szczepionka używana. Natomiast tutaj ryzyko jest rzeczywiście ograniczone do minimum, a jeżeli zważy się na beneficja szczepień, to nie ma żadnych wątpliwości – mówił prof. Horban.

Między innymi do kwestii korzyści odniósł się również siódmy zespół ds. COVID-19 przy Prezesie Polskiej Akademii Nauk. „Szczepionki sprawią, że: osoby zaszczepione w ogromnej większości przypadków nie zachorują na COVID-19; osoby zaszczepione nawet jeśli się zakażą, to przejdą chorobę łagodnie; osoby zaszczepione nie będą zakażały innych w ogóle lub w rzadkich przypadkach zachorowań będą zakażały w mniejszym stopniu; jeśli zaszczepimy się powszechnie, epidemia wygaśnie" – czytamy w stanowisku naukowców.

Dla dobra wspólnego

Podczas spotkania z prezydentem prof. Pinkas porównał opór wobec szczepień z jazdą tramwajem na gapę. – Ludzie, którzy się nie szczepią, są przekonani, że inni pasażerowie są zaszczepieni – mówił specjalista. W związku z tym uważają, że nie trzeba się szczepić, skoro pozostali w tramwaju są zdrowi. – To kwestia współczesnego patriotyzmu, szczepimy się dla dobra wspólnego, dla dobra całego narodu – mówił prof. Pinkas.

Z kolei prof. Andrzej Horban podkreślił, że szczepienia chronią przed przedwczesną śmiercią. – Wystarczy wspomnieć, że tak naprawdę wszyscy w społeczeństwie są zakażeni pałeczką gruźlicy. I tylko szczepienia chronią przed chorobą, ponieważ pozwalają układowi immunologicznemu kontrolować tego typu infekcje – mówił profesor. Dodał, że szczepienie obywateli jest tańsze niż przeciąganie lockdownu, który w dłuższej perspektywie bardzo niekorzystnie wpływa na życie społeczne.

Eksperci odnieśli się do postulatów zaniechania szczepień na rzecz zniesienia obostrzeń, aby społeczeństwo miało styczność z wirusem i mogło w ten sposób nabyć odporność. Naukowcy uznali, że skoń-

eprasa.pl f4e64891b7

czyłoby się to katastrofą. – Odbędzie się to kosztem odmłodzenia społeczeństwa. Ponieważ 25 proc. ludzi powyżej 80. roku życia umrze, ponieważ 10 proc. powyżej 70. roku życia umrze. To jest ta cena za nabywanie odporności stadnej bez szczepionki – podkreślił prof. Horban.

– Nie żyjemy tylko dla siebie, żyjemy także dla innych, dla tych, którzy są słabi. To nie leży w polskiej naturze, żeby tak do tego podchodzić. Mamy zrobić wszystko, żebyśmy byli zaszczepieni i żeby najsłabsi byli zabezpieczeni. Nie możemy być egoistami w tym kontekście – stwierdził prof. Pinkas.

Podobne zdanie mają naukowcy PAN. „Na to, jak poważne mogą być skutki pandemii, wskazuje liczba zgonów w 2020 roku w stosunku do liczby zgonów w latach poprzednich. W pierwszym tygodniu listopada 2020 roku zmarło o 86% osób więcej niż średnio w tym okresie w poprzednich pięciu latach. W szczególności w grupie powyżej 65 lat umieralność wzrosła o ponad 100%" – piszą eksperci PAN. „Wobec braku szczepienia czy skutecznego leczenia, głównym sposobem walki z COVID-19 były zalecenia higieniczne – maska, dystans, mycie rąk – oraz ograniczenie kontaktów społecznych. To ostatnie wiąże się jednak z koniecznością zamykania całych gałęzi gospodarki, co prowadzi do ograniczenia dostępności dóbr, usług, a także zatrudnienia, i w konsekwencji pozostawia wielu osób bez środków do życia" – podkreślają.

▶ Standardowe skutki uboczne

Z badań przeprowadzonych m.in. przez amerykańską Agencję ds. Żywności i Leków (FDA) oraz samych producentów wynika, że u niektórych osób po szczepieniu pojawił się ból w miejscu wstrzyknięcia, zmęczenie, ból głowy, ból mięśni, dreszcze, ból stawów, gorączka. Objawy występowały głównie po podaniu drugiej dawki i utrzymywały się na ogół do dwóch dni. Pojedyncze osoby skarżyły się natomiast na dłużej utrzymujące się efekty uboczne. Dotyczy to zarówno szczepionki firmy Pfizer, jak i Moderna. Rzadziej i z mniejszym nasileniem występowały objawy u osób powyżej 65. roku życia. Gorsze samopoczucie po szczepieniu mieli młodsi. Amerykańscy eksperci podkreślają, że powyższe reakcje nie różnią się istotnie od skutków szczepionek przeciwko innym chorobom wirusowym. Doświadczenia brytyjskie pokazują, że szczepionki Pfizera nie powinny przyjmować osoby, które w przeszłości miały anafilaksję, czyli nagłą reakcję alergiczną m.in. na szczepionki i leki.

Do kwestii bezpieczeństwa odnieśli się również naukowcy PAN. „Dbałość o bezpieczeństwo jest filarem samego procesu tworzenia szczepionek. W procesie tym uczestniczą wybitni specjaliści z całego świata" – piszą, dodając, że niezaprzeczalnie nauka styka się z wielkim biznesem, ponieważ tylko międzynarodowe koncerny dysponują na tyle dużymi zasobami finansowymi i logistycznymi, aby opracować i wdrożyć nową szczepionkę. „Kwestie bezpieczeństwa są jednak kluczowe także dla koncernów farmaceutycznych, dla których konieczność wycofania z rynku kosztownego produktu z powodu poważnych działań niepożądanych wiązałaby się ze znacznymi stratami i utratą reputacji" – czytamy w stanowisku.

▶ Skuteczność

FDA opublikowała raport dotyczący badań nad uzyskaniem odporności po szczepionce firmy Pfizer. Przeanalizowano dane z trzeciej fazy testów klinicznych, które objęły około 44 tys. osób z różnych państw na świecie. Połowa uczestników otrzymała szczepionkę, a pozostali placebo. Obie grupy dostały dwie dawki w odstępie 21 dni. Z raportu wynika, że po pierwszej dawce skuteczność wynosiła 52 proc., a po drugiej 95 procent. Efekty były widoczne już po 10 dniach. Szczepionka może więc wywołać reakcję odpornościową u 95 proc. osób, które ją otrzymają. Zdaniem naukowców to wystarczy, aby uzyskać odporność populacyjną. Warunkiem jest jednak zaszczepienie się przez zdecydowaną większość społeczeństwa danego państwa.

FDA opublikowała również wyniki badań nad szczepionką firmy Moderna. Wynika z nich, że jej skuteczność wynosi około 94,5 proc., a ochrona jest wyraźnie zauważalna po 14 dniach od podania pierwszej dawki. Badania te przeprowadzono na grupie 15 tys. osób.

Z kolei w brytyjskim czasopiśmie medycznym „The Lancet" opublikowany został recenzowany artykuł naukowy, który potwierdził, że skuteczność szczepionki firmy AstraZeneca i Uniwersytetu Oksfordzkiego wynosi średnio 70 procent. Eksperci podkreślają, że szczepionka ta jest tańsza niż preparaty od Pfizera i Moderny. Może być ona również przechowywana w zwykłych lodówkach, ponieważ nie wymaga bardzo niskich temperatur.

Kwestię skuteczności poruszyli także polscy naukowcy. „Zaszczepienie się przeciw COVID-19 pozwoli na uniknięcie zachorowania na tę chorobę, bądź na łagodniejsze jej przejście. Jest to istotne, bowiem osoby przechodzące COVID-19 łagodniej w mniejszym stopniu zakażają innych. Współgra to z innym celem szczepień, którym jest osiągnięcie odporności zbiorowej i wygaszenie epidemii. Przy założeniu, że osoba zaszczepiona nie choruje i nie zaraża, aby wygasić epidemię wystarczy zaszczepić 60%–70% społeczeństwa" – uważają naukowcy PAN.

eprasa.pl f4e64891b7

Co z ozdrowieńcami?

Według ekspertów nie ma przeciwwskazań, aby zaszczepione zostały osoby, które przeszły COVID-19. Podkreślają jednocześnie, że odporność po przechorowaniu może zaniknąć. Wielu naukowców uważa jednak, że osoby, które przebyły COVID, powinny zostać zaszczepione w dalszej kolejności, ponieważ Polska nie będzie w stanie wykonać szczepień tak dużej liczby ludzi w krótkim czasie. W pierwszej kolejności muszą zostać zaszczepione osoby najbardziej narażone, które jeszcze nie chorowały.

– Chociaż do wcześniejszych badań nad szczepionką Pfizer i Moderna nie rekrutowano ochotników, którzy wykazywali objawy lub byli wcześniej zakażeni, uważa się, że do 10 proc. uczestników badań miało wirusa – powiedział w BBC News dr Moncef Slaoui, główny doradca operacji Warp Speed, inicjatywy administracji Donalda Trumpa mającej na celu wspieranie rozwoju szczepionek na koronawirusa. Dodał, że testowane osoby albo nie miały żadnych objawów, albo miały na tyle łagodne, że pozostały niewykryte.

Istnieje jednak problem z „długodystansowcami", czyli osobami, które skarżą się na złą kondycję organizmu przez długi czas po chorobie. Dostrzega go m.in. David Thomas, profesor medycyny i dyrektor wydziału chorób zakaźnych w Johns Hopkins University School of Medicine. Naukowiec stwierdził w BBC News, że bez jasnego zrozumienia, dlaczego objawy utrzymują się u niektórych pacjentów, trudno jest stwierdzić, czy odpowiedź immunologiczna wywołana szczepionką byłaby korzystna czy szkodliwa. – Osoby cierpiące na przewlekłe stany zapalne wywołane przez covid mogą należeć do kategorii, w której może nie dojść do wzmocnienia układu odpornościowego – powiedział Thomas. Inni naukowcy podkreślają również, że „długodystansowcy" mogą wymagać indywidualnej oceny, aby lekarze mogli ocenić potencjalne ryzyko i korzyści. Postulują, aby ci pacjenci również byli uważnie monitorowani przez dłuższy czas.

Narodowe szczepienie

Narodowy program zakłada, że dobrowolnym i bezpłatnym szczepieniom będą podlegać dorośli i dzieci w wieku od 12 lat. Strategicznym celem jest osiągnięcie poziomu zaszczepienia społeczeństwa, który umożliwi zapanowanie nad pandemią.

Szczepienie jest poprzedzone krótkim badaniem kwalifikacyjnym, aby możliwe było zidentyfikowanie ewentualnych przeciwwskazań. Eksperci podkreślają, że przed wykonaniem szczepienia nie są przeprowadzane specjalistyczne badania, lecz badanie przedmiotowe i podmiotowe, czyli m.in. wywiad w kierunku uczulenia. – Może dojść do czegoś bardzo rzadkiego, ale za to bardzo groźnego, czyli wstrząsu anafilaktycznego – mówił na spotkaniu z prezydentem prof. Horban. Naukowiec dodał, że przed szczepieniem dana osoba musi być we względnie dobrym stanie. Choć szczepionka jest dedykowana również dla osób, które cierpią na inne choroby, to nie można podać preparatu osobie, która skarży się na wzmożone dolegliwości. – To rutynowe działania związane ze szczepieniami – podkreślił ekspert.

> Szczepionka może wywołać reakcję odpornościową u 95 proc. osób, które ją otrzymają. Zdaniem naukowców to wystarczy, aby uzyskać odporność populacyjną.

Niepewne mutacje

Istnieją wątpliwości związane z mutacjami koronawirusa. Nie ma bowiem stuprocentowej pewności, że nowe warianty SARS-CoV-2 nie spowodują obniżenia skuteczności szczepionek. Możliwe, że mutacje zmniejszą efektywność preparatów. Część ekspertów uważa, że w przyszłości może być podobnie jak ze szczepionkami na grypę, które są często modyfikowane. Inni podkreślają jednak, że mutacje koronawirusa nie powodują istotnych zmian w jego materiale genetycznym. Wskazują, że wskaźnik mutacji SARS-CoV-2 jest znacznie niższy niż grypy, co pozwala przypuszczać, że nie będzie konieczności częstych zmian. Nie można jednak całkowicie wykluczyć, że zmiany preparatów będą w przyszłości potrzebne. Naukowcy wskazują, że szczepionki oparte na RNA mogą być łatwo dostosowane do nowej mutacji. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Ryszard Czarnecki

Trampolina, gilotyna i polityczna gra wokół zarazy

Ponoć mamy już siedem szczepionek na COViD-19. Niestety, ani jednej na głupotę.

Gdyby głupota mogła latać, to ruch powietrzny mielibyśmy nad naszym terytorium tak samo intensywny jak przed zarazą. Ci, którzy wyśmiewali pandemię, śmigaliby jak odrzutowce...

Ludzie chcą wierzyć w cudowne właściwości szczepionki. Sam fakt ogłoszenia, iż będzie ona w styczniu, przyniósł wzrost optymizmu w skali kraju. Ludzie po prostu chcą wierzyć, że będzie lepiej – bo musi być lepiej. Stąd też premier Morawiecki ogłaszający po rozmowach z Pfizerem, że po nowym roku ruszą szczepienia, był niczym wyczekiwany prorok Mateusz... Tyle że niektórzy zrozumieli go dosłownie i pewnie zaraz po sylwestrze zaczną pytać, gdzie się mają zgłosić do zaszczepienia.

Szczepionka nie przywróci, niestety, życia tym, którzy zmarli na koronawirusa. W dniu, w którym piszę te słowa, na świecie jest 1 635 352 zgonów – z łącznej liczby przeszło 73,5 mln osób, które oficjalnie zarejestrowano jako chore. Szczepionka nie przywróci też życia naszym zmarłym rodakom, a było ich na dzień 15 grudnia A.D. 2020 – 23 309. Gdzie są teraz ci, którzy bajdurzyli, że pandemia to globalny teatr z ukrytymi celami politycznymi i ekonomicznymi? Część z tych, którzy mówili, że wirus to ściema, nie żyje, bo zmarła na COVID, część milczy, bo zachorowała i wie, że wcześniej bredziła.

Żeby też było jasne: wokół zarazy toczy się globalna gra polityczna, bo jak pisał Thomas Mann: „Nie ma nie-polityki. Wszystko jest polityką". To jedno, a bajanie, że pandemii w gruncie rzeczy nie ma – to drugie.

Brak szczepionki spowodował, że lekceważący pandemię Donald Trump przegrał, jak się wydaje, wybory prezydenckie, bo przecież zanim przyszła, miał wszystkie karty w ręku i był bliski reelekcji. Pandemię zlekceważył również premier Jej Królewskiej Mości – Boris Johnson. Zapłacił za to „tylko" własnym zdrowiem i pobytem na OIOM-ie w londyńskim szpitalu, ale nie utratą władzy. Zapewne dlatego, że akurat w Wielkiej Brytanii nie było w tym roku wyborów. Brak szczepionki nie doprowadził do upadku rządów, które totalnie zlekceważyły koronawirusa – we Włoszech i w Hiszpanii. Pojawienie się remedium przywróci nadzieję milionom mieszkańców Półwyspu Apenińskiego i Iberyjskiego oraz nadzieję tamtejszej rządzącej lewicy na utrzymanie się przy władzy. Prawdę mówiąc, zanim obwieszczono, że jest szczepionka, pojawiła się już dla lewicy w Europie Południowej kroplówka – chodzi o Recovery Fund [koronafundusz – przyp. red.], który jest właśnie dla tych beneficjentów szansą na ekonomiczną trampolinę i uniknięcie politycznej gilotyny ścinającej rządy. Od braku trampoliny do gilotyny droga krótka. Gdyby w Polsce rząd zachował się tak jak władze w Rzymie i Madrycie, to Andrzej Duda, mimo niewątpliwych zasług w ostatnim pięcioleciu, przegrałby wybory prezydenckie. Ale polskie władze jako pierwsze w Europie, obok Danii i Czech, zamknęły granice i zachowały się w sposób poważny i odpowiedzialny – co nie zmienia faktu, że niektórzy ludzie i niektóre firmy chciały na tej sytuacji żerować i żerowały. Także polskie społeczeństwo wykazało się, na tle wielu innych, dyscypliną i dojrzałością.

Władze nie zawiodły, zawiodły może jedynie rządowe symulacje, które sprawdzały się idealnie do czerwca, co i tak jest niezłym wyczynem. Nie przewidziały one rozkwitu pandemii na Górnym Śląsku, wśród górników, a potem nie doszacowały drugiej fali. Trudno jednak za to winić rządowych analityków, skoro żaden think thank, żaden ekspert na świecie nie przewidział precyzyjnie koronawirusowego „up and down".

Słyszymy, że niektóre z tych obiecanych i już przetestowanych szczepionek nie sprawdzają się u ludzi powyżej 65. roku życia. Trzeba to powiedzieć głośno i zdywersyfikować akcję szczepień. Co prawda rząd może i stać, jak premiera Johnsona, na błędy, bo pierwsze wybory w Polsce odbędą się dopiero za niespełna trzy lata, ale o zdrowie narodu trzeba dbać, niezależnie od wyborczego kalendarza. Na szczęście rządzący zdają się o tym wiedzieć. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Grzegorz Wszołek

Antidotum na choroby. Historyczny rys szczepień

eprasa.pl f4e64891b7



Od niemal roku świat zmaga się z pandemią koronawirusa, która przynosi nie tylko ofiary śmiertelne, lecz także najpoważniejszy kryzys zdrowotny oraz gospodarczy od czasów II wojny światowej. Szczepionki dla polskich pacjentów będą dostępne już niebawem. Od dłuższego czasu pojawiają się głosy negujące skuteczność wakcynacji – w mediach społecznościowych roi się od deklaracji odmawiających szczepienia siebie i bliskich z rodziny. Czy słusznie? Historia szczepień dowodzi, że ratują życie i podnoszą jego jakość. Fakty nie pozostawiają wątpliwości.

FOT. TWO

Choroby zakaźne są zmorą człowieka od starożytności aż po współczesność. Związek między przeżyciem choroby a uniknięciem ponownego objawowego zakażenia dostrzegł już w 429 roku p.n.e. grecki historyk Tukidydes, analizując zachorowania na ospę w Atenach.

Niekonwencjonalne sposoby na odporność

Naturalną odpornością zainteresowali się Chińczycy po 1000 roku – w Państwie Środka zastosowano lekarstwo w oparciu o strupy, które zdzierano, osuszano i mieszano z ziołami. Następnie podawano je zdrowym do nosa, by nabrali odporności. W Indiach nakazywano dzieciom noszenie ubrań chorych, by wzmocnić ich układ immunologiczny. Wszystko to miało na celu pokonanie ospy prawdziwej, prowadzającej do śmierci, a w łagodniejszym przebiegu do kalectwa lub oszpecenia. Metoda inokulacji – samozarażenia się – była głównym sposobem radzenia sobie z zarazami w średniowieczu. Niestety, nie zawsze wywoływała łagodne zakażenie, skutek bywał odwrotny do zamierzonego m.in. w postaci wybuchów epidemii i wzrastającej liczby zgonów. W VIII wieku ospa trafiła do Europy, choć towarzyszyła cywilizacji najpewniej od starożytności. Jej znamiona odkryto we fragmentach mumii Ramzesa V, który panował w XII wieku p.n.e. w Egipcie. W Ameryce rozprzestrzeniła się w XVI wieku w wyniku podbojów hiszpańskich konkwistadorów i zdziesiątkowała ludność Azteków. Najeźdźcy starali się nie tylko odkrywać świat i szerzyć oświatę – oprócz pokazu brutalnej siły i rozkwitu handlu niewolnikami, rozprzestrzeniały się nieznane wcześniej rdzennym plemionom choroby: ospa, dżuma, tyfus, malaria, odra czy krztusiec. Szacunki badaczy dziejów nowożytnych wskazują na śmierć aż 90–95 proc. mieszkańców kontynentu amerykańskiego w ciągu 150 lat od pojawienia się tam Krzysztofa Kolumba. Metoda sztucznego wywołania choroby zakaźnej w celu nabycia odporności miała zastosowanie w XVIII-wiecznej Europie. Propagatorką inokulacji była lady Mary Wortley Montagu (1689–1762) – żona brytyjskiego ambasadora w Konstantynopolu. „Ospa, tak śmiertelna i tak powszechna wśród nas, jest całkowicie nieszkodliwa" – pisała w liście do przyjaciela, zrozpaczona, że zaraza oszpeciła jej twarz i pozbawiła życia brata. Po raz pierwszy inokulację wypróbowano na Starym Kontynencie dokładnie w 1720 roku, a chętną do wzięcia udziału w eksperymencie była lady Montagu. Rytuał polegał na pobraniu płynu z pęcherzy ospy i wcieraniu go do rany w zdrowej skórze. Metoda zyskała rzesze wielbicieli w Anglii. Co ciekawe, sztucznemu zarażeniu się ospą poddano pewnego ośmiolatka – Edwarda Jennera. To ten chłopiec przeszedł kilkadziesiąt lat później do historii jako wynalazca szczepionki.

eprasa.pl f4e64891b7

Pierwsze szczepionki – odkrycia Jennera i Pasteura

Jenner opracował pierwszą na świecie szczepionkę. W tym celu wykorzystał wirusa ospy krowiej, którego wstrzyknął chłopcu w 1796 roku. To przełomowa data w medycynie, bowiem od tej pory mówimy o procesie wakcynacji, czyli szczepień. Słowo „wakcynologia", oznaczające naukę o szczepieniach, wywodzi się z łacińskiego słowa „vacca" – krowa. U zaszczepionego ośmiolatka rozwinęła się łagodna postać „krowianki" i – co najważniejsze – jego układ immunologiczny po roku od przebycia choroby stał się odporny na ospę prawdziwą. Nic nie stało zatem na przeszkodzie, by rozpowszechnić szczepienia w Europie, co też nastąpiło w XIX wieku. Na ziemiach polskich szczepienia metodą Jennera wprowadzono w latach 1801–1802. Były one na tyle skuteczne, że Napoleon wydał dekadę później obowiązek szczepień w szkołach, a w drugiej kolejności w wojsku. W Królestwie Polskim szczepiono większość dzieci, ale nie były one obowiązkowe dla wszystkich. Z tego też powodu – jak podaje historyk UJ prof. Andrzej Chwalba w „Historii Polski 1795–1918" – na ospę zmarło 9,5 proc. chorujących w 1911 roku, co stanowiło ogromną przepaść w porównaniu z Niemcami (współczynnik 0,7 proc.) czy Szwedami (0,6 proc.). W Królestwie Polskim od 1916 roku szczepienia stały się obowiązkowe, a za próbę uniknięcia kontaktu z igłą groziły kary. W okresie odbudowy Rzeczypospolitej po zaborach, w 1919 roku, wprowadzono ustawę o powszechnym obowiązku szczepień przeciwko ospie prawdziwej. Skuteczność szczepionki Jennera była na tyle wysoka, że po 1980 roku zażegnał tę groźną chorobę zakaźną, co oficjalnie ogłosiła Światowa Organizacja Zdrowia (WHO). Od tamtej pory populacja nie szczepi się przeciwko ospie prawdziwej.

Kolejny przełom w medycynie zawdzięczamy Ludwikowi Pasteurowi. Zupełnie przypadkiem, jak to często bywa u geniuszy, francuski naukowiec odkrył, że czynniki zewnętrzne – takie jak temperatura – osłabiają moc wirusów. Asystent Pasteura zapomniał o pozostawieniu w laboratorium zarazków cholery drobiu, które miały wylądować w organizmach kur. Stało się inaczej: hodowlane bakterie, wstrzyknięte ptakom, nie wywołały u zwierząt choroby. Pasteur opracował szczepionki na wściekliznę (1885 rok) i wąglika (1881 rok). Uznaje się go za pierwszego chemika, który wyprodukował szczepionkę z surowicy, przygotowaną w laboratorium w ścisłym reżimie naukowym. Pierwszym człowiekiem zaszczepionym na wściekliznę był dziewięciolatek po pogryzieniu przez psa. Nie trzeba dodawać, że odkrycie Pasteura uratowało życie ludzkości i od początku stanowiło skuteczną broń przeciwko chorobie. Historycy podają, że na ponad 1700 zaszczepionych przeciwko wściekliźnie w latach 80. XIX wieku zmarło zaledwie kilka osób.

Polscy geniusze od szczepionek

W pierwszej połowie XIX stulecia jedną z największych epidemii była zaraza cholery, która dotknęła cały świat. Jej pojawienie się wykorzystali Rosjanie w wojnie z Persami – oddziały nieprzyjaciela zostały zdziesiątkowane przez cholerę. Zwycięstwo okazało się jednak „pyrrusowe" – wojska rosyjskie poddały się chorobie, która w zawrotnym tempie rozprzestrzeniła się we wszystkich krajach Europy. Nieskuteczne okazały się stworzone w panice kordony sanitarne ani tym bardziej zabójstwa z desperacji dokonywane na zakonnikach i personelu medycznym, oskarżanych przez masy społeczeństwa o celowe wzniecanie epidemii. Cholera powodowała ostre biegunki, które w konsekwencji doprowadzały do odwodnienia organizmu i zgonu. W trakcie epidemii zmarły znane postaci epoki – m.in. pruski teoretyk wojny gen. Carl von Clausewitz czy niemiecki filozof Georg Wilhelm Friedrich. W latach 30. XIX wieku cholera dotarła do Stanów Zjednoczonych i Kanady, a migracje przeniosły zarazę na kontynent afrykański i do Australii. W straszliwym, epidemicznym wieku choroba pochłonęła 40 mln ludzkich istnień. Cholerę i dżumę udało się ograniczyć dzięki badaniom niemieckiego lekarza z Wolsztyna – Roberta Kocha. Odkrył on prątek gruźlicy w 1882 roku, a także przecinkowca cholery rok później. Do jego odkryć biologicznych należą zarazki wąglika i gronkowców. Gruźlica – nazywana w XIX wieku suchotami – atakowała płuca, wywoływała bolesne objawy: plucie krwią, wysoką gorączkę, kaszel i natychmiastową utratę wagi. Częściej chorowały na nią biedniejsze warstwy społeczne. W Polsce epidemia gruźlicy najmocniej dała się we znaki w Łodzi i miastach kresowych. Gdy w Berlinie i Londynie wskaźnik zachorowań nie przekraczał 200 przypadków na 100 tys. mieszkańców, w Łodzi ten współczynnik wynosił 389 osób, natomiast w Warszawie – 289. Szczepionkę na gruźlicę (BCG) podaje się od 1921 roku – od tamtej pory preparat zaaplikowano 3 mld ludzi. W Polsce prace nad produkcją surowicy trwały dwa lata w Państwowym Zakładzie Higieny. W 1926 roku rozpoczęto wreszcie szczepienia przeciwko gruźlicy – obecnie to najbardziej popularna szczepionka na świecie, a ponadto uważana jest za bezpieczną. Noworodkom aplikuje się ją tuż przed opuszczeniem oddziału neonatologicznego. Jedynym wyjątkiem są dzieci ze znaczącym obniżeniem odporności, które mogą cierpieć na niepożądane odczyny poszczepienne.

Swój wkład w rozwój wakcynologii wnieśli Polacy, o czym rzadko się pamięta. Bakteriolog Odo Bujwid w 1886 roku założył pierwszą stację szczepień przeciwko wściekliźnie na ziemiach polskich, która mieściła się w jego mieszkaniu przy ul. Wilczej w Warszawie. Z kolei

eprasa.pl f4e64891b7

pochodzący z Lwowa Rudolf Stefan Weigl wynalazł w 1931 roku szczepionkę przeciwko durowi plamistemu – chorobie przenoszonej przez wszy i pchły. Przy produkcji preparatu wykorzystał owady, a badania prowadził w głównej mierze w obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. Wyróżnić należy również zmarłego przed siedmioma laty Hilarego Koprowskiego. Warszawski lekarz-immunolog był twórcą pierwszej szczepionki przeciwko polio, czyli wirusa wywołującego chorobę Heinego-Medina. Dostaje się on do organizmu drogą pokarmową lub rzadziej kropelkową i atakuje przede wszystkim nasz układ nerwowy. Bakterie polio w ludzkim organizmie powodują nierzadko porażenie lub niedowład mięśni, a w najcięższych przypadkach prowadzą do zgonu. Szczepionkę wynalezioną przez Koprowskiego podaje się zazwyczaj w liczbie czterech dawek przez skórę lub doustnie w pierwszych 18 miesiącach życia oraz po 6. roku życia. Odstępy między poszczególnymi dawkami szczepionki powinny obejmować czas od 6 do 8 tygodni. Aby uzyskać pełną ochronę dziecka, wskazane jest podanie czterech dawek szczepionki, zaś tzw. dawka przypominająca podawana jest w 6. roku życia. Szerokie zastosowanie szczepionki sprawiło, że od ponad 40 lat w naszym kraju nie odnotowano przypadku zakażenia chorobą zakaźną poliomyelitis.

Po II wojnie światowej ludzkość doczekała się szczepionek przeciwko odrze, śwince, ospie wietrznej, różyczce oraz wirusowemu zapaleniu wątroby typu B i A. W latach 1955–1963 opracowano kalendarz szczepień w Polsce, co zbiegło się w czasie z masową akcją szczepienną przeciwko błonicy, tężcowi, krztuścowi i polio na bazie już zdobytych doświadczeń w zwalczaniu ospy prawdziwej i gruźlicy. Terminarz na przestrzeni lat podlegał modyfikacjom, a to na skutek zmieniającej się sytuacji epidemicznej na polskich ziemiach, a to z powodu ekonomii i poglądów na temat zdolności organizmu do wytworzenia przeciwciał. Po transformacji ustrojowej szczepienia przeniesiono ze szkół do specjalistycznych poradni. W 1994 roku Polski Zakład Higieny utworzył Program Szczepień Ochronnych z podziałem na szczepienia obowiązkowe, które są całkowicie bezpłatne i zalecane z odpłatnym skorzystaniem z preparatów.

▶ Świat bez szczepień?

Jak wyglądałby świat bez szczepionek, które wzbudzają tak ogromny lęk u grupki społeczeństwa, potocznie zwanej „antyszczepionkowcami"? Uzmysławia nam to skala zachorowań i zgonów podczas grypy „hiszpanki", która pochłonęła od 50 do nawet 100 mln ofiar w latach 1918–1920. Wywoływał ją najgroźniejszy w dziejach szczep wirusa H1N1. Najbardziej zadziwiło medyków to, że atakował on przede wszystkim młode i w pełni zdrowe osoby w wieku od 20 do 40 lat. Do pojawienia się grypy, która śmiertelnym żniwem przewyższyła liczbę zmarłych w wyniku I wojny światowej, powszechnie sądzono, iż choroby zakaźne są zmorą tylko dla starszych i już obciążonych. „Hiszpanka" zdezaktualizowała ten pogląd i wręcz wywróciła go do góry nogami. Podatne na zgon były osoby z silnym układem odpornościowym tuż po tym, gdy zaraza zniszczyła płuca. Badania nad wirusem grypy zintensyfikowano w Stanach Zjednoczonych w latach 30., gdy wyodrębniono trzy typy: A, B i rzadszą odmianę C. Szczepionkę przeciwko grypie wynaleźli Thomas Francis i Jonas Salk. Jako pierwsi skorzystali z niej amerykańscy żołnierze, którzy z doświadczenia lub opowieści rodzinnych wiedzieli o zasięgu „hiszpanki". Nie wynaleziono jeszcze w pełni skutecznego i jednego preparatu na grypę, a szczepienia prowadzi się sezonowo co roku w celu minimalizacji potencjalnych skutków choroby lub całkowitej eliminacji wirusa.

W ostatnich latach wynaleziono w końcu szczepionkę na wirus Ebola – Europejska Agencja Leków pod koniec 2019 roku dopuściła do obrotu specyfik o nazwie Ervebo. W latach 2014–2015 choroba wywoływana zarazą doprowadziła do śmierci ponad 11 tys. osób na 28,6 tys. przypadków zakażeń w Afryce Zachodniej. Wciąż trwają poszukiwania skutecznej szczepionki na HIV, obejmujące już 30 lat z okładem badania kliniczne. Wirus tak szybko mutuje, że układ immunologiczny zarażonego jest bezradny. Niestety, nauka również – nieodkryta natura HIV znacząco utrudnia wynalezienie antidotum. O ochronie powinni zawsze pamiętać podróżujący do egzotycznych krajów, takich jak państwa afrykańskie, Indie, Tajlandia czy Chiny. Choć nie są szczepieniami obowiązkowymi, to dodatkowo zalecają je lekarze po indywidualnej konsultacji. Najczęściej wskazane jest przyjęcie preparatów na żółtą febrę, wirusowe zapalenia wątroby, zakażenie meningokokami i kleszczowe zapalenie mózgu.

W rekordowym tempie powstały szczepionki na koronawirusa. Dwie z nich – Pfizer i Moderna – będą dostępne w Polsce. Producenci gwarantują wysoką skuteczność preparatów, przekraczającą 90 proc. Jako pierwsza na świecie zaszczepiła się Wielka Brytania, a głosy stamtąd płynące wlewają w serca nadzieję na powrót do normalności. Z pewnością czeka nas największa operacja logistyczna w historii szczepień. Jeśli traktujemy naukę o dziejach jako najlepsze z możliwych doświadczenie oraz klarowną wskazówkę na przyszłość, to nie pozostaje nam nic innego, jak się zaszczepić, gdy szczepionki będą dostępne na rynku. Tego wymaga odpowiedzialność nie tylko za nasze zdrowie, lecz przede wszystkim za naszych najbliższych z grup ryzyka. Bez szczepionek niemożliwe stałoby się pokonanie zdecydowanej większości chorób zakaźnych i uniknięcie groźnych powikłań. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Jakub Augustyn Maciejewski



OBAWY PRYMASA WYSZYŃSKIEGO, CZYLI O WADACH NARODOWYCH POLAKÓW

W kwietniu 2020 roku odwołano uroczystości beatyfikacyjne kardynała Stefana Wyszyńskiego, które prawdopodobnie w 2021 roku także się nie odbędą. Czy prymas nie zasłużył na większe przygotowania, czy to raczej my zaniedbaliśmy Jego idee, tak że dziś nie potrafimy odnaleźć ani Jego, ani siebie?

FOT. NAC

eprasa.pl f4e64891b7



W Polsce wydano kilkanaście tysięcy publikacji, w których możemy przeczytać zarówno o Prymasie Tysiąclecia, jak i jego naukach. Był tytanem pracowitości, więc pozostawił po sobie gigantyczny dorobek, do dziś opracowywany, redagowany, publikowany. Jako że opiekował się Kościołem w Polsce przez 32 lata, można czerpać z jego myśli w niemal każdej dziedzinie życia społecznego i duchowego. Warto przyjrzeć się tym mniej znanym ideom Prymasa Tysiąclecia, bo jego mądrość i doświadczenie pozostawiły gotowe recepty na wiele palących nas dzisiaj problemów.

Wielka Nowenna Jubileuszu Chrztu Polski

Oczywiście że największym dziełem Wyszyńskiego, życiowym wyzwaniem, po którym powiedział, iż „najważniejsze ma już za sobą", była Wielka Nowenna Jubileuszu Chrztu Polski. Przez dziewięć lat każda diecezja, każda parafia w Polsce miała pod kierunkiem kardynała Wyszyńskiego prowadzić program duchowo-formacyjny, zakończony uroczystościami 3 maja 1966 roku (tysiąc lat po chrzcie Mieszka I). Każdemu rokowi Nowenny przyświecało inne hasło, ku któremu szły rozważania, rekolekcje i publikacje, życie katolików koncentrowało się na konkretnych naukach, by wzmocnić swoją religijność, przywiązanie do Chrystusa, Maryi, Kościoła, Polski i rodziny. I tak na przykład w II roku Nowenny (1958/1959) nauczano o „Narodzie wiernym łasce" – życiu w łasce Bożej i przeciwstawianiu się każdemu grzechowi. Rok później mówiono o „Życiu jako światłości ludzi", później zaś o małżeństwie, wspieraniu rodziny, młodzieży. Ostatni rok (1965–1966) był rokiem maryjnym, zatytułowanym przez Prymasa: „Weź w opiekę Naród cały" – cześć Maryi jako Królowej Polski.

Przekornie patrząc na dzieło Kościoła w Polsce, to właśnie idei Nowenny zawdzięczamy w Polsce westerny, kolorowe pikniki i 1000 szkół na tysiąclecie państwa polskiego. To właśnie program Wyszyńskiego wymusił na władzy komunistycznej zorganizowanie kontrobchodów, aby zrównoważyć społeczny wpływ Kościoła – z tej rywalizacji między Gomułką a Wyszyńskim to ten drugi wyszedł zwycięsko, ale paradoksalnie tysiąc szkół czy hollywoodzkie filmy w kinach (miały odciągać od pielgrzymek) były wartością, na które PRL musiał, w swej desperacji, się zgodzić.

Jednak Wielka Nowenna, trwająca dziewięć lat, która docierała nawet do najmniejszych wsi w Polsce na przykład poprzez peregrynację kopii obrazu Matki Bożej Jasnogórskiej, propagowała myśl Wyszyńskiego, która zaświtała mu jeszcze przed wojną, a którą podnosił aż do końca swoich dni w 1981 roku. Zanim jednak opowiemy o tym, co zdaniem Prymasa Tysiąclecia jest szczególnym zadaniem Polaków, przypomnijmy jeszcze, w jaki sposób hierarcha potępiał aborcję.

Nawet trawa mówi: „chcę żyć"

W programowej ateizacji społeczeństwa w PRL znalazło się miejsce dla upowszechniania aborcji – można jej było dokonywać bodaj łatwiej niż dostać się do stomatologa. W licznych dyskusjach ze swoimi bliskimi i współpracownikami kardynał Wyszyński żalił się, że ówczesna Polska pozwalała na masowe zabijanie nienarodzonych dzieci. Andrzej Micewski, jego pierwszy biograf (później okazało się, że także tajny współpracownik Służby Bezpieczeństwa), wspominał, jak wiele razy w zwykłych rozmowach prymas przypominał o rosnących statystykach aborcyjnych, często mówił o tym w homiliach, pisał w listach pasterskich i wielu innych dokumentach. Wbrew wyobrażeniom antyklerykałów Wyszyński do obrony życia poczętego nie używał argumentów jedynie religijnych – pokazywał, że logika, etyka, estetyka, a nawet psychologia i ekonomia (!) uzasadniają konieczność posiadania dzieci bez względu na pozorne trudności. 3 maja 1977 roku wołał z wysokości Jasnej Góry: „Cały świat woła głosem wielkim: chcę żyć. Rwie się ku życiu zamarzły potok i zeschła trawa, i nagie drzewo. Rozpaczliwym głosem wołają wszystkie szpitale i kliniki: Pozwólcie nam żyć! Ratujcie moje życie. Cóż dziwnego, że życia konających bronimy do ostatniej chwili". Duchowny wskazywał w swoim wywodzie to, co dziś pokazują proliferzy poprzez happeningi i akcje społeczne: że społeczeństwo bez Boga bardziej skłania się do szacunku wobec byle zwierzaka niż do życia człowieka, życia bezbronnego dziecka. „Jeśli z niechęcią patrzymy na niszczycieli roślin, na dręczycieli ptaków i zwierząt, na znęcających się nad bliźnimi, to jakąż odrazę budzi w nas człowiek, który choć raz zgasił życie ludzkie, choćby to uczynił w nieszczęśliwym wypadku". Przecież tę właśnie hipokryzję aborcjonistów pokazał ostatnio twórca satyrycznego programu pyta.pl, gdy pozyskiwał na ulicy poparcie dla ochrony skrzeku żaby (!), przy jednoczesnej niechęci do ochrony nienarodzonego dziecka. Prymas Wyszyński widział te procesy społeczne i twardo nazywał zabójcze czyny: „Ktokolwiek więc godzi w życie tego maleństwa, gwałci wszystkie prawa i jest winien prawdziwej śmierci; jest zwykłym za-

eprasa.pl f4e64891b7

bójcą, równym temu, którego ścigają kodeksy karne i policja wszystkich państw cywilizowanych". Tylko taka stanowcza ewangeliczna retoryka uniemożliwiłaby radykałom z tzw. Strajku Kobiet mówienia, że walczą nie o aborcję, lecz o wolny wybór – bo dla Wyszyńskiego był to wybór nad życiem ludzkim, do czego nikt nie ma prawa. Wbrew pozorom problem aborcji nie pojawiał się wraz z komunizmem, bo zarówno w świeckich krajach Zachodu ten osobliwy „zabieg" był dostępny, jak i dawne znachorskie praktyki znały metody „spędzania płodu" poprzez odpowiednie trucizny i zioła wywołujące silne skurcze. Walka z aborcją była więc przedmiotem walki Kościoła przez setki lat, choć Wyszyński dodawał do tego także aspekty ekonomiczne, które w państwie materializmu marksistowskiego druzgotały oficjalną narrację „Liczne dzieci, to najwdzięczniejszy spożywca, który walnie przyczynia się do wyrównania między produkcją i spożyciem i dzielnie pokona każdy, zalegający magazyny fabryczne – zapas" – prymas miał na myśli m.in. wieczne rozważania ekonomistów nad nadprodukcją z jednej strony lub niedoborami z drugiej. Według katolickiej nauki społecznej nie dało się tego rozstrzygnąć bez spojrzenia na naturę ludzką – a posiadanie dzieci nie tylo „pokona" nadprodukcję, lecz także będzie osobistą motywacją wszystkich rodziców do bardziej efektywnej pracy. „Jest więc dla kogo pracować. Pomyślmy, jak raduje się rolnik, który wrócił od żniw, gdy patrzy na swoją dziatwę, której nie brak chleba powszedniego. Wielki przyrost ludności jest zawsze bodźcem do postępu gospodarczego, w ten sposób wypełniane jest łatwiej Boże prawo ekonomiczne: Czyńcie sobie ziemię poddaną" – głosił prymas wiernym na tysiącach mszy świętych, jakie odprawiał w całej Polsce. Rodzicielstwo postrzegał jako integralną część życia, która uczy czasem cierpieć, tak jak cierpienie przychodzi wraz z ciężką pracą, wyzwaniami swojego otoczenia, utratą zdrowia, biedą czy wojnami, ale jest też źródłem radości i odpowiedzialności, o czym zresztą całe tomy rozważań wydał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim późniejszy papież – Karol Wojtyła. Dla prymasa rodzina była pierwszą i najbardziej oczywistą próbą życia w świecie doczesnym – jeśli nie poradzimy sobie w rodzinie, jak zatem tworzyć większe wspólnoty? Jak być w pełni człowiekiem, gdy dla doraźnej, chwilowej korzyści czy zrzucania z siebie odpowiedzialności jesteśmy w stanie zabić nienarodzone dziecko?

W obliczu ulicznych zajść w Polsce światło mądrości Wyszyńskiego obnaża przerażającą małość i nieporadność protestujących proaborcjonistów: jak niewiele są w stanie zrozumieć, wziąć na siebie, jak łatwo sięgają po opcję „zabij" lub „ułatw zabijanie", jak bardzo przeczą naturze, logice i pragnieniu dobra i piękna.

Co Polsce jest szczególnie potrzebne

To zadziwiające, jak wiele słów wybitnego hierarchy było poświęcone bardzo przyziemnym i pragmatycznym rzeczom. Wyszyński walczył przecież z alkoholizmem, lenistwem, opowiadał nawet o budowaniu domu i gospodarstwa na wsi. Gdy 26 sierpnia 1980 roku, już podczas strajków w Gdańsku, Polska czekała na podniosłe słowa prymasa, ten wspominał o umiarze, o sumienności w pracy czy o braniu pożyczek. Komuniści zresztą wykorzystali słynną homilię i po raz pierwszy w swojej historii fragmenty wypowiedzi pokazali w telewizji – oczywiście zmanipulowane i wyjęte z kontekstu, tak by widzowie odebrali je jako krytykę strajków.

Zanim jednak zrozumiemy tę prozę życia, o której opowiadał prymas, należy przypomnieć źródła doświadczeń jego pokolenia. Co trzeci ksiądz z jego późniejszej diecezji (lubelskiej) zginął podczas niemieckiej i sowieckiej okupacji. Bieda i nędza polskiego społeczeństwa, wraz z traumą lat wojennych i własnymi grzechami ekstremalnej rzeczywistości wyniszczały ludzi na długo po wojnie. Polakom, zdaniem Wyszyń-

> KARDYNAŁ WYSZYŃSKI POZOSTAWIŁ NAM MAPĘ CZŁOWIECZEŃSTWA I WSKAZAŁ, CZEGO UNIKAĆ – LENISTWA, LEKKOMYŚLNOŚCI, DŁUGÓW, ROZWIĄZŁOŚCI ITD. – I DO CZEGO DĄŻYĆ: MIŁOŚCI, WIARY, SZACUNKU, PRACOWITOŚCI, ALE TEŻ DOBROBYTU.

eprasa.pl f4e64891b7

skiego, groziło wynarodowienie, wypłukanie z wiary, kultury i człowieczeństwa.

Zaskakujące były słowa, które prymas Wyszyński wypowiedział do papieża Piusa XII w 1957 roku: „dla Kościoła komunizm nie jest problemem sojuszów politycznych, ale problemem moralnym. Indyferentyzm mas jest groźniejszy dla Kościoła niż komunizm, bo ten indyferentyzm zabija religię w sercach, a komunizm zmusza do walki, walczy sam przeciwko sobie tam, gdzie rządzi". Czyli hierarcha nie tyle bał się wojującego komunizmu, nie tyle ideologia marksistowska miała zagrażać katolikom, ile społeczna apatia, bylejakość, zniechęcenie do życia, aktywności, rozwijania swojego ducha, ciała i otoczenia.

Tutaj Wyszyński przeszedł pewną metamorfozę – jeszcze przed wojną był znany jako duszpasterz robotników i autor antykomunistycznych, antybolszewickich broszur. To właśnie w komunizmie widział największe zagrożenie. W 1938 roku, zirytowany postawą polskich intelektualistów zapraszających i promujących sowieckie filmy i malarstwo, młody ksiądz Stefan Wyszyński pisał: „W Sowietach rozpoczął się kryzys człowieka, może boleśniejszy niż kryzys piatiletki. Do takiego kryzysu doprowadzi każdy ustrój bez chrześcijaństwa. Zmiana ustroju, która nie polepsza człowieka, jest bez znaczenia dla społeczeństwa. Jest to ostrzeżenie, by nie budować domu na piasku, by nie zachwycać się cywilizacją odartą z pierwiastków religijno-moralnych, by w przebudowie własnego ustroju, w rozwiązywaniu zagadnień społecznych łączyć reformy gospodarcze z celowością religijną, i tą drogą zapewnić im skuteczność". Po wojnie ta myśl mocno ewoluowała – komunizm był, zdaniem duchownego, siłą, która się sama wyniszczy, ale demoralizacja ludzi mogłaby zupełnie zniszczyć wspólnotę wiernych, naród polski.

To między innymi dlatego, jeszcze jako biskup lubelski, zabraniał duchowieństwu angażować się w antykomunistyczny ruch oporu. Nie karał tych, którzy pomagali partyzantom, ale oczekiwał od księży ciężkiej pracy: odbudowania kościołów, wspólnoty parafialnej, promowania trzeźwości, duszpasterstwa, wysyłał nawet proboszczom instrukcje co do niedzielnych kazań. W ciągu dwóch lat posługi w Lublinie Wyszyński bierzmował 80 tys. młodych ludzi, odwiedził 80 na 230 parafii, założył kilka tytułów katolickiej prasy i kilkanaście stowarzyszeń. Istny pracoholizm był powodowany tym, że naród żył w biedzie i rozbiciu społecznym, trzeba było go odbudować, nie tylko materialnie.

Słowem: Polacy potrzebowali wielkiej dyscypliny, pracowitości, trzeźwości i samorozwoju, by wyrwać się z kryzysu wojny, powojnia i komunizmu.

▶ Walczyć ze słabościami

Drogą tej naprawy narodu miała być oczywiście wiara, aktywność (także w Kościele), zaś patronką tej idei – Maryja, Matka Boża, której Wyszyński oddał naród w niewolę. To słowo zresztą budziło wiele sprzeciwu, ale Prymas przekonywał, że jest to dobrowolna niewola dobroci, a nie narzucone siłą kajdany totalitaryzmu.

I oto gdy Prymas nadal siedział w komunistycznym miejscu odosobnienia w Komańczy, doprecyzowywał tekst „Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego", które miały być nawiązaniem do ślubów Jana Kazimierza podczas Potopu Szwedzkiego.

„Bodaj nigdy tak dobitnie jak teraz nie uświadomiłem sobie tego, jak potężna jest wola Boża, by Jasna Góra była stolicą Chwały Bożej, która rozlewa się na Polskę przez dziewicze dłonie Pośredniczki Łask Wszelkich" – pisał później do generała ojców Paulinów z Jasnej Góry. „Jak ongiś mrowie wojsk najeźdźczych, tak dziś szturmują »Polską Jasnę Górę« istne »potopu świata fale«, wżerając się w mury duszy Narodu nienawiścią Imienia Bożego, pasją grzechu i potwornych nałogów" – dodawał. I oto 26 sierpnia 1956 roku, 300 lat po uroczystości króla Jana Kazimierza, 200 tys. Polaków powtarzało śluby Narodu Polskiego, napisane przez Wyszyńskiego. Samego prymasa nie było – komuniści nadal trzymali go w niewoli, ale on sam kazał ustawić pusty tron prymasowski, by jeszcze wymowniej podkreślić, że to władza go zatrzymała, a on sam jest z nimi duchem i modlitwą.

Lecz oto treść Jasnogórskich Ślubów Narodu Polskiego nie była pompatycznym manifestem religii czy patriotyzmu – odnosiła się wręcz do przyziemnych i podstawowych słabości ludzkich. Polacy bowiem ślubowali wtedy:

„Zwycięska Pani Jasnogórska! Przyrzekamy stoczyć pod Twoim sztandarem najświętszy i najcięższy bój z naszymi wadami narodowymi. Przyrzekamy wypowiedzieć walkę lenistwu i lekkomyślności, marnotrawstwu, pijaństwu i rozwiązłości. Przyrzekamy zdobywać cnoty: wierności i sumienności, pracowitości i oszczędności, wyrzeczenia się siebie i wzajemnego poszanowania, miłości i sprawiedliwości społecznej".

Mamy więc oto schyłek stalinowskiej epoki, za sobą krwawe stłumienie protestów w Poznaniu, początki gry Władysława Gomułki o władzę, a tymczasem Kościół namawia do walki z lenistwem i pijaństwem, przygodnym seksem, namawia do oszczędzania pieniędzy i szanowania innych ludzi. W umysłach ludzi świeckich, skupionych na doczesnościach, taki apel musiałby brzmieć banalnie, ale Wyszyński banalny

eprasa.pl f4e64891b7

nie był. Nieprzypadkowo w czasie swojego aresztowania, a z początku trzymano go w fatalnych warunkach, mówił potem, że „tych lat nie zamieniłby na żadne inne" – bo w odosobnieniu nie tylko cierpiał, lecz także przemyślał drogę dla Polaków, by przeszli przez „morze czerwone".

Wyszyński okazał się tutaj ojcem narodu, autorytetem, który chce podnieść swoich podopiecznych z upadku. Komunizm oferował stworzenie *homo sovieticusa*, pogrążonego w marazmie człowieka skupionego się na tym, jak tu przeżyć od pierwszego do pierwszego, prymas zaś wymagał, by sięgać po pełnię człowieczeństwa. Polityką zajmował się on sam – z Gomułką toczył wielogodzinne spory, pisał protesty i komunikaty, naciskał na wojewodów i ministrów, musiał gasić napięcia wywoływane przez „katolickich" intelektualistów w osobach Tadeusza Mazowieciego, Bolesława Piaseckiego czy Jerzego Zawieyskiego. Ale od swoich owiec domagał się pracy nad sobą.

Strajk kobiet a beatyfikacja

To dlatego z takim niezrozumieniem spotkała się homilia z 26 sierpnia 1980 roku. Prymas później poparł „Solidarność", ale on sam, głosząc przez dekady konieczność wzmacniania siebie i swojej rodziny w Kościele i wspólnocie narodowej, nie mógł nagle zaoferować wskazówek politycznych. Zresztą prymas miał obawy co do politykierstwa – „katolickim" posłom z Koła Znak nie ufał, poglądy Adama Michnika oceniał krytycznie, życiorys Jacka Kuronia także, o ojcu Bonieckim pisał w swoich dziennikach bardzo sceptycznie, o Wałęsie uważał, że ta rola go przerośnie i nie on sam podejmuje decyzje. Kardynał chciał tymczasem, by naród się rozwijał bez względu na historyczne zawirowania: „ale to wszystko, jak mówię, wymaga wielkiej rozwagi, roztropności, pokoju i ducha pracy". Wyszyński wskazał na cztery filary, na których Polacy powinni oprzeć swoją dalszą drogę, którą nazwał „rachunkiem sumienia narodowego": 1. Rozwój życia narodowego i korzystania z wolności dla dobra ojczyzny; 2. Ład życia rodzinnego, prymat rodziny i szacunek dla kobiet; 3. Ład życia społeczno-zawodowego; 4. Umiar i stopniowe formułowanie oczekiwań.

Duchowny kilkukrotnie przypominał, że jako Polacy wciąż „jesteśmy narodem na dorobku", i obawiał się, że „będziemy mnożyli tylko długi i pożyczki".

Dla kardynała te palące problemy dotyczyły każdego ustroju, choć oczywiście komunizm wprowadzał dodatkową niewolę – polityczną. Jednak i w kapitalizmie Wyszyński widział podobne zagrożenie, że patrząc na rozwój człowieka przez pryzmat maksymalizacji produkcji i wzrostu statystycznego zysku umknie sprawa pojedynczego człowieka – to na nim się skupiał duchowny.

Można więc powiedzieć, że Wyszyński pozostawił nam mapę człowieczeństwa i wskazał, czego unikać (lenistwa, lekkomyślności, długów, rozwiązłości itd.) i do czego dążyć (miłości, wiary, szacunku, pracowitości, ale też dobrobytu). Podjęcie się drogi wyznaczonej przez prymasa wymaga ogromnej odpowiedzialności i determinacji, dokładnie przeciwne stanowisko widzimy dziś u hord Marty Lempart zafascynowanych konsumpcjonizmem, seksem bez zobowiązań i lekkomyślnymi protestami w czasie kryzysu pandemii.

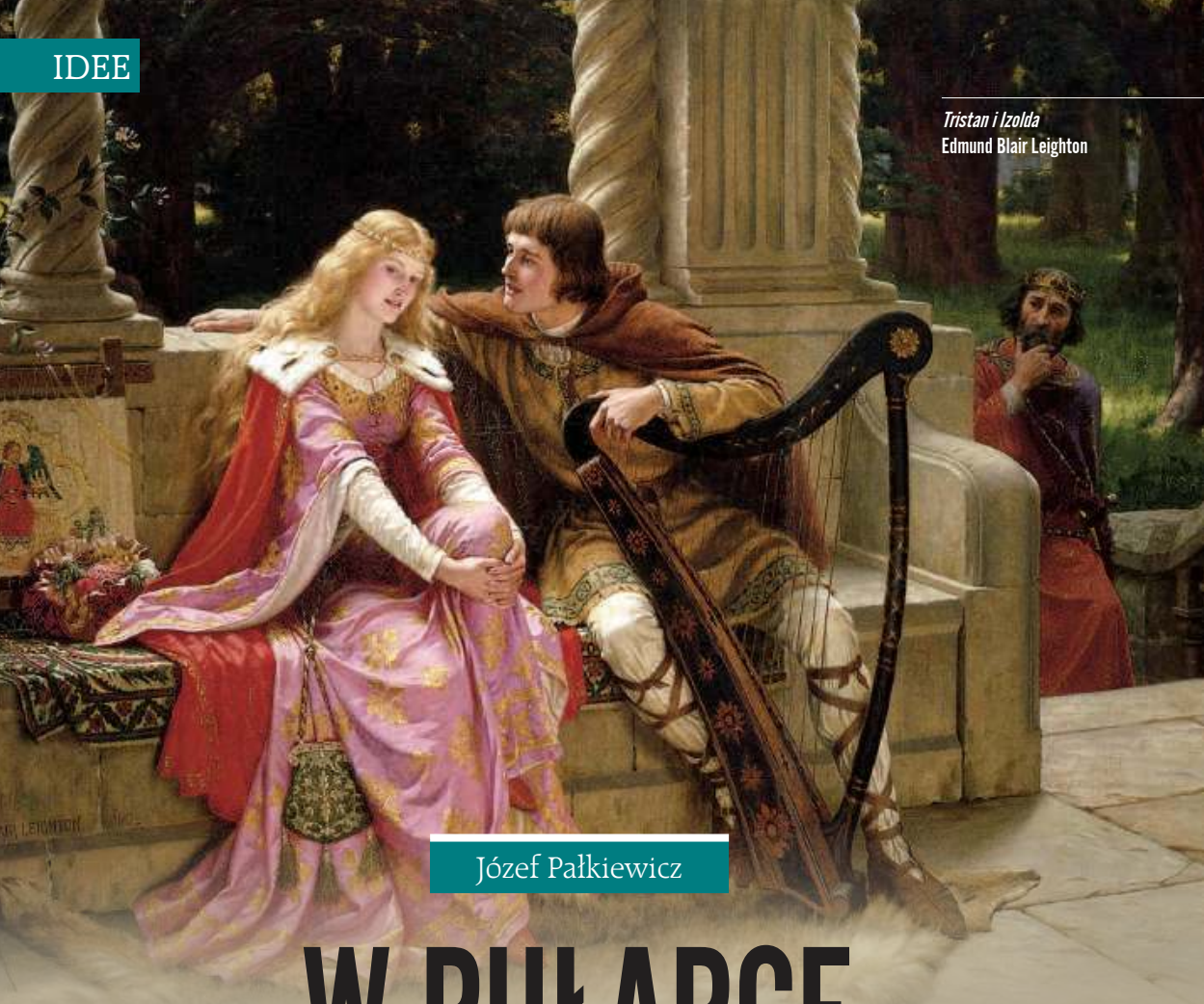
Ale niech ta opowieść nie skończy się tak słodko – bo oto i my, katolicy, nie sprostaliśmy ślubowaniu prymasa.

Kardynał Kazimierz Nycz ogłosił 28 kwietnia, że „Beatyfikacja zostaje przełożona na taki czas, w którym będzie można ją przeprowadzić w sposób uroczysty, godny Prymasa Tysiąclecia". Uroczystość planowano na 7 czerwca i oto pięć tygodni wcześniej pandemia stała się pretekstem do przeniesienia beatyfikacji. Ale cóż do tego czasu zrobiono dla przygotowań? Wszak Sługa Boży Stefan Wyszyński dziewięć lat przygotowywał 30-milionowy naród do tysiąclecia chrztu Polski, a jak my się przygotowaliśmy na jego wyniesienie na ołtarze? Jeśli peregrynacja kopii obrazu Matki Bożej Częstochowskiej trwała 30 lat, to w czym oczekiwaliśmy na wielki dzień Prymasa Tysiąclecia (!), ileż zrobiono? Gdzie kazania, pielgrzymki, zbiorowe modlitwy do Sługi Bożego? Dlaczego nie było powszechnych rekolekcji, pielgrzymek, kościelnych programów edukacyjnych? Czy 7 czerwca odbyłaby się po prostu jedna Msza święta?

Koronawirus pozwolił Kościołowi w Polsce, ale i nam – wiernym – wyjść z twarzą z braku naszych przygotowań, lenistwa, bylejakości, z tego wszystkiego, z czym ks. Stefan Wyszyński walczył. Jako że beatyfikację przełożono na pięć tygodni przed terminem, można się samooszukiwać, że to może w tym czasie, lekko ponad miesiąc, napracowalibyśmy się, namodliliśmy, przemyśleliśmy stan ducha narodowego, by oto wybitny polski duchowny dołączył do grona błogosławionych.

Zamiast beatyfikacji mamy tzw. strajk kobiet – może to więc specyficzny czas, w którym świętej pamięci kardynał daje nam znak, że znowu powinniśmy zabrać się do pracy, do przeprowadzenia – jak to ujął w Jasnogórskich Ślubach Narodu Polskiego – najcięższego boju z naszymi wadami narodowymi. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Tristan i Izolda
Edmund Blair Leighton

Józef Pałkiewicz

W PUŁAPCE GORĄCEGO WSCHODU

Czy współczesny obserwator rzeczywistości, zaniepokojony albo nawet wystraszony rozmiarem i skalą destrukcyjnych zachowań i postaw – przyjmowanych przez coraz szersze grono za normalność, niestety również w Polsce – mógłby przypuszczać, że przyczyną tego kryzysu, nie tylko moralnego, lecz także instytucjonalnego, jest wykrzywiony obraz miłości? Wykrzywiony przez naszą, o zgrozo, kulturę europejską?

eprasa.pl f4e64891b7

Wydawać by się mogło, że sformułowaną na wstępie diagnozę można zaczerpnąć tylko z któregoś z postępowych podręczników autorstwa jednego z „dekonstruktorów", który chce po raz kolejny rozprawić się z kulturowo-religijnym fundamentem, na którym wciąż jeszcze opiera się świat Zachodu. Refleksja ta jednak nie będzie zmierzać w tym kierunku. Mowa tu o zjawisku sięgającym aż XII wieku, a nawet jeszcze bardziej zamierzchłych czasów, które co prawda dokonało się w łonie zachodniej kultury, ale które ze swojego ducha i w swych korzeniach europejskie ani chrześcijańskie wcale nie jest. Jest to raczej rodzaj poważnej wewnętrznej choroby, która z każdym kolejnym wiekiem utrwala się i przynosi coraz bardziej opłakane skutki, została jednak sprokurowana przez kontakt z obcym żywiołem kulturowym.

Kult miłosnej pasji

Dogłębne studium tej choroby przedstawia w książce „Miłość a świat kultury Zachodu" szwajcarski filozof, badacz kultury i literatury, Denis de Rougemont (1906–1985). Jego zdaniem chorobą tą jest kult namiętności jako dominujący sposób postrzegania i przeżywania miłości. Ten miłosny szał, jak określa go de Rougemont, polega na silnym płonięciu uczuciem względem drugiej osoby, z którą realny kontakt – jej widzenie, słyszenie, dotykanie – jest w danej chwili niemożliwy. Obcowanie z nią odbywa się więc w umyśle i sprowadza się do marzeń, silnej tęsknoty oraz stawiania sobie przed oczyma jej wyidealizowanego obrazu. Gdy jednak dochodzi do upragnionego spotkania, cały urok wspaniałych wizji rozpływa się w wyniku konfrontacji z rzeczywistością, która okazuje się wcale nie tak wspaniała, dalece nieidealna. Stąd też prawdziwym celem namiętności nie jest, jak by się mogło wydawać, ukochana osoba, twierdzi de Rougemont, lecz samo odczuwanie, przeżywanie miłosnej pasji. Rozłąka i niedostępność są tym, co ją podsyca, natomiast rzeczywiste przebywanie ze sobą, codzienność i trwanie u boku drugiej osoby, prędzej czy później sprowadzają kres namiętności, przynoszą bowiem odkrycie wzajemnych niedoskonałości, wad i przywar, których akceptacja jest niejednokrotnie bardzo wymagająca. Ta analiza prowadzi autora „Miłości..." do wniosku o nieuchronnym konflikcie namiętności z instytucją małżeństwa, szczególnie gdy namiętność jest postawiona na tak wysokim piedestale. A konflikt ten, jego zdaniem, wpisany jest od setek lat w dzieje cywilizacji i kultury Zachodu i dotyczy jej podstawowych zasad wynikających z chrześcijaństwa. Ono bowiem przekazało Europie, rodzącej się na podłożu Imperium Rzymskiego, wizję kobiety i mężczyzny, złączonych jedyną i nierozerwalną więzią, przypieczętowaną przysięgą dozgonnej miłości i wierności, którą składają oni sobie przed Bożym majestatem. W tak właśnie pojęte małżeństwo w sposób nieunikniony godzi kult miłosnej pasji.

Eros i Agape

Skąd się zatem wziął ów kult namiętności w chrześcijańskiej Europie? Jaka jest naprawdę jego geneza? Pojawił się po raz pierwszy, jak podaje de Rougemont, w miejscu, gdzie zupełnie odmienne spojrzenie na człowieka znajdowało odzwierciedlenie w lirycznej religii manicheizmu – na terenach obecnego Iranu i Iraku. Tam właśnie około III wieku pewien mieszkaniec państwa Partów – Manes (Mani) – wymyślił koncepcję opartą na silnym dualistycznym podziale i rozróżnieniu dobra od zła i ciała od duszy. W jej myśl dusza, która posiadała boską naturę, została zamknięta w więzieniu ciała i skazana na życie ziemskie, które stało się jej największym nieszczęściem. Sposobem na jego przeżycie miało być jak największe zdystansowanie się do elementu cielesnego poprzez oddawanie się ascezie połączonej z nieustannym duchowym pożądaniem Najwyższego Dobra i Miłości. Ta mglista instancja, nazywana również Jednym, a przez de Rougemonta Erosem, miała stanowić ostateczne dążenie i zaspokojenie dusz, które po śmierci łączyły się i rozpływały się na jej łonie. Pragnienie duszy i jej tęsknota za Jednym jest jednak, jak podaje dalej autor, cytując Manesa i jego uczniów Manichejczyków, zakłócane przez doznania zmysłowe, również te dostarczane przez inne stworzenia, a więc również przez miłość ziemską, która może zaistnieć między nimi. Tę, podobnie jak wszelkie inne „ziemskie" poruszenia i sprawy, trzeba całkowicie odrzucić, odwrócić się od niej na rzecz Najwyższej Miłości – Erosa. Manicheizm, jak podsumowuje szwajcarski filozof, jawi się więc jako religia negacji życia, nieustannej tęsknoty i wyczekiwania śmierci. Denis de Rougemont wskazuje też, że ten mistyczny i nihilistyczny rys odnaleźć można w innych, do dziś istniejących religijnych systemach Wschodu – na przykład w buddyzmie i hinduizmie zalecającym dążenie do nirwany, która jest ostatecznym ukojeniem osiąganym poprzez miarowe znieczulanie się na wpływ otaczającego świata.

Jednak naprzeciw Erosa i pokrewnych mu idei wznosi się inna jeszcze, całkiem odmienna koncep-

FOT. WIKIPEDIA

eprasa.pl f4e64891b7

cja Miłości – a jest nią, jak podaje de Rougemont, chrześcijańska Agape. Również ona mówi o pełnym głębokiego uczucia zwróceniu się w stronę Najwyższego Bytu – Boga, ale ta postawa to miłowanie Boga i w znacznej mierze sprowadza się ona do tego, aby być mu posłusznym, gdy wzywa On do miłości bliźniego. W ten sposób właśnie pojawia się nowe, przeciwstawne względem Wschodu, pojęcie bliźniego, który ma być kochanym takim, jakim jest, mimo swoich niedoskonałości i cech, które częstokroć nie odpowiadają pragnieniom i oczekiwaniom. Polem zaś, na którym realizuje się ta miłość drugiego człowieka, jest życie; ono stanowi szansę na osiągnięcie wiecznego szczęścia polegającego na złączeniu się z Najwyższą Miłością. Ta afirmacja życia i człowieczeństwa jako sfery uświęcania się, zdobywania zasług na wieczność, zostaje potwierdzona w niezwykle doniosły sposób poprzez prawdę Wcielenia. Oto bowiem Bóg schodzi na ziemię i przyjmuje naturę ludzką ze wszystkimi jej konsekwencjami, z wyjątkiem grzechu. Pokazuje poprzez własne działanie i uczynki, których adresatami są zazwyczaj ci najbardziej pogardzeni i najmniejsi bliźni, jaką w życiu postawę przyjąć, jak je należy przeżyć. Największym zaś przykładem, który Bóg daje, jest Ofiara na krzyżu, na który pozwala się przybić właśnie z miłości do swoich przyjaciół.

Chrześcijaństwo nie ma więc w sobie nic z manichejskiej ucieczki przed życiem, lecz oczekuje od człowieka, by świadom swojej słabości, z takimi narzędziami, jakie posiada, ale przy pomocy (koniecznej) łaski Bożej właśnie w tym życiu wykuwał sobie drogę do doskonałej szczęśliwości.

▶ Wschodnia pokusa Zachodu

Pojawia się jednak pytanie, które de Rougemont tak oto formułuje: „Jeśli Agape uznaje bliźniego i nakazuje kochać go nie jako pretekst do uwzniośleń, lecz takim jaki jest w swej klęsce i w swej nadziei, a jeśli Eros nie posiada bliźniego – czyż nie jest prawidłową konkluzja, że ta postać miłości, którą nazywamy namiętnością, powinna normalnie rozwijać się tylko wśród ludów, które wielbią Erosa? Na tej zasadzie ludy chrześcijańskie – historycznie rzecz biorąc, ludy kultury zachodniej – nie powinny znać namiętności lub przynajmniej powinny odnosić się do niej nieufnie" (Denis de Rougemont „Miłość a świat kultury zachodniej", Warszawa 1968). Tymczasem, jak wykazuje szwajcarski filozof, kult namiętności rozkwitł szczególnie mocno właśnie w Europie – i to w momencie, w którym, zdawać by się mogło, była ona najbardziej przepojona duchem chrześcijańskim – w XII wieku, kiedy to, jak pisze, małżeństwo zostało sprowadzone do czysto formalnych ram, zaś pozamałżeńska miłość święciła tryumfy.

Przyczyn zaistnienia tej sprzeczności trzeba szukać u schyłku starożytności w powierzchownie przyjętym przez elity rzymskie nauczaniu Kościoła o małżeństwie. De Rougemont pisze, że akceptując święte obrzędy i sakramenty, nie wyrzekły się one swojej pogańskiej wizji związku kobiety i mężczyzny dyktowanej przez instynkty, a dającej przyzwolenie na łamanie przykazania małżeńskiej wierności. Ta właśnie postawa, która z czasem utrwaliła się w sferze obyczajów rycerskiej Europy, stworzyła podatny grunt na danie posłuchu pewnej słodko-smutnej poetyckiej melodii od lat płynącej ze Wschodu.

Rzeczywiście, pod koniec antyku manicheizm zaczął się przedostawać ze swojej kolebki, a następnie z Azji Mniejszej, dalej – w kierunku na Zachód. To rozprzestrzenianie się było efektem działania różnych sekt oraz kościołów tzw. bogomilców na terenach Bułgarii i Dalmacji (obecnej Serbii i Chorwacji), które z czasem zaczęły powstawać również w Rzeszy (Cesarstwie Niemieckim) i we Francji.

I właśnie tam, w sercu średniowiecznego chrześcijańskiego świata, w XII wieku doszło – jak podaje autor „Miłości" – do odrodzenia się Erosa.

▶ „Doskonali" z Montségur

Wieki średnie naznaczone są przez częste i mozolne zmagania, jakie prowadziły władze świeckie i kościelne przeciw herezjom, niejednokrotnie na drodze kampanii wojennych. Ten swoisty sojusz tronu i ołtarza wynikał z tego, że idee wyznawane przez heretyków uderzały nie tylko w prawdy wiary, stanowiąc zagrożenie dla umysłów i dusz (jak konsekwentnie uznawali ówcześni ludzie Kościoła), lecz także w porządek społeczny, na którego zachowaniu zależało książętom i królom. W obliczu takiej właśnie rewolucji na gruncie religijnym i społecznym stanęła wspólnota chrześcijańska w południowej Francji zmuszona stawić tam czoło herezji katarów. Katarzy głosili stanowczy dualizm, podobnie jak manichejczycy i bogomilcy, od których się wywodzili. Świat był dla nich miejscem wygnania dusz, a ciało więzieniem, do którego zostały one podstępnie wprowadzone przez Wielkiego Pyszałka, Demiurga – szatana. Posłużył on się w tym celu iście diabelską przynętą – postacią kobiety, ukazaną duszom w całym swym zmysłowym uroku. Ponownie więc to, co cielesne i ziemskie w całej rozciągłości zostało uznane za przeklęte okowy, z których trzeba się wyzwalać. Służyć temu miały surowe posty (między innymi zakaz spożywania nabiału i mięsa), „sakramenty", jak również całkowita czystość połączona z zakazem

eprasa.pl f4e64891b7

małżeństwa, które z powodu przysięgi wierności oraz aktu małżeńskiego uznawane było za niewłaściwe i zdrożne. Co prawda było ono dozwolone dla niewtajemniczonych tzw. wiernych, jednak „czyści", albo „doskonali", urzeczywistniający ideał Kościoła Miłości, jak mówiono o katarach, praktykowali pełną wstrzemięźliwość – sięgającą nawet do wystrzegania się wszelkiego dotknięcia skóry osoby płci przeciwnej. Najwyższym zaś sprawdzianem wiary była endura, samobójcza śmierć głodowa mająca na celu ostateczne wyzwolenie się ducha od wpływu materii.

Odpowiedź Kościoła, którą było zwołanie krucjaty, a także skierowanie na obszar szerzenia się herezji Inkwizycji wynikała nie tylko ze względów religijnych i społecznych, lecz także – jak się zdaje – zwyczajnie humanitarnych. Henry Charles Lea, bynajmniej nieprzychylny Kościołowi protestancki uczony doby pozytywizmu, w swoim dziele poświęconym historii Inkwizycji („Histoire de l'Inquisition au Moyen Âge") tak odnosi się do decyzji papiestwa o walce z herezją: „Gdyby poglądowi katarów udało się zwerbować większość wiernych, zaprowadziłby on Europę do bestialskich pierwotnych czasów". Należy jednak podkreślić, że zbrojna wyprawa przeciw katarskim zamkom była pewną ostatecznością, po którą sięgnął Kościół. Przez lata bowiem, a właściwie niemal przez całe XII stulecie, próbowano innych dróg: kaznodziejstwa, teologicznej debaty, jak również dyplomacji. Gdy jednak te metody nie przyniosły skutku, a wysłany przez papieża z pokojową misją do katarów legat został zabity, ogłoszona została krucjata. Prowadzona w latach 1209–1229 zakończyła się zwycięstwem krzyżowców i zdobyciem głównej twierdzy-świątyni katarów na górze Montségur.

Sukces ten miał bez wątpienia nie tylko wymiar polityczny, katarzy ze swoimi stronnikami stanowili bowiem znaczącą siłę militarną i ekonomiczną, lecz także religijny. Ten jednak, jak uważa de Rougemont, był tak naprawdę doraźny. Bezpośredni wpływ herezji na ludzi został zażegnany, jednak przesłanie „doskonałych" przetrwało w umysłach.

Prowansalska pieśń o namiętności

A było to, jak wskazuje szwajcarski filozof, przesłanie nieustannej tęsknoty za czymś odległym, nieosiągalnym tu na ziemi, czego doskonałe piękno usiłuje – na próżno! – zaciemnić rzeczywistość; uczucie nieskalane, duchowe, a jednocześnie rozgrzewające serce do czerwoności.

W swojej książce Denis de Rougemont przedstawia pogląd, że ten niewątpliwy kult namiętności został przybrany w pewien kamuflaż i zyskał w ten sposób jeszcze większą zdolność oddziaływania. Było to bowiem przybranie dokonane przez ludzi obdarzonych niezwykłym talentem. Tymi błyskotliwymi charakteryzatorami, a jednocześnie jego krzewicielami byli trubadurzy – poeci, kompozytorzy i wykonawcy utworów w langue d'oc, języku południowej Francji. Wysławiali w nim wzniosłą, dworną miłość – ale w jej nieszczęściu i niezaspokojeniu. „Są tylko dwie postacie w tej liryce: poeta, który tysiąc razy powiela swą skargę – i piękna dama, która zawsze mówi »Nie«". Rzeczywiście, jest ona wiecznie niedostępna, jeśli nie przez swoją odmowę, to z powodu przebywania w jakimś egzotycznym, nieosiągalnym miejscu, albo też z racji swojej zbyt wysokiej pozycji społecznej, nie mówiąc już o tym, że posiada męża. Wszystkie te przeszkody są jednak tylko pożywką dla uczuć trubadura, które stają się w ten sposób jeszcze silniejsze i subtelniejsze, choć bardziej bolesne. Ale właśnie to nieustanne cierpienie i pragnienie jest całym sensem jego miłości, a poprzez to tworzonych przez niego pieśni. Inną ważną cechą odznaczającą to uczucie jest czystość – charakter wyłącznie duchowy, ale jednocześnie pozamałżeński. Małżeństwo bowiem uznane jest jedynie za związek ciał, podczas gdy prawdziwa miłość – będąca, jak wskazuje de Rougemont, porywem Erosa – rozkwita poza jego ramami. Objawia się to u trubadurów drwinami z małżeństwa ukazywanym w sztafażu sztuczności i sprowadzonym do gry pozorów. Poza tymi argumentami, powiązaniami na gruncie ideologicznym, de Rougemont wysuwa również ważkie argumenty historycz-

> CZY KULTURA ROZPASANEJ NAMIĘTNOŚCI NIE JEST TYM, CO NAS NISZY – NIE TYLKO W NASZYM ŻYCIU WSPÓLNOTOWYM, LECZ TAKŻE NAS SAMYCH, JAKO OSOBY?

eprasa.pl f4e64891b7

ne świadczące o związku trubadurów z katharyzmem. Przede wszystkim pokazuje, że ich poezja rozwijała się dosłownie równolegle z tą herezją – w tym samym czasie i w tych samych miejscach – to znaczy na południe od Loary, w Langwedocji i Poitou, a także w Katalonii i Nadrenii. Co więcej, okazuje się, że wielu trubadurów uprawiało swoją twórczość na dworach panów feudalnych, którzy właśnie byli katarami albo wyraźnie sprzyjali herezji. Inni z poetów-pieśniarzy, jeśli nie znajdowali się na stałe na danym dworze, byli serdecznie przyjmowani na katarskich zamkach. Wreszcie w ich utworach często przewijają się zwroty i wyrażenia stosowane w liturgii „doskonałych" będącej sferą niezwykle uroczystą i tajemną, do której dostęp mieli tylko nieliczni.

De Rougemont uważa zatem, że trubadurzy, jeśli sami nie byli katarami, to znajdowali się co najmniej pod ich dużym wpływem. Świadczy o tym przede wszystkim wizja miłości, jaką przedstawiali w swojej poezji, wizja stanowiąca *par excellence* kult namiętności.

I to oni właśnie przyczynili się do przetrwania do dziś katarskiej idei w tym jej wymiarze. Liryka trubadurów, zwana też liryką prowansalską, oczarowując współczesnych jej ludzi pióra z innych obszarów kontynentu, legła bowiem u podstaw całej europejskiej poezji, a przez to – i literatury.

▶ „Cywilizacja wymaga innych podstaw niż romantyczny szał"

Tym sposobem kult namiętności przedostał się do naszej – wychowanków kultury i cywilizacji zachodniej – świadomości. Rzecz jasna proces ten przebiegał przez setki lat – jak podaje de Rougemont – bardzo krętymi nieraz drogami. Wykazuje on jednak w swoim dziele pewną stałą i ciągłą obecność wizji namiętnej miłości w kanonie literatury europejskiej, a przez to i w innych sferach twórczości i życia. Wśród najbardziej emblematycznych autorów, którzy utrwalali tę wizję, znajdujemy między innymi Petrarkę, Szekspira, Racine'a, Rousseau, Stendhala, a także Mozarta i Wagnera. Szczególną rolę i miejsce w tym ciągu de Rougemont przyznaje romansowi bretońskiemu i jego najsławniejszemu przykładowi – „Tristanowi i Izoldzie", dziełu, które jego zdaniem urosło do rangi mitu i przez to z wielką siłą przekazało model dwojga kochanków trawionych przez namiętność, której jednak wyłączną racją bytu jest ciągła rozłąka. Treścią tej powieści jest gwałtowne uczucie dwójki bohaterów przeżywane przez każdego z nich osobno, w oddzieleniu od drugiego; gdy na pewien czas udaje się im ze sobą realnie spotkać, cały pęd i rozmach opowieści słabnie, dając w ten sposób do zrozumienia, że i to uczucie przygasa.

Obecne czasy jeszcze bardziej kultywują i rozbudzają w nas namiętność. Jest już ona jednak wysoce zdegenerowana, co nie miało miejsca albo nie rzucało się tak w oczy u klasyków. Dzisiejszą postacią namiętności – jak pisze dopiero w latach 30. XX wieku de Rougemont – jest cudzołóstwo (nie wyklucza to jednak jej pierwotnego umysłowo-duchowego podłoża) – co stanowi „zasługę" sztuk wizualnych, a przede wszystkim filmu. De Rougemont zauważa, że najchętniej pokazywanym na ekranie tematem jest zdrada małżeńska albo, co sami dziś możemy dodać, tzw. wolna miłość. Karmienie się taką wizją miłości i, siłą rzeczy, adaptowanie niesionych przez nią wzorców jest drogą donikąd, nie tylko z punktu widzenia naszego obecnego czy przyszłego życia rodzinnego, lecz także społecznego i publicznego.

Potężny udział w całym tym procesie pobudzania i rozwijania namiętności ma obraz. Stanowi on w swojej treści, często znacznie odbiegającej od rzeczywistości, a przez to bardziej jeszcze atrakcyjnej, okazję do zapłonięcia wyjątkowo silnym uczuciem. Jednocześnie będąc tylko wyobrażeniem przedmiotu tego uczucia, głęboko daje poznać jego niedostępność i nieosiągalność – co jednak, jak wiadomo, tylko wzmaga całą namiętność. Wreszcie, z racji łatwej osiągalności, na wyciągnięcie ręki, na ekranie smartfona leżącego w kieszeni, obraz daje możliwość wzniecenia w sobie namiętności na życzenie – w dowolnej chwili. Tak można odczytać fenomen mediów społecznościowych – będących namiastką międzyludzkiego kontaktu, między innymi dzięki sile obrazu właśnie – jak również przerażający sukces pornografii – dającej złudzenie, całkowicie sztucznie wywołanej, „miłości".

Czy zatem kultura rozpasanej namiętności nie jest tym, co nas niszy – nie tylko w naszym życiu wspólnotowym, lecz także nas samych, jako osoby? Czy plaga rozwodów i rozbitych rodzin, a także wynalazki współczesnej antycywilizacji – związki jednopłciowe, transseksualizm, aborcje – których sankcjonowania domagają się tłumy na ulicach – nie wynikają właśnie z kultu namiętności, której nie stawia się żadnych granic? Zdaje się ona dziś żądać całkowitego odrzucenia rzeczywistości również w jej normach moralnych.

„Warunkiem przetrwania cywilizacji – jak zauważa de Rougemont – jest powrót do dawnej wizji małżeństwa, niesprowadzającej go do romantycznych wrażeń i doznań". Powrót do dawnej wizji miłości, tej przekazanej przez chrześcijańską Agape, która uświadamia nam nasze miejsce i powinności w trudzie, ale i w prawdziwym szczęściu i pięknie rzeczywistości. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Małgorzata Matuszak

Czym jest... początek

Istnieją różne początki – początki spraw ważkich i tych mniej ważnych, wielkich i małych, wymagające od nas wielkiego wysiłku i takie, które ledwie nawet zauważamy, początki, które wyłaniają się w trybie naturalnym, i te, które zostały wprowadzone w sposób umowny. Każdy jest jednak tym, co najpierw. Od niego bowiem rozpoczyna się ruch, od niego rozpoczyna się wszystko. Raz jeden albo powracając regularnie, nadając rytm, nie tylko naszemu życiu. Przysłowie mówi nawet o tym, że „dobry początek to połowa roboty". Że „początek jest najważniejszą częścią pracy" – pisał Platon.

Wszystko, co ma początek, ma również koniec. Początek i koniec, i to między nimi zdają się konstytuować wszystko, czego doświadczamy w życiu. Również życie ma swój początek, koniec i to, co pomiędzy – to, co życiem nazywamy. Co może dziwić, rzeczowniki „początek" i „koniec", choć przeciwstawne znaczeniowo, pozostają ze sobą w ścisłym związku etymologicznym – oba pochodzą od tego samego przedsłowiańskiego rdzenia (morfemu), w którym mogły występować wymiany głosek: *kon- / *ken- / *čen- / *čěn- / *čьn-. Rdzeń z samogłoską „e" i spółgłoską „č" znaleźć można w wyrazie „początek", a rdzeń z samogłoską „o" występuje w słowie „koniec". Pierwszy oznaczał „zamiar, podejmowanie działania, wstępną jego fazę", drugi zaś „skutek, rezultat, ostatnią fazę".

Początek działania jest ważny, ale również ważny jest jego koniec, domknięcie i rezultat. Koniec bowiem nas mierzy – jawi się albo na naszą miarę, albo nas przerasta. Nie chodzi wszak tylko o to, by coś rozpocząć, ale by zrobić to skutecznie i dobrze. Początkiem działania jest postanowienie, które łączy w sobie pragnienie osiągnięcia czegoś i rozumienie tego, ze względu na to, co się działa – to wspólna decyzja rozumienia i pragnienia. Myśl o pożądanej rzeczy lub jej wyobrażenie skłania człowieka do tego, by poczynił staranie w celu jej osiągnięcia. Ustanowienie celów jest początkiem, ale wytrwanie w ich realizacji jest procesem trudnym i wyboistym. Niekiedy też działamy, ale nasze wysiłki pozostają próżne. W starożytności taki daremny wysiłek zdradzał żałosną niemoc serca bądź rozumu i kojarzony był przy tym z nikczemnością. Był karą od bogów, którzy, chcąc skarcić kogoś dotkliwie, skazywali go na ciągłe powtarzanie działania, które nigdy nie zostanie uwieńczone sukcesem. Na taką karę skazany został na przykład Syzyf, toczący pod górę, wciąż od nowa, wielki głaz, którego jednak nigdy miał nie dotoczyć.

Wszystko ma swój początek i koniec, ale czy swój początek i koniec ma Wszystko? Pytanie o początek Wszystkiego frapowało ludzi od dawien dawna. Tak zrodziła się filozofia. Rzec nawet można, że początkiem filozofii jest filozofia początku. Kiedy odpowiedzi na pytania o początek płynące z mitologii przestały wystarczać, zaczęto pytać o to, co najbardziej pierwotne – o „arche", początek i równocześnie zasadę źródłową leżącą u podstaw wszystkiego, co jest. I tak Tales stwierdził, że początkiem i zasadą wszystkiego jest woda, Anaksymander mówił o bezkresie, a Anaksymenes – o powietrzu. Dla nas, chrześcijan, najważniejszy jest przekaz płynący z Pisma Świętego: „Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię", brzmi pierwsze zdanie Biblii. „Na początku było Słowo. [...] Wszystko przez Nie się stało", pisze ewangelista Jan. W jednym i drugim przypadku chodzi o coś więcej niż o moment czasowy. Właśnie o „arche". Jezus Chrystus jest Początkiem i Końcem, ostatecznym Słowem Boga objawiającym sens dziejów.

Początek Nowego Roku to dla nas czas podsumowań i czynienia postanowień na kolejne dwanaście miesięcy. Cykliczność wpisana jest w nasze życie, a Nowy Rok traktujemy jako symbol przełomu i początku nowego etapu. Nowy początek niesie z sobą nadzieję na lepsze życie, nowe szanse i perspektywy na realizację planów. Wierzymy, że tym razem się uda, bo taki nowy początek to zwycięstwo nadziei i optymizmu nad pesymizmem, a nawet nad realizmem. Nowy początek to także próba odcięcia się od „starego", moment refleksji i rozliczania z sobą samym. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Przemysław Żurawski vel Grajewski

ANI TRIUMF, ANI ZGON

Ocena „kompromisu" zawartego na szczycie UE

Model walki o interesy Polski, który uważałem za optymalny, został w Brukseli 10 grudnia 2020 roku na mocy decyzji negocjatorów polskich odrzucony. Dlaczego tak się stało? Jak wygląda obecna sytuacja? Co zyskaliśmy, co straciliśmy i co może być dalej?

Nie jestem decydentem, lecz analitykiem-doradcą i publicystą. Jako publicysta mam obowiązek traktować moich czytelników poważnie. Nie jestem bowiem propagandzistą i nie mam obowiązku chwalić każdej decyzji rządu, który popieram. Mam natomiast obowiązek wobec współobywateli objaśniać zaistniałą sytuację najlepiej, jak ją rozumiem, podkreślając przy tym, że nie byłem w sali negocjacyjnej w Brukseli i osiągnięty rezultat mogę oceniać wyłącznie na podstawie powszechnie dostępnych informacji. Niektóre rzeczy muszę więc zgadywać.

Zmiana planu bitwy?

Rezultat osiągnięty w Brukseli niczego nie zapewnia, czekają nas dalsze starcia, a to, co stało się 10 grudnia 2020 roku, jest jedynie przyjęciem nowego modelu rozegrania tej batalii. Każdy z wariantów jest ryzykowny – i ten, który rekomendowałem i popierałem publicznie – tzn. twarde weto, i ten, który zgaduję z nowego rozdania – polegający na odłożeniu starcia w czasie. Model oparty na wecie polegał na trzymaniu się zasady poszanowania traktatów i doczekaniu prezydencji portugalskiej, licząc, że nastąpi wysoce prawdopodobny nacisk spragnionego szybkiego napływu funduszy i zagrożonego bankructwem Południa na „skąpą" Północ, by fundusze jak najszybciej odblokować, obojętnie w jaki sposób. Fundusz Odbudowy nie był zaś de facto blokowany przez Polskę i Węgry, lecz przez mainstreamową Północ, instrumentalizującą „kwestię rządów prawa w Polsce". Celem tej instrumentalizacji było zyskanie przez nią pretekstu do zmniejszenia skali obciążeń własnych podatników i jednocześnie stworzenie pod presją kryzysu narzędzia dyscyplinowania finansowego państw, bardzo użytecznego dla „klubu skąpców" także w relacjach z Południem. Zdominowane przez lewicę Południe miało to przełknąć w ideologicznym opakowaniu walki z konserwatywnymi „reżimami Kaczyńskiego i Orbana". Polska mogła jednak liczyć na to, że względy finansowe przeważą nad ideologicznymi i Południe, nie mogąc odblokować Funduszu przez wspólny z Północą nacisk na Polskę i Węgry, zechce zrobić to przez poparcie stanowiska Warszawy i Budapesztu, byleby tylko pieniądze z UE wreszcie do niego popłynęły. W tej logice to stosunkowo słabo zadłużona Polska miała czas, a inne państwa były „niecierpliwe". Ten model walki o interesy Polski, który uważałem za optymalny, został w Brukseli 10 grudnia na mocy decyzji negocjatorów polskich odrzucony. Dlaczego tak się stało? Jak wygląda obecna sytuacja? Co zyskaliśmy, co straciliśmy i co może być dalej?

Przyczyny

Dlaczego tak się stało, nie wiem. Pewnym tropem jest podróż ministra Jarosława Gowina do Brukseli, jego propozycja kompromisu opartego na „deklaracji inter-

eprasa.pl f4e64891b7

pretacyjnej" – formalnie odrzucona przez rząd, ale w istocie pod inną nazwą 10 grudnia przyjęta. Weto wymagało jedności zaplecza politycznego rządu. Inaczej mogłoby być przełamane przez czyhającą na tę okazję opozycję, i to całą, z gardłującą dziś o „zdradzie" Konfederacją włącznie, która 19 listopada 2020 roku nie poparła twardej pozycji negocjacyjnej polskiego rządu. Arytmetyka sejmowa jest nieubłagana. To jednak tylko teoria – zgadywanka – faktów nie znam.

Dotąd Polska stała na stanowisku, że zgodnie z art. 7 Traktatu o Unii Europejskiej (TUE) jedynym organem UE władnym rozpatrywać kwestię przestrzegania praworządności w państwach członkowskich jest Rada Europejska, czyli szczyt UE – spotkanie szefów rządów i głów państw. Na dodatek, zgodnie z zapisem w tymże artykule, decyzja w tej sprawie musi być przez Radę Europejską przyjęta jednomyślnie. Przedmiotem sporu było przesunięcie w projekcie rozporządzenia autorstwa prezydencji niemieckiej i Parlamentu Europejskiego poziomu decyzji z Rady Europejskiej do Rady UE (w składzie ministrów spraw zagranicznych państw członkowskich) i odejście od zasady jednomyślności na rzecz zasady większości kwalifikowanej 55 proc. (15 państw) reprezentujących co najmniej 65 proc. ludności całej UE. Większość taka wyłaniana zaś byłaby – zgodnie z naturą Rady UE – na bazie interesów politycznych państw członkowskich.

Polska zeszła z tej pozycji obronnej, godząc się na oczywiste pogwałcenie traktatów. Jedyna przywołana wcześniej – jeszcze przed szczytem z 10 grudnia – podstawa prawna proponowanego rozporządzenia Rady UE (art. 322 Traktatu o funkcjonowaniu UE – TFUE), jest nieadekwatna – dotyczy budżetu rocznego, a nie siedmioletniego, czyli tzw. Wieloletnich Ram Finansowych UE.

▶ Wartość polityczna i prawna ustaleń przyjętych 10 grudnia

Wypracowanym na szczycie 10 grudnia zabezpieczeniem interesów Polski są konkluzje Rady Europejskiej, z określeniem do czego i w jaki sposób procedura warunkowości ma być używana. Jest w nich zawarte wskazanie, że chodzi o ochronę „przed wszelkiego rodzaju nadużyciami finansowymi, korupcją i konfliktami interesów". Zadeklarowano także obiektywizm, bezstronność, sprawiedliwość i oparcie na faktach oceny stanu praworządności i oświadczono, że Komisja Europejska „zamierza opracować i przyjąć wytyczne dotyczące sposobu, w jaki będzie stosować rozporządzenie, w tym metodykę przeprowadzania przez siebie oceny." Uczyni to „w ścisłym porozumieniu z państwami członkowskimi", które zachowają prawo „wniesienia skargi o stwierdzenie nieważności w odniesieniu do rozporządzenia" do Trybunału Sprawiedliwości UE (TSUE), a wówczas „wytyczne zostaną sfinalizowane po wydaniu wyroku przez Trybunał Sprawiedliwości, tak aby uwzględnić wszelkie istotne elementy wynikające z takiego wyroku [...]. Do czasu sfinalizowania tych wytycznych Komisja nie zaproponuje środków na mocy rozporządzenia".

Górnolotne deklaracje o obiektywizmie możemy skwitować wzruszeniem ramion. Mieliśmy pod dostatkiem przykładów tego, jak jest on rozumiany przez mainstream unijny. Mechanizm z projektu rozporządzenia Rady UE, oprotestowany przez Polskę i Węgry, nie został zmieniony nawet na jotę, został natomiast obwarowany deklaracjami Rady Europejskiej zawartymi w konkluzjach szczytu UE i „instrukcją obsługi" z sugestią, że Komisja Europejska doprecyzuje owe zasady, a w razie ich negatywnej oceny Polska i Węgry będą mogły odwołać się do TSUE. Politycznie rozwiązanie takie wydaje się silne i gdybyśmy mieli prawo ufać w dobrą wolę Niemiec i unijnego mainstreamu, można by je uznać za wystarczające. Niestety dotychczasowe doświadczenia nie dają nam podstaw do zaufania. Przyjęte rozwiązania:

1. spychają Polskę z jedynej twardej pozycji obronnej – tzn. upierania się przy obowiązywaniu traktatów. Powrót do niej stał się niemożliwy, a przynajmniej bardzo trudny, skoro już zgodziliśmy się, że art. 7 TUE można złamać;

2. nie są prawnie wiążące. TSUE nie będzie zobowiązany wziąć ich pod uwagę, a Parlament Europejski i Komisja zawsze będą mogły stwierdzić, że „drastyczność naruszeń prawa w Polsce zwalnia je z gentelmeńskiej umowy";

3. Polska traci dźwignię nacisku na UE w postaci blokowania budżetu. Raz odblokowany, będzie funkcjonował mimo ewentualnych protestów Polski (na przykład przy odmowie ratyfikacji porozumienia przez sejm), choćby wbrew prawu unijnemu, które zostanie zignorowane – tak jak obecnie zignorowano traktaty. (Ten stan właśnie osiągnęliśmy. Rzeczonej dźwigni w praktyce już nie ma).

▶ Wyżej przedstawiona ocena przyjętych rozwiązań bazuje na fakcie, iż:

1. aktami prawnymi UE są rozporządzenia, dyrektywy, decyzje, zalecenia i opinie, przy czym zalecenia i opinie nie mają mocy prawnej (art. 288 TFUE). Konkluzje Rady Europejskiej nie są w ogóle aktem prawnym UE i nie mają jako takie mocy wiążącej. Drastyczność tej uwagi osłabia fakt, że konkluzje najwyższego organu UE mają oczywiście fundamentalne znaczenie polityczne, jako takie są jednak politycznie „plastyczne" – dostosowywalne do „zmiennych

eprasa.pl f4e64891b7

uwarunkowań" i nie można się na nie powołać przed TSUE;

2. art.269 Traktatu o funkcjonowaniu UE (TFUE) wyłącza TSUE z merytorycznego badania praworządności, co zgodnie z art 7.2 TUE jest wyłączną kompetencją Rady Europejskiej. („Art. 269. Trybunał Sprawiedliwości jest właściwy do orzekania w sprawie legalności aktu przyjętego przez Radę Europejską lub Radę zgodnie z artykułem 7 Traktatu o Unii Europejskiej [...] wyłącznie w odniesieniu do przestrzegania postanowień czysto proceduralnych przewidzianych w tym artykule"). Skądinąd stronniczy TSUE, w myśl zaleceń z Konkluzji Rady Europejskiej z 10 grudnia, oceniając propozycje Komisji Europejskiej w kwestii mechanizmu oceny praworządności, o ile zostałyby one zaskarżone przez Polskę i Węgry do tego trybunału, działałby więc ultra vires – tzn. poza swymi kompetencjami.

Orzecznictwo TSUE w kwestii dyrektyw także nie pozostawia złudzeń i brzmi: (Orzeczenie 429/85 TSUE): „Wykładnia przepisu dyrektywy oparta na jego rzeczywistym brzmieniu nie może zostać zastąpiona inną wykładnią opartą na oświadczeniu Rady zamieszczonym w protokole z posiedzenia, na którym dyrektywa została zatwierdzona".

Komisja Europejska jest niezależna w swych działaniach od Rady Europejskiej i nie musi uwzględniać jej konkluzji, co wynika z art. 17 ust. 3. TUE „[...] Komisja jest całkowicie niezależna w wykonywaniu swoich zadań. [...], członkowie Komisji nie zwracają się o instrukcje ani ich nie przyjmują od żadnego rządu, instytucji, organu lub jednostki organizacyjnej".

Oburzenie Sorosa, części Parlamentu Europejskiego i innych krytyków porozumienia, rozczarowanych brakiem perspektywy natychmiastowego ukarania Polski i Węgier, poprawia nam nastrój, ale świadczy jedynie o profesjonalizmie i chłodnej kalkulacji negocjatorów niemieckich oraz stanie emocjonalnym zideologizowanych środowisk lewicowych, chcących szybkiego narzucenia swych poglądów Polakom i Węgrom. Osobną kategorią są Holendrzy, których czekają wybory parlamentarne już 17 marca tego roku. Premier Mark Rutte, którego partia VVD ma 32 miejsca w 150-osobowym parlamencie, obawia się dalszego wzrostu drugiej co do wielkości (20 miejsc) konkurencyjnej eurosceptycznej i antyimigranckiej, a jednocześnie silnie machającej tęczową flagą LGBT, jako elementem „holenderskiej tożsamości" – Partii na rzecz Wolności (PVV). Bardzo chciałby przedstawić swym wyborcom sukces w postaci zaoszczędzenia pieniędzy podatników holenderskich poprzez obcięcie funduszy dla Polski i Węgier (czy kogokolwiek) pod jakimkolwiek pretekstem, co naturalnie nie jest sprzeczne z lewicową agendą ideologiczną obu konkurujących ugrupowań. Holandia będzie więc atakowała Polskę intensywnie przynajmniej do marca.

▶ Wnioski

Kompromis zawarty 10 grudnia 2020 roku:

1. jest zgodą na złamanie traktatów – odejście od art. 7 (tzn. wyłączności kompetencji w kwestii oceny rządów prawa, traktatowo przypisanej jedynie Radzie Europejskiej, działającej jednomyślnie);

2. odkłada wejście w życie pozatraktatowego mechanizmu maksymalnie do lat 2022–2023. Poddaje jego zastosowanie konkluzjom Rady Europejskiej, które nie mają mocy prawnie wiążącej. Oddaje pozatraktatowo rozstrzygnięcie w ręce stronniczego TSUE, a po 2022 roku – działającej na bazie większości politycznej Rady UE;

3. odblokowuje budżet UE ze wszystkimi jego programami, z którego Polska będzie mogła bez przeszkód czerpać do momentu wejścia w życie przyjętego mechanizmu, czyli jak wskazano wyżej – najprawdopodobniej do 2022–2023 roku;

4. odkłada zasadnicze starcie z unijnym mainstreamem na okres przedwyborczy w Polsce, czyli na rok 2023.

Scenariusz wznowienia presji na Polskę z użyciem mechanizmu warunkowości:

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem po decyzji szczytu UE z 10 grudnia jest przeforsowanie mechanizmu dającego władzę decydowania większości kwalifikowanej w Radzie UE, odrzucenie zastrzeżeń Polski i Węgier przez TSUE, wejście mechanizmu w życie po wyborach węgierskich w 2022 roku, a przed polskimi w 2023 roku (a to w celu podzielenia Polski i Węgier) i zaatakowanie Polski za „łamanie praworządności" pod dowolnym pretekstem w roku 2023, w okresie bezpośrednio przedwyborczym. Do tego czasu Parlament Europejski i Komisja Europejska i wedle potrzeb wewnętrznych niektóre państwa (na przykład Holandia) będą utrzymywały temat „łamania przez Polskę praworządności" jako żywy element debaty unijnej tak, by przejście do ofensywy na tym polu w 2023 roku było „rozwiązaniem naturalnym od dawna nabrzmiałego problemu". Szefowa Komisji Europejskiej i Parlament Europejski już weszły na tę ścieżkę, deklarując twarde egzekwowanie rozporządzenia Rady UE.

▶ Zyski

Sejm zachował zdolność odrzucenia porozumienia poprzez odmowę ratyfikacji regulacji wykonawczych. Jest to jednak zdolność zapewne wyłącznie teoretyczna. Akt taki skutkowałby bowiem kryzysem wewnątrz Zjednoczonej Prawicy (Gowin!), najprawdopodobniej przełamanym przez opowiedzenie się

eprasa.pl f4e64891b7

opozycji za porozumieniem opartym na ustępstwach wobec prezydencji niemieckiej i Parlamentu Europejskiego. To zaś oznaczałoby chaos i przyspieszony upadek rządu. Gdyby obóz Zjednoczonej Prawicy był w stanie zachować jedność lub gdyby opozycja miała choćby podstawowy instynkt państwowy, odrzucenie ratyfikacji porozumienia byłoby dostępną opcją, a dzierżenie tego hamulca zapędów UE realnym zyskiem. Tak jednak nie jest.

Pieniądze – 173 mld euro (776 mld zł) w grantach i pożyczkach z Funduszu Odbudowy (tzn. ponad normalnym budżetem UE) są atrakcyjnym fajerwerkiem do pokazania publiczności, ale nie o nie chodziło. Prowizorium budżetowe, będące następstwem ewentualnego weta, także byłoby dla nas korzystne. Gdyby głównym celem było szybkie uruchomienie wypłat, wystarczyło potulnie na wszystko się zgodzić, ryzykując wprawdzie, że przyznane nam fundusze od razu zostaną wstrzymane na bazie rozporządzenia o warunkowaniu ich „praworządnością". Obecnie nie ma zagrożenia, że nastąpi to natychmiast. Jest to realny zysk, ale o jego rzeczywistej wartości rozstrzygnie skala finansowania spłaty długów UE przez Polskę w latach 2028–2058 i czas korzystania z przyznanych środków. Wszak owe 173 mld euro nie są do wzięcia od 1 stycznia, lecz w ciągu całych kolejnych siedmiu lat, a granty są grantami na poziomie kraju, ale na poziomie UE są długami, które solidarnie trzeba będzie spłacać. Ile z tego zdołamy wykorzystać przez najbliższe półtora roku – tzn. do czasu prawdopodobnego uruchomienia procedury przeciw Polsce? Obecnie Komisja Europejska przewiduje wypłatę dla Polski 18,9 mld euro w 2022 roku i 4,1 mld euro w 2023 roku. Z pierwszą transzą nie powinno być problemu, ale za wypłaty w całym 2023 roku już bym nie ręczył.

Odłożenie starcia w czasie jest obecnie głównym zyskiem Polski. Do 2023 roku wiele może się wydarzyć. Skala zadłużenia Południa jest taka, że należy wątpić, iż państwa te zachowają stabilność finansową przez kolejne trzy lata i to bez względu na to, czy Fundusz Odbudowy zostanie uruchomiony (też przecież nie od razu) czy też nie. Odmiennie niż w 2008 roku, gdy chodziło głównie o stosunkowo niewielką Grecję, choć także Włochy, Hiszpanię i Portugalię, teraz sytuacja wszystkich tych państw jest znacznie gorsza, a do listy tej wyraźnie dołącza Francja. Państwa Południa borykają się z trzecim kryzysem (po zadłużeniowym strefy euro, imigracyjnym przyszedł obecny – koronawirusowy, a wszystkie trzy najsilniej uderzyły w pas państw od Grecji po Portugalię) i są potwornie zadłużone (Belgia – 117,6 proc. PKB, Francja – 118,7 proc., Hiszpania 123,0 proc., Portugalia 137,2 proc., Włochy – 161,8 proc., Grecja 205,2 proc. – dla porównania – Polska około 60 proc.). Grozi to wstrząsami w całej grupie euro o znacznie większej mocy niż osiem lat temu. Kryzys ten, jeśli się rozpęta, może wywrócić dominację obecnego unijnego mainstreamu, ale jednocześnie zaostrzy walkę o pieniądze.

W 2022 roku mają odbyć się wybory prezydenckie we Francji o nieprzewidywalnym obecnie rezultacie i parlamentarne we Włoszech z wysoce prawdopodobną zmianą rządu. W Hiszpanii od 2016 roku mieliśmy już cztery przedterminowe wybory parlamentarne, w tym w zeszłym roku aż dwa, i nic nie wskazuje na trwałe ustabilizowanie sytuacji w tym kraju. COVID-19 sprawił, że zapominamy o innych wyzwaniach, ale kolejna fala kryzysu imigracyjnego w basenie Morza Śródziemnego jest więcej niż prawdopodobna. Na tle tych wyzwań kwestia „sporu z Polską o praworządność" może bardzo spaść w hierarchii „spraw ważnych" dla unijnego mainstreamu. Tak być oczywiście może, ale nie musi. Jeśli taka była kalkulacja rządu – uchylenie się od natychmiastowego starcia z potężnym rdzeniem UE za cenę zejścia z „silnie ufortyfikowanych pozycji" i manewrowanie w czasie z zamiarem „wyjścia spod uderzenia", ma sens, choć jest ryzykowne. Wyżej wskazane scenariusze mogą się wszak nie ziścić, a przynajmniej nie ziścić na czas. Nie było jednak scenariusza pozbawionego ryzyka.

▶ Wniosek końcowy

Czas obecnego odprężenia jest krótki – mierzony tygodniami. Zapewne dobiegnie końca wkrótce po 1 stycznia 2021 roku. „Grillowanie" Polski zacznie się zaraz po przerwie bożonarodzeniowo-noworocznej najpierw na „wolnym ogniu" w Parlamencie Europejskim i przy aktywności Holandii. Będzie narastać w kolejnych miesiącach i dojdzie do kulminacji w pierwszej połowie 2023 roku. Jeśli nie wystąpią zarysowane wyżej kryzysy na Południu, nasza pozycja prawna będzie słabsza niż przed 10 grudnia, ale pozycja polityczna może być silniejsza. Przed klęską w 2023 roku może uchronić nas tylko dobra wówczas sytuacja gospodarcza Polski i duży poziom zadowolenia społecznego z rządów PiS. Reformy przeprowadzone do tego czasu muszą być zatem głębokie i silnie odczuwalne społecznie – poprawiające jakość życia i prestiż państwa. Polska, by oprzeć się presji, będzie potrzebowała skompromitowanej społecznie koncepcji „opozycji totalnej", stabilnego rządu i opinii publicznej gotowej popierać go w sporach zewnętrznych w obronie interesów Rzeczypospolitej. Obecnie takimi atutami nie dysponujemy. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Małgorzata Matuszak



Kryzys męskości?

Dziś trudno zdefiniować, na czym tak naprawdę polega męskość. Sami mężczyźni gubią się w swoich rolach i nie wiedzą, czego się od nich oczekuje. Zróżnicowanie nacisków, jakim są poddawani, spowodowało u nich problemy z tożsamością.



e-prasa.pl f4e6489cb7

Współczesny mężczyzna jest jak ślimak bananowy" – stwierdził kilka lat temu w wywiadzie dla „Newsweeka" znany psycholog społeczny Philip Zimbaro. I dodał, tłumacząc, co ma miał na myśli: „Ślimak bananowy to taki żółty obły robal, który je co popadnie na swojej drodze, ale generalnie porusza się bardzo wolno i nie ma żadnego celu, robi wrażenie, jakby nie zmierzał w żadnym konkretnym kierunku". Przyznać trzeba, że to słowa mocne i stawiające współczesnego mężczyznę w niezbyt korzystnym świetle. Czy jednak wizerunek współczesnego mężczyzny rzeczywiście uległ ostatnimi czasy aż tak wielkiej dewaluacji? Czy istotnie można mówić o współczesnym kryzysie męskości? A może kryzys ogarnął jedynie obowiązujący dotychczas paradygmat męskości, nie zaś ją samą, w związku z czym trzeba jedynie zaktualizować i zredefiniować samo pojęcie?

„Męskość" – pojęcie rozmyte

„Słownik języka polskiego" określa męskość jako „ogół cech właściwych mężczyźnie, charakterystycznych dla mężczyzny". Może być ona jednak definiowana w różny sposób i postrzegana z rozmaitych perspektyw. Stosunkowo łatwo jest rozpatrywać męskość w ujęciu biologicznym – można określić ją jako realizację, w ciągu całego życia, tego, co zapisane jest w chromosomach płodu płci męskiej i co ujawnia się w trakcie dalszego rozwoju mężczyzny; kariotyp XY decyduje wszak o tym, że osoby, które je posiadają, są zazwyczaj mężczyznami, a osoby z kariotypem XX – kobietami. Czynniki genetyczne stanowią tutaj niejako matrycę, według której uruchamiają się procesy kształtujące tożsamość płciową i męskość właśnie.

Męskość jednak to złożone i wielowymiarowe zjawisko, które ulega ciągłym zmianom warunkowanym głównie czynnikami społecznymi i kulturowymi. Rozpatrując płeć w kategoriach społeczno-kulturowych, zwraca się uwagę na to, że płeć w wymiarze biologicznym przekształcana jest poprzez wpływ społeczny i kulturowy w płeć, która staje się swoistym atrybutem człowieka, pozwalającym mu na wchodzenie w tzw. role płciowe. Płeć fenotypowa, związana z wyglądem zewnętrznym i tym, co postrzegamy, jest więc tylko konstruktem, pewną podstawą, na którą nadbudowuje się to wszystko, co związane jest z daną kulturą i co właśnie przypisywane jest zwyczajowo jako zachowanie kobiece bądź męskie. Niektórzy twierdzą nawet, że nie należy odróżniać płci biologicznej od kulturowej, gdyż tożsamość płciowa jest kwestią sposobu jej prezentacji, nie pokazuje zaś naturalnego stanu rzeczy. W skrajnej perspektywie mężczyzna czy kobieta obiektywnie nie istnieją, są tylko osoby, które uformowane przez kulturę i społeczeństwo nazywane są mężczyznami czy kobietami. Wymiar płci kulturowej, czyli tzw. gender, w ostatnich latach zyskał na popularności.

Dziś trudno zdefiniować, na czym tak naprawdę polega męskość. Sami mężczyźni gubią się w swoich rolach i nie wiedzą, czego się od nich oczekuje. Zróżnicowanie nacisków, jakim są poddawani, spowodowało u nich problemy z tożsamością. Tradycyjne ujęcia postrzegają męskość w opozycji do kobiecości, kiedy zaś zatarciu uległ sam podział na to, co męskie i kobiece, ważność swą straciło to, co z niego wypływało. Od mężczyzn wymaga się dziś tego, by mieli osobowość androgyniczną – byli twardzi, silni, zdecydowani i jednocześnie czuli, empatyczni, wyrażający swe emocje, by współpracowali z kobietą, a nie nad nią dominowali. Niestety próby łączenia tych cech w lansowanych wzorcach mężczyzny na przestrzeni ostatnich lat wyglądały niekiedy karykaturalnie. Ani mężczyzna metroseksualny, ani überseksualny, heteropolitalny czy soft macho nie może służyć przecież za wzór męskości.

Przyczyny kryzysu męskości

Według badaczy problemu, istnieje szereg przyczyn, które doprowadziły do kryzysu męskości, wśród których – według Doroty Wyrwińskiej – wyróżnić można dwa główne. Pierwszym z nich jest proces emancypacji kobiet, który doprowadził do rozchwiania się dotychczasowego porządku społecznego, który opierał się na podziale ról na typowo męskie, obejmujące działalność w sferze publicznej, i typowo kobiece, ograniczone do sfery prywatnej, domowej. Kobiety wkroczyły w sferę dotychczas zarezerwowaną niemal wyłącznie dla mężczyzn i zakwestionowały męską w nich dominację, wymuszając niejako konieczność przedefiniowania ich miejsca w strukturze społecznej. Drugim z czynników powodujących kryzys męskości jest zjawisko feminizacji męskości. Mężczyźni zaczęli być coraz częściej osadzani w „kobiecych" kontekstach symbolicznych. Proces ten jest podsycany przez rynek i przemysł reklamowy, który kreuje wizerunek „prawdziwego" mężczyzny jako zadbanego, wypielęgnowanego i podążającego za najnowszymi trendami.

Katarzyna Siewicz do głównych przyczyn współczesnego kryzysu męskości zalicza zaś: (1) dwie wojny światowe, które przyczyniły się do tego, iż kobieta, ze względu na brak mężczyzny w życiu codziennym, musiała zacząć stawać się coraz bardziej samodzielna; (2) zmiany dokonujące się w strukturze rynku kapitalistycznego powodujące zastąpienie pracy fizyczną pracą umysłową i działalnością usługową; (3) wprowadzenie nowoczesnych technologii, dzięki którym kobiety zaczęły łączyć obowiązki domowe

FOT.ADOBE STOCK

eprasa.pl f4e64891b7

z pracą zawodową; (4) liberalistyczne podejście do życia, manifestowane poprzez głoszenie innowacyjnych haseł dopominających się o wolność, równość i sprawiedliwość; (5) odkrycie pigułek antykoncepcyjnych, pozwalających kobiecie na kontrolę własnej płodności.

Do poczucia zagrożenia u mężczyzn i w konsekwencji kryzysu męskości w dużej mierze przyczyniły się również współczesne ruchy feministyczne, w szczególności te spośród nich, które wiążą się nie tyle z walką o równouprawnienie, ile ze stawianiem kobiet na lepszej pozycji niż mężczyzn. Według niektórych badaczy, socjologów i psychologów samo pojęcie kryzysu męskości zostało stworzone przez feministki, które pragną przez to osiągnąć jeszcze więcej praw. Problem jednakże istnieje naprawdę, o czym świadczą pojawiające się obiektywne przesłanki wskazujące na rzeczywisty kryzys męskości w kulturze współczesnej. Zauważalne jest to zwłaszcza w społeczeństwach zachodnioeuropejskich. W Polsce problem ten wydaje się mniej widoczny, co nie oznacza, że nieobecny.

▶ Mężczyzna jako ojciec

Współcześni mężczyźni zatracili pewność siebie w odniesieniu do tego, czym dzisiaj jest męskość i jakie są jej główne wyznaczniki, w związku z czym również coraz większa liczba dorastających chłopców ma problem z integracją własnej tożsamości i udanym wejściem w męską dorosłość. Niezwykle ważne jest to, by mężczyzna miał czas dla swoich dzieci, zwłaszcza gdy są to synowie. To tata powinien pokazać synowi męski świat, zainspirować go do bycia mężczyzną. Jak ma to zrobić, kiedy sam nie do końca wie, na czym bycie mężczyzną polega?

Od dzisiejszych ojców wymaga się czegoś więcej aniżeli zapewnienia swym dzieciom materialnych warunków bytu. Muszą być zaangażowani w wychowanie dziecka, okazywać miłość, być odpowiedzialnymi, opiekuńczymi, cierpliwymi, posiadać uporządkowaną hierarchię wartości, która pozwala im być również stanowczymi i umiejętnie sprawować nad dzieckiem władzę. To trudne, ale wielu mężczyzn to potrafi. Wiedzą, że ich obecność jest w życiu dziecka ważna, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, w których czyha na nie wiele niebezpieczeństw. Nie wszyscy jednak umieją sprostać roli bycia ojcem, zwłaszcza dla swoich synów. A przecież mały chłopiec, wychowujący się w rodzinie, w której ojciec uczestniczy w wychowywaniu dziecka, przyswaja sobie wzorce zachowania i reakcje odpowiednie dla jego płci. Identyfikuje się z ojcem, naśladuje go. To ojciec bardziej aniżeli matka wprowadza dziecko w świat zewnętrzny, pozwala mu przezwyciężać egocentryzm, uczy odpowiedzialności i stymuluje rozwój społeczny. Wskazuje niejako dziecku drogę w świat. Inni badacze dodają, że wpływ ojca przejawia się również w rozwoju moralnym, emocjonalnym i intelektualnym dziecka. Rozwój z kolei w tych sferach pozwala na wykształcenie się cech uznawanych za typowo męskie, jak na przykład niezależności, opanowania, dominacji, odwagi, aktywności czy bezpośredniości.

Nie ulega też wątpliwości, że tradycyjny model rodziny uległ dziś rozchwianiu. Chłopcy coraz częściej wychowują się bez męskiego autorytetu, w rodzinach, w których ojciec jest nieobecny. Z różnych powodów. Matka w takich przypadkach musi wejść w rolę obojga rodziców, cały proces wychowawczy spada bowiem na nią. Jednak zastąpić ojca, choćby bardzo się starała, nie jest w stanie. Problemem stała się również wzrastająca liczba rozwodów. Wielu ojców po rozstaniu z matką swoich dzieci nie interesuje się ich losem, nie odczuwa potrzeby utrzymywania z nimi bliskich relacji, a swoje obowiązki minimalizuje do płacenia alimentów. Wielu bardzo by chciało uczestniczyć dalej w życiu swych dzieci, ale ich kontakt z nimi zostaje ograniczany przez matki. Niekiedy kontakty ojca z dzieckiem trzeba uciąć, bo są naprawdę niszczące, jednak w wielu przypadkach niszczący dla dziecka jest właśnie brak kontaktu. Dziecko, zwłaszcza syn, potrzebuje obecności ojca w jego życiu – alienacja rodzicielska zaburza jego prawidłowy rozwój.

▶ Kryzys męskości czy kryzys dorosłości?

Mówi się o tym, że współczesny mężczyzna zmuszony jest do tego, by nieustannie udowadniać swą męskość. Niekoniecznie jest dzisiaj głową domu i głównym żywicielem rodziny. Kobiety odnoszą sukcesy zawodowe, coraz lepiej zarabiają, stają się coraz bardziej samowystarczalne. Nie wszyscy mężczyźni potrafią się w tej sytuacji odnaleźć. Podział na to, co typowo męskie i typowo kobiece, dawno został już zachwiany, w związku z czym obie płcie miały dużo czasu do zdefiniowania się na nowo. Kobiety, które rozpoczęły te przemiany, podejmując walkę o większą swobodę, o równość i równouprawnienie, łatwiej chyba się w tej sytuacji odnalazły. Mężczyznom przychodzi to trudniej, popadli w stan, który nazwany został kryzysem męskości, czyli niemożnością dopasowania się do warunków społecznych i kulturowych. Cytowany na wstępie P. Zimbaro nie miał jednak do końca racji. Podobnie inni badacze problematyki kryzysu męskości. Nie każdy problem można tym pojęciem etykietować. To, co nazywa się kryzysem męskości, nazwać niekiedy by trzeba po prostu kryzysem dorosłości. On zaś dotyczy zarówno mężczyzn, jak i kobiet. ■

eprasa.pl f4e64891b7

niezależna

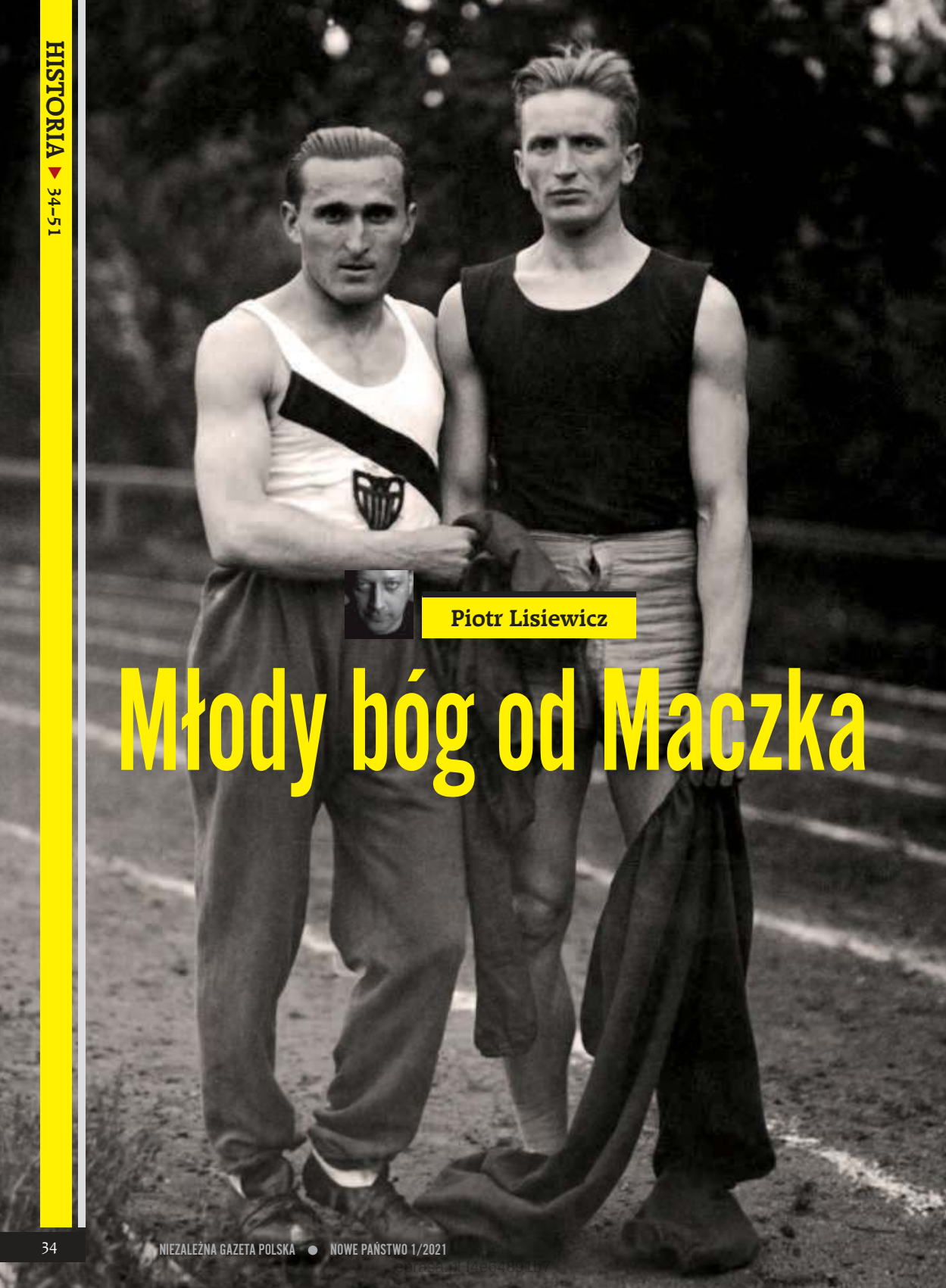
ŁĄCZYMY **HISTORIĘ** Z **NOWOCZESNOŚCIĄ**

Najpopularniejszy konserwatywny portal w Polsce



niezalezna.pl

eprasa.pl f4e64891b7



Piotr Lisiewicz

Młody bóg od Maczka

Zdobył więcej tytułów Mistrza Polski w lekkoatletyce niż Irena Szewińska czy Janusz Kusociński. Najwięcej w historii polskiego sportu! Na słynnym obrazie malarza Wacława Piotrowskiego z 1928 roku olimpijczyk Stefan Kostrzewski, młodziutki żołnierz wojny polsko-bolszewickiej, symbolizował wskrzeszoną po latach niepodległą Polskę. W biało-czerwonym sportowym stroju pokonywał kolejny płotek – tamę w jej umacnianiu. Dziś jako sportowiec pozostaje zapomniany, bo jako żołnierz generała Maczka, który po 1945 roku nie zaakceptował komunistycznej rzeczywistości, nie wrócił do Polski i uparcie kibicował ukochanemu ŁKS-owi, lecz z Kanady.

Lekkoatleci Janusz Kusociński (z lewej) i Stefan Kostrzewski.

fot. NAC

fot. Arch.

6 czerwca 1998 roku Łódzki Klub Sportowy zdobył tytuł Mistrza Polski w piłce nożnej. Drużyna w składzie z Tomaszem Wieszczyckim, Mirosławem Trzeciakiem, Markiem Saganowskim, Tomaszem Kłosem i Bogusławem Wyparło zdobyła tytuł drugi raz w 90-letniej historii klubu. Wieczorem do Jacka Bogusiaka, kustosza tradycji ŁKS, zadzwonił... 96-letni kibic z Kanady Stefan Kostrzewski. On, pierwszy złoty medalista Mistrzostw Polski w historii ŁKS, który do klubu trafił prosto po zwycięstwie nad bolszewikami z 1920 roku, pogratulował swoim następcom.

Lepszy od słynnego Wunderteamu

„Wśród polskich biegaczy jest jeden, który ze wszystkich bezspornie i zupełnie bezapelacyjnie wysuwa się na czoło: jest nim Stefan Kostrzewski" – pisał „Kurier Sportowy" z 2 grudnia 1925 roku. Jak oceniała gazeta tym, co pokazywało niezwykłość talentu Kostrzewskiego, była jego wszechstronność. Owszem, w tamtych czasach sportowcy byli mniej wyspecjalizowani niż dziś, ale jednak umiejętność zdobywania świetnych rezultatów zarówno w biegu na 100 metrów, jak i... 10 kilometrów robiła także wówczas wrażenie.

Pisał „Kurier Sportowy": „Jeżeli uprzytomnimy sobie, jaka jest przepaść różnicy między talentami Szenajcha i Łukaszewicza, jak nie do pomyślenia jest rywalizacja między nimi, a z drugiej strony że Kostrzewski na krańcowych dystansach od 100 do 10.000 niewielu każdemu z tych mistrzów ustępuje, i że przy tym będąc bezkonkurencyjnym na metach średnich biegów płaskich, potrafi mieć dwa rekordy polskie i jeden okręgowy w biegach przez płotki – zgodzimy się bezwzględnie na to, że jest on najlepszym biegaczem, jakiego miała dotąd Polska".

To ta wszechstronność powodowała, że Kostrzewski jest zdobywcą aż 27 (!) tytułów Mistrza Polski. Magazyn Lekkoatletyczny (nr 1/2010) tak porównywał jego statystyki z największymi powojennymi gwiazdami polskiej lekkoatletyki: „Ze słynnych uczestników Wunderteamu, Marian Foik zgromadził 18 tytułów, Janusz Sidło 16, Stanisław Swatowski 16, z późniejszych mistrzów Marian Woronin 15, Zenon Licznerski 14, ikona chodu Robert Korzeniowski 17. Jednak ich wszystkich znacznie wyprzedza w ilości zdobytych złotych medali Stefan Kostrzewski, który zgromadził w swojej kolekcji 45 medali Mistrzostw Polski – 27 złotych, 14 srebrnych, 4 brązowe!".

Kostrzewski – młody bóg

Jeden z najbardziej ekspresyjnych opisów tryumfów Kostrzewskiego zamieściło pismo „Świat"

eprasa.pl f4e64891b7

z 7 września 1929 roku, relacjonując dwudniowe zawody lekkoatletyczne Polska–Czechosłowacja na warszawskiej Agrykoli: „Pojedynek Schindlera z Kostrzewskim. Cóż to za piekielna emocja! Pierwsze okrążenie idą razem. Obydwaj wspaniali, rasowi biegacze. Jeszcze 250 m. Nagle Kostrzewski zrywa się i finiszuje. Wspaniały wysiłek. Schindler o 10 m za nim. Kurcz potworny na twarzy Polaka, blady z wytężenia. Ryk, wrzask, ogłuszający. Kładzie się na taśmę. Nowy, wspaniały rekord — 1 m. 55 s. europejski wynik! Groźny Schindler pokonany — 1 m. 57 s. Stefan na ramionach kolegów płynie nad boiskiem wśród niemilknących owacji".

Ta wygrana nastroiła autora relacji do refleksji szerszej, bo dotyczącej narodowej natury: „Macie wasze strachy przed sławnym Schindlerem. Nigdy Polaczkowie nie wierzą we własne siły i możliwości. Sławy i potęgi mogą być we świecie, a my zawsze na szarym końcu, tańczący grzecznie, jak nam kto zagra łaskawie. Kostrzewski świetny biegacz, stary, rutynowany zawodnik, wspaniale szedł, zdobył się na stu procentowy wysiłek i zwyciężył, bo chciał, mógł i potrafił! »Chcieć, to móc«, znajduje w sporcie potwierdzenie na każdym kroku".

Uwielbienie kibiców dla Kostrzewskiego „Świat" opisywał następująco: „Tysiączne tłumy wariują z radości, Stefan Kostrzewski finiszuje, jak młody bóg, jeszcze jeden, tym razem siódmy rekord w ciągu dwóch dni wygrany mecz z zaciętymi, zażartymi, przeambitnymi Czechami, jednem słowem, świat się kończy, a polska lekka atletyka płacze łzami nieprzytomnej radości".

16-letni ochotnik

Stefan Kostrzewski urodził się 4 sierpnia 1902 roku w Łodzi jako syn Stanisława i Stanisławy z Lewandowskich. Jak piszą Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik, autorki książki „Sportowcy dla Niepodległej": „Od najmłodszych lat uwielbiał się ścigać. Biegał z kolegami na podwórkach, brał udział w ulicznych biegach organizowanych w rodzinnym mieście".

Jak odnotowuje Wirtualne Muzeum AZS, pierwsze nauki pobierał w ochronce przy rzeźniach miejskich w Łodzi. Potem uczył się w Państwowym Gimnazjum Humanistycznym Męskim im. Mikołaja Kopernika. „Nastolatkowi trudno jednak było skupić się na nauce, gdy wokół działa się historia" – piszą Stokłosa i Wójcik. Już jako 16-latek wstąpił w 1918 roku do Wojska Polskiego. Potem wrócił na krótko do szkoły. Ale tuż po swoich 18. urodzinach ochotniczo zgłosił się do walki z bolszewikami.

Od 12 sierpnia do 3 września brał udział w walkach pod Janowcem, Borkowem, Nowym Miastem, Makowcem, Przasnyszem, Chorzelami i Myszyńcem. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", Kostrzewski został przydzielony do batalionu zapasowego 28. Pułku Strzelców Kaniowskich. Walczył od 12 sierpnia – m.in. pod Borkowem, które w kluczowych momentach Bitwy Warszawskiej stało się areną walk o przeprawy na Wkrze. Polskim żołnierzom udało się zapobiec sforsowaniu rzeki przez bolszewików. Następnie Stefan wziął udział w bitwie pod Przasnyszem, której celem było odcięcie wrogowi drogi odwrotu. Mimo dużych strat Polacy wygrali. Kolejne ciężkie walki z udziałem Kostrzewskiego miały miejsce pod Chorzelami i Myszyńcem.

Autorki cytują, jak znaczenie włączenia się do walki młodych ochotników oceniał generał Władysław Sikorski, dowódca 5. Armii, która w sierpniu 1920 roku broniła Wkry i atakowała prawe skrzydło wojsk bolszewickich: „Przez armję przeszło około 105.000 ochotników, którzy, wcieleni [...] do cofających się pod Warszawę pułków, stworzyli niezawodny cement moralny tych pułków. Wszystkie te świeże oddziały, wysyłane w krytycznym momencie na front, pozwoliły nam opanować tuż przed bitwą warszawską kryzys stanów liczebnych cofających się dywizyj, podniosły ich wartość bojową i przyczyniły się do przechylenia szali zwycięstwa na naszą korzyść".

Kolega ojca Marcina Wolskiego

Pierwsze niepewne kroki jako sportowiec Kostrzewski stawiał w Łodzi. Startował w biegach ulicznych organizowanych przez łódzkie redakcje – „Kuriera Łódzkiego" i „Głosu Polskiego". W swoim ukochanym ŁKS-ie Kostrzewski trenował w latach 1920–1923. Jako zawodnik ŁKS zdobył swój pierwszy tytuł mistrza Polski w biegu na 5000 m.

W czerwcu 1922 roku zdał maturę, a potem dostał się na studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. Wedle Wirtualnego Muzeum ASZ na uczelni tej studiował do początku lat 30., studiów nie uwieńczył jednak uzyskaniem dyplomu inżyniera architekta, w międzyczasie stając się znanym międzynarodowo sportowcem. Ale do zawodu architekta miał jeszcze wrócić, na wygnaniu, w Kanadzie.

Marek Kondraciuk 25 sierpnia 2013 roku opublikował w „Dzienniku Łódzkim" tekst „90 lat od zwycięstwa Stefana Kostrzewskiego z ŁKS. Wbiegł do historii Łodzi na Agrykoli". Pisał w nim: „25 sierpnia 1923 Stefan Kostrzewski z ŁKS był najszybszy w biegu na 5.000 m w warszawskim Parku Sobieskiego, poza stolicą znanym lepiej jako Agrykola [...] Wynik Stefana Kostrzewskiego 16 minut 56,8 sekundy nie robi dziś wrażenia. Dziewięć lat temu Etiopczyk Kenenisa Bekelele ustanowił w Hengelo rekord świata

eprasa.pl f4e64891b7

12.37,35. [...] to był jednak w tamtych czasach wielki wyczyn. Nikomu się nawet nie śniły syntetyczne nawierzchnie, buty ze skóry kangura, farmakologiczne wspomaganie organizmu [...] Pod koniec upalnego lata spalona słońcem żużlowa bieżnia robiła się twarda jak skała. Kolce wbijały się w nią z trudem, więc na stopach szybko powstawały bolesne odparzenia. Sprinterzy mieli kłopot z wykopaniem dołków startowych, do czego najlepiej służyły łyżki stołowe".

Warto odnotować jako ciekawostkę, że młody sportowiec Kostrzewski zetknął się w tym czasie z ojcem Marcina Wolskiego. W książce „Krowy tłuste, krowy chude" Wolski pisze: „Było coś w naszej rodzinie, że marzenia jednego pokolenia realizowały się dopiero w kolejnym. Dziadek notariusz – marzył o karierze adwokata, tata – wzięty prawnik – chciał być pisarzem... Obdarzony wieloma zdolnościami, których tylko wypada mu pozazdrościć, mógł zostać sportowcem... Był doskonale zapowiadającym się biegaczem, pływakiem i tenisistą, wybornie strzelał, jeździł konno... Kilku kolegów, z którymi za młodu wygrywał – na przykład wybitny biegacz Stefan Kostrzewski – zrobiło wielkie kariery".

W latach 1923–1937 Kostrzewski reprezentował AZS Warszawa. W barwach tego klubu wystąpił po raz pierwszy 28 października 1923 roku. I związany był z nim do końca sportowej kariery. W czerwcu 1924 roku zwyciężył w mistrzostwach Warszawskiego Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki i ustanowił nowy rekord Polski na 800 m. Teraz czeka nas nieuchronna wyliczanka jego krajowych sukcesów. Aż 27 zdobywał tytuł mistrza Polski, a mianowicie: bieg na 400 metrów – 1927; bieg na 800 metrów – 1925, 1926, 1927, 1928 i 1929; bieg na 5000 metrów – 1923; bieg na 110 metrów przez płotki – 1926; bieg na 400 metrów przez płotki – 1924, 1925, 1926, 1927, 1928, 1929 i 1934; bieg na 3000 metrów z przeszkodami – 1929; bieg na 3000 metrów drużynowo – 1924; sztafeta 4×100 metrów – 1924, 1926, 1929 i 1934; sztafeta 4×400 metrów – 1924, 1925, 1926, 1927, 1928 i 1937.

„Szczery, otwarty, wierny, chętny żołnierz. Bardzo energiczny i lubiany przez kolegów. Wybitnie inteligentny i towarzysko obyty. Struktura fizyczna wzorowa. Wybitnie ambitny w pracy i lojalny służbowo. [...] taktycznie jako dowódca orientuje się bardzo dobrze".

Dwie olimpiady

Kostrzewski występował w barwach ŁKS w latach 1920–1923, jednak do końca życia, również 79 (!) lat po debiucie czuł się ełkaesiakiem. W tym sensie postawę Kostrzewskiego można uznać za kwintesencję wartości współczesnego ruchu kibicowskiego, w czasach gdy wielu sportowców nie czuje przywiązania do klubowych barw, sprowadzając się do roli – jak nazwał to śp. Roman Zieliński, wkładów do koszulek.

„Łódzkie Echo Wieczorne" z 24 marca 1926 roku pisało o tym: „W Warszawie żyje wielu łodzian, przeważnie studentów, którzy opuściwszy Manchester polski, tutaj dalej uprawiają sport i dochodzą do wybitnych stanowisk w świecie hartu fizycznego [...] Stefan Kostrzewski jest dzieckiem Łodzi i tu stawiał swe pierwsze kroki w łonie sekcji lekkoatletycznej Ł. K. S., której był jednym z założycieli tu osiągnął swój pierwszy sukces – w biegu »Kuriera Łódzkiego«".

Po drodze przydarzyło mu się czternaście medali srebrnych i trzy brązowe. Nikt do dziś nie pobił tego rekordu. Również 27 razy ustanawiał lekkoatletyczne rekordy Polski w biegach. I tu znowu długa wyliczanka: na 400 metrów, 800 metrów, 1500 metrów, 2000 metrów, 110 metrów ppł., 400 metrów ppł. oraz w sztafetach. 1 września 1929 roku ustanowił rekord w biegu przez płotki na 400 metrów, który przetrwał do 11 września 1954 roku! W latach 1927–1937 aż 18 razy wystąpił też w meczach międzypaństwowych reprezentacji Polski.

Odnosił też ogromne sukcesy w sporcie akademickim. Podczas Letnich Mistrzostw Świata Studentów w 1924 roku w Warszawie zwyciężył na 800 metrów, 400 metrów ppł., 3000 metrów drużynowo oraz sztafetach 4×100 i 4×400 metrów. Zdobył też srebrne medale na 3000 metrów i w sztafecie 100+200+400+800 metrów oraz brązowy medal na 1500 metrów. Z kolei na akademickich mistrzostwach w Rzymie w 1927 roku wywalczył brązowe medale na 110 metrów ppł. i w sztafecie 4×400 metrów, a w Paryżu w 1928 roku srebrny medal na 400 metrów ppł. W roku 1924 roku wspólnie z kolegami z AZS-u został również mistrzem Polski w sztafetach 4×100 oraz 4×400 m.

eprasa.pl f4e64891b7

Został wytypowany do wyjazdu na Olimpiadę w Paryżu – pierwsze igrzyska w historii niepodległej Polski. „Drużyna nasza nie jedzie po zwycięstwa, gdyż są one wprost niemożliwe, jednakże życzymy Jej, aby na igrzyskach przedstawiła się z jak najlepszej strony" – pisało czasopismo „Stadion".

Kostrzewski dwukrotnie startował w igrzyskach olimpijskich. W Paryżu w 1924 roku wystąpił na 800 i 1500 metrów, a w Amsterdamie w 1928 roku na 400 metrów, 400 metrów ppł. i w sztafecie 4×400 metrów. Na 400 metrów przez płotki doszedł do półfinału, w pozostałych odpadał wcześniej.

Zwycięstwa nad światową czołówką dawały mu za to lekkoatletyczne mecze międzynarodowe. Cała Polska żyła jego rywalizacją z Czechami, Węgrami czy Niemcami. Autorki „Sportowców dla Niepodległej" wspominają, jak w 1927 roku pojechał na mityng lekkoatletyczny na Węgry i – niespodziewanie dla gospodarzy – odniósł trzy zwycięstwa: „Węgierscy trenerzy byli zaskoczeni wynikiem Polaka, który wydawał się człowiekiem znikąd. A on ze śmiechem przekonywał, że do Polski jedzie się tylko 21 godzin, a nie 3 dni, my też mamy dobre boiska, i niektóre rekordy lepsze niż Węgry. Kostrzewski podbił serca gospodarzy i okazał się duszą towarzystwa".

Kostrzewski symbolizuje Polskę

Jego rola w historii polskiego sportu jest ogromna – wystarczy powiedzieć, że w klasyfikacji generalnej lekkoatletek i lekkoatletów w 84 plebiscytach „Przeglądu Sportowego" na najlepszych sportowców według sumy punktów za zajęte miejsca Stefan Kostrzewski w 2020 roku zajął 11 miejsce.

Przy okazji startu w olimpiadzie w 1928 roku Kostrzewski znalazł się na obrazie wybitnego malarza Wacława Piotrowskiego „Na płotku", który wraz z drugim obrazem przedstawiającym Halinę Konopacką (pierwszą polską mistrzynię olimpijską) wysłany został na Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury 1928. Obraz „Na płotku" zdobył tam wyróżnienie. Malarz namalował Kostrzewskiego na podstawie zdjęcia z znanego fotoreportera Jana Rysia i opublikowanego na okładce tygodnika „Stadjon". „Biało-czerwona postać pokonująca płotek może też symbolizować Polskę – młody, odradzający się kraj, który pokonuje kolejne przeszkody na drodze do rozwoju. Dla każdego, kto znał wojenny życiorys bohatera obrazu, właśnie druga z metafor musiała wybrzmiewać silniej" – piszą o obrazie Stokłosa i Wójcik.

Na olimpiadzie Polak zawarł nowe znajomości. Jego przyjacielem został mistrz olimpijski w biegu przez płotki, brytyjski lord David Burghley. Gdy w przyszłości musiał opuścić Polskę, miało to niemałe znaczenie...

Koszulki crossmanów na tle pól i lasów

Kostrzewski był też publicystą, pokazującym polskim czytelnikom, jak osiągają sukcesy światowe potęgi. W czasopiśmie „Higiena ciała i sport" (1926/10) w tekście „Biegi na przełaj – podstawą fizycznego rozwoju organizmu" reklamował owe biegi: „Miast pyłu ulicznego, dymu i »bakcyli« wielkomiejskiego ruchu ulicznego – barwne koszulki crossmanów zarysują się na tle pól i lasów, a aromat i siła przyrody spotęgują zbawienny wpływ sportu na pracę wytężoną zawodnika-sportowca".

W „Łódzkim Echu Wieczornym" z 30 grudnia 1927 roku w ankiecie na temat „Kino i sport" postulował: „Twórcy filmowi powinni dołożyć wszelkich starań, aby w odpowiedniej formie oddano na srebrnym ekranie piękno, zdrowie, tężyznę i rozmach życia sportowego tak, by obojętny u nas jeszcze ogół przekonać i zainteresować sportem. Wtedy dopiero możemy myśleć i spodziewać się, iż biało-amarantowy sztandar zawiśnie na zwycięskim maszcie olimpijskim w szlachetnej walce o lepsze wszystkich narodów świata".

Grał także w koszykówkę. W 1924 roku wszedł w skład pierwszej drużyny AZS Warszawa. W 1928 roku zdobył z nią mistrzostwo Warszawy. W styczniu 1930 roku grał w pierwszym międzynarodowym meczu koszykówki rozegranym w Polsce przeciwko Latwijas Uniwesitetas Student Padome Ryga.

Andrzejek już hałasuje na meczach

Od 1 października 1929 do 30 czerwca 1930 roku Kostrzewski odbywał służbę wojskową. Jak odnotowuje Wirtualne Muzeum AZS, ukończył z pierwszą lokatą (na 87 kursantów!) Szkołę Podchorążych Rezerwy Piechoty w wielkopolskim Śremie. W opinii zamieszczonej w świadectwie ukończenia Szkoły Podchorążych napisano: „Szczery, otwarty, wierny, chętny żołnierz. Bardzo energiczny i lubiany przez kolegów. Wybitnie inteligentny i towarzysko obyty. Struktura fizyczna wzorowa. Wybitnie ambitny w pracy i lojalny służbowo. Jest bardzo dobrze osobiście wyszkolony i taktycznie jako dowódca orientuje się bardzo dobrze. Jest bardzo dobrym instruktorem WF i posiada duże walory samodzielności w pracy. Zachowuje się w służbie jak i poza służbą wzorowo i umie sobie wyrobić posłuch dla swoich podwładnych, przy czym lubiany jest przez kolegów. Nadaje się na stanowisko dowódcy plutonu K.M.". 1 stycznia 1933 roku Kostrzewski został mianowany został podporucznikiem rezerwy z przydziałem do 1. Pułku Piechoty Legionów.

Sport uprawiał dalej, jednak ówczesna prasa sportowa odnotowywała inne ważne wydarzenia z jego

eprasa.pl f4e64891b7

życia. Łódzkie „Echo" z 18 kwietnia 1929 roku pisało: „Stefan KostrzewskI, wychowanek ŁKS, znany rekordzista, płotkarz, olimpijczyk, łodzianin wstąpił wczoraj w Warszawie w związek małżeński z p. W. Hartkopsówną".

„ABC Nowiny Codzienne" z 29 września 1935 roku w dziale „Gwiazdy sportu polskiego w życiu prywatnem" poświęciło mu śródtytuł „Kostrzewski dobry ojciec", gdzie czytamy o nim: „Pracuje w Ministerstwie Przemysłu i Handlu, w referacie organizacyjno-statystycznym. Jest ojcem dwojga dzieci: 5-letniego Andrzejka i 3-miesięcznej Wandzi. Pociechom swym doskonały sportowiec poświęca wiele czasu. Andrzejka potrafił zainteresować już do sportu i często można widzieć na rożnych imprezach sportowych entuzjazmujących się Kostrzewskich, ojca i syna".

Jest mowa też o jego związkach z wojskiem, które niebawem okażą się ważne: „Stefan Kostrzewski z zamiłowaniem studiuje wojskowość. W podchorążówce rezerwy, w Greznie był prymusem. Poza lekkoatletyką uprawia, ale jak mówi: »dla zdrowia«, pływanie i kajakarstwo. Poza tem strzelectwo. Strzela doskonale i w tej dziedzinie wróżą mu jak najlepsze rezultaty". Przez wiele lat pracował jako intendent w Instytucie Geologicznym.

W ostatnich latach i miesiącach przed wybuchem wojny Kostrzewski wspierał patriotyczne działania. „Nowy Dziennik" z 17 czerwca 1939 roku zapowiadał, że na Stadionie Wojska odbędzie się 28 czerwca „Wielka rewia asów sportu", z której dochód przeznaczony jest na Fundusz Obrony Narodowej (FON), a jej uczestnikiem będzie „Stefan Kostrzewski, rekordzista na 4.00 m z płotkami, który jeszcze stosunkowo niedawno odnosił triumfy na bieżni".

„O podwody do czołga"

Wiadomo, że pod koniec sierpnia 1939 roku został zmobilizowany i uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 roku. Potem internowany na Węgrzech, zdołał przedostać się do Francji. Brał udział w kampanii francuskiej 1940 roku, po której podobnie jak reszta żołnierzy ewakuował się do Wielkiej Brytanii i kontynuował walkę jako żołnierz 1. Dywizji Pancernej dowodzonej przez gen. Stanisława Maczka. Za czyny bojowe odznaczony został Krzyżem Walecznych – tak wynika z relacji na stronie Wirtualnego Muzeum AZS. Tymczasem w książce „O podwody do czołga" generał Stanisław Maczek wymienia porucznika Stefana Kostrzewskiego wśród odznaczonych Krzyżem Walecznych za kampanię we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech „po raz pierwszy i drugi". Udział w wojnie zakończył w stopniu kapitana w 9. Batalionie Strzelców Flandryjskich w ramach dywizji Maczka.

Po wojnie osiadł w Wielkiej Brytanii, gdyż, jak piszą Stokłosa i Wójcik, „nie widział możliwości powrotu do kraju". Według Muzeum AZS, od 1949 roku świadomie nie utrzymywał kontaktu z krajem. Autorki „Sportowców dla Niepodległej" piszą, że Kostrzewski odwiedził swojego przyjaciela z igrzysk w Amsterdamie, kolegę z bieżni lorda Burghleya. „Ten, zdając sobie sprawę z trudnej sytuacji polskiego oficera, zaproponował mu pracę zarządcy w swojej podlondyńskiej posiadłości" – czytamy.

Brytyjski lord wspiera ŁKS

Dodatkowo zgodził się wesprzeć jego ukochany ŁKS. „Do Łodzi trafił transport ze sprzętem sportowym. Kiedy na stadion przy al. Unii dotarła przesyłka z Anglii, radość w klubie nie miała końca. W czasach, w których brakowało w Polsce wszystkiego, lekkoatleci i piłkarze Łódzkiego Klubu Sportowego mieli najlepszy sprzęt w kraju!" – cytują autorki „Dziennik Łódzki", który opisał to siedem dekad później, gdy już było można.

Potem Kostrzewski wyjechał do kanadyjskiej prowincji Ontario, gdzie zaczął prowadzić własną farmę. Ożenił się tam z emigrantką Kazimierą Jastrzębską, przedwojenną nauczycielką matematyki w Gimnazjum im. Królowej Jadwigi w Warszawie. „Postanowił wrócić do wyuczonego zawodu i zatrudnił się w wydziale architektury miejscowości Galt" – czytamy.

Aż do śmierci kibicował ŁKS-owi. Gdy w 1958 roku zdobył on pierwszy tytuł Mistrza Polski, odważył się wysłać piłkarzom depeszę gratulacyjną. 40 lat później, w czerwcu 1998 roku, miał już kontakt z kibicami ukochanego klubu. Dożył drugiego mistrzowskiego tytułu i niebawem później zmarł 24 lutego 1999 roku.

Nekrolog w „The Globe and Mail" głosił, iż zmarły został odznaczony medalami francuskimi, angielskimi i polskimi. Reprezentował Polskę na igrzyskach olimpijskich w Paryżu i Amsterdamie, a ostatnio pracował dla Działów Inżynierskich w Galt i Preston. Jego żona Kazimiera zmarła w 1995 roku. A Za Stefanem będą tęsknić Andrzej i Janina Machniccy oraz wielu przyjaciół.

Msza św. została odprawiona w St. Ambrose R.C. Church, Chalmers and South Streets w Cambridge, w sobotę 27 lutego 1999 roku o godzinie 14.00. Napisano też, że daniny na rzecz Memorial dla Cambridge Memorial Hospital Foundation for Chronic Care będą mile widziane. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Dariusz Jarosiński

OSTATNI SZLACHCIC WIELKIEGO KSIĘSTWA LITEWSKIEGO

1



Polska bez Wilna, Grodna, Mińska, Bobrujska, Nowogródka, Krzemieńca, Lwowa nie jest już dawną Rzeczpospolitą. Utrata Kresów Wschodnich – najpierw części w 1921 roku, a później w 1945 roku już całości – sprawiła, że zostaliśmy pozbawieni wyjątkowych źródeł polskości, a tym samym i tożsamości. Polskim pisarzom emigracyjnym, wygnańcom z ojczystej ziemi, przypadł szczególny obowiązek dbania o zachowanie pamięci o utraconych Kresach Wschodnich dla przyszłych pokoleń. Jednym z nich był Michał Kryspin Pawlikowski.

1. Michał K. Pawlikowski w Stanach Zjednoczonych
2. Michał K. Pawlikowski (z prawej) w drodze na polowanie z Karolem Erdmanem, czasy wileńskie (fot. ze zbiorów Cyfrowej Biblioteki Narodowej Polona).

fot. Arch.

Michał Kryspin Pawlikowski pochodził z tych samych stron co Florian Czarnyszewicz – ze wschodniej Białej Rusi, Mińszczyzny, ziemi położonej na lewym brzegu rzeki Berezyny. Pawlikowski urodził się w 1893 roku, był o siedem lat starszy od Czarnyszewicza. Obaj pozostawili po sobie niezwykle cenne literackie świadectwa swoich rodzinnych stron. Czarnyszewicz jest autorem czterech biograficznych powieści; pierwsza, najbardziej znana, „Nadberezyńcy", ukazała się w 1942 roku w Buenos Aires. Pawlikowski opublikował na emigracji dwie autobiograficzne powieści: w 1959 roku w Londynie „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego", a w 1965 roku nakładem paryskiej „Kultury" została wydana jej kontynuacja „Wojna i sezon".

Czarnyszewicz patrzył na swoją małą ojczyznę znad Berezyny z pozycji drobnego szlachcica zaściankowego, w powieści używał oryginalnego, nieco archaicznego języka mieszkańców szlacheckich kresowych zaścianków, który dzisiaj jest już mało zrozumiały. Pawlikowski, pochodzący z zamożnej rodziny ziemiańskiej, swoje wspomnienia napisał z perspektywy polskiego dworu czystą polszczyzną. Autor „Dzieciństwa i młodości Tadeusza Irteńskiego" niezwykle cenił „Nadberezyńców", porównywał tę powieść z „Wojną i pokojem" Lwa Tołstoja, był pierwszym recenzentem książki Czarnyszewicza. To „jedna z najważniejszych i najpiękniejszych powieści polskich" – pisał Pawlikowski urzeczony twórczością swego krajana.

Pawlikowski należał do najbardziej zagorzałych zwolenników idei polsko-litewsko-białoruskiej Wielkiego Księstwa Litewskiego, nazywał siebie patriotą Wielkiego Księstwa, podobnie zresztą jak jego przyjaciel Józef Mackiewicz. Słusznie zauważył prof. Marek Chodakiewicz, że Pawlikowski „widział się jako przedstawiciela naszego ziemiaństwa na Mińszczyźnie. A formacja ta w większości zachowała patriotyzm, ale nie »nowoczesny«, endecki, a stary, jagielloński". Dzisiaj trudno jest zrozumieć młodemu pokoleniu, które nie zna historii, dlaczego Adam Mickiewicz pisał „Litwo, ojczyzno moja". Pawlikowski nie lubił określenia Kresy, bo przecież Wielkie Księstwo Litewskie to nie jakieś krańce, jakiś margines, zwykł był mawiać. Po I wojnie światowej ziemie Wielkiego Księstwa znalazły się w granicach Polski, Litwy kowieńskiej i sowieckiej Białorusi.

Czerwona nić

Pawlikowski i Czarnyszewicz wcześnie utracili swoją ziemię ojczystą na Kresach. W II Rzeczypospolitej czuli się emigrantami. Traktat podpisany przez

eprasa.pl f4e64891b7

polskich polityków w Rydze w 1921 roku z bolszewikami spowodował, że rodzinna ziemia kilku milionów Polaków, w tym Czarnyszewiczów i Pawlikowskich, dawne Kresy I Rzeczypospolitej, znalazła się nieoczekiwanie w granicach Rosji sowieckiej. Nieoczekiwanie, bo przecież Polska zwyciężyła w wojnie bolszewików.

Zarówno Czarnyszewicz, jak i Pawlikowski, uznawali oddanie bolszewikom ich ojczystej ziemi za narodową zdradę. W „Wojnie i sezonie" pisał Pawlikowski z goryczą: „Czemu tysiące dworów i dworków po tej stronie granicy [miał na myśli Wileńszczyznę, Nowogródczyznę – przyp. D.J.] żyje życiem normalnym, kontynuując wielowiekową nić tradycji, a czemu tysiące innych dworów i dworków [...] trafiły pod panowanie najstraszniejszej w dziejach świata niewoli i dziczy? Czy nie ma w tym jakiejś niesprawiedliwości?". Ustalenia traktatu ryskiego nazywał „przekleństwem Kainowym".

Po latach, wkrótce po upadku Powstania Warszawskiego, Michał K. Pawlikowski pisał: „Nie jestem mistykiem. A jednak nie mogę się oprzeć myśli, że jest jakaś nić – straszna i czerwona – która łączy traktat ryski z naszą dzisiejszą tragedią. Biegnie ta nić, wijąc się fantastycznie, niemal kapryśnie, od mogił pomordowanych, a za życia odartych ze skóry ułanów pod Rohaczewem i Niemirowem do miejsca kaźni pułkownika Mościckiego w borach poleskich, gdzie w trzy lata później wytknięto granicę ryską. Później biegnie ta nić do sali sejmowej, gdzie zagrzmiały z galerii słowa »Kainie Grabski!«. Gubi się ta nić na lat dwadzieścia, by później zabłysnąć krwawo nad Katyniem. Później – nad Wilnem, gdy »sprzymierzeńcy« likwidowali Armię Krajową. I wreszcie zatrzymuje się ta nić czerwona wśród wystygłych rumowisk Warszawy. Zatrzymuje się – na jak długo?".

Michał K. Pawlikowski urodził się w majątku Pućków położonym niedaleko Bobrujska w guberni mińskiej. Jego ojciec był adwokatem, pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Kredytowego w Mińsku. Pawlikowscy na zimę przeprowadzali się do domu w Mińsku, a lato spędzali w majątku Pućków, w którym na co dzień mieszkała babcia ze strony ojca. Młody Michał bardzo dobrze czuł się na wsi, tutaj nauczył się posługiwać bronią palną, był zabierany ze starszymi na polowania. W czasie wakacji niemalże nie rozstawał się z koniem i ze strzelbą. W powieści „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego" wspominał rodzinne strony: „Piękny, szeroki i przestronny był kraj [...]. Od Niemna, Wilii oblubieńca, do urwisk dnieprowych w Orszy. Od krainy jezior witebskich, owianych już oddechem Północy, gdzie latem zorza wieczorna nie znika z widnokręgu i zlewa się z zorzą poranną, do pozłacanych kaczeńcami rozlewisk, kędy Polesie przechodzi łagodnie w Równinę Wołyńską, haftowaną szpalerami plantacji chmielu".

W 1913 roku ukończył Męską Szkołę Realną w Mińsku. W czasie nauki zaprzyjaźnił się z Bohdanem Wańkowiczem. Ród Wańkowiczów był starym rodem, wywodzącym się ze szlachty ruskiej, należał do niego m.in. Melchior Wańkowicz. Razem z Bohdanem Wańkowiczem grali na trąbach w szkolnej orkiestrze. Uczniowie wywodzący się z rodzin ziemiańskich założyli konspiracyjną organizację pod nazwą Polskie Towarzystwo Samokształcenia, którego prezesem był Maurycy „Moryś" Wańkowicz, kuzyn Bohdana. Działalność organizacji polegała na wspólnych lekturach zakazanych książek i dyskusjach.

▶ Z Pućkowa do Wilna

Po zdaniu matury Michał podjął studia na wydziale prawa w Petersburgu. Tutaj poznał rosyjską literaturę, zgłębił znajomość języka rosyjskiego. Trudno się oprzeć, by nie zacytować fragmentu wspomnień Józefa Mackiewicza, przyjaciela Michała K. Pawlikowskiego. „Pawlikowskiemu zawdzięczamy przypomnienie, że już w r. 1912, na wystawie futurystów w Petersburgu, wystawiono zdechłą mysz, przybitą na sznurku do deski, jako produkt sztuki nowoczesnej. Dziesięć lat temu sam oglądałem na wielkiej monachijskiej wystawie parę brudnych pończoch zwisających na sznurku. W roku bieżącym, 1972, tzn. równo 60 lat od tamtej zdechłej myszy w Petersburgu, parę zdeptanych podeszew zawieszonych w gablotce na wystawie awangardy. Ale minister Włoch, Preti, przypomniał akurat, że przed kilku laty na wystawie sztuki »modernej« w Rzymie wystawiono powieszoną na sznurku blaszankę z ludzkimi ekskrementami... A przypomniał to w związku z wernisażem XXXII Biennale, sztuki w Wenecji, gdzie »wystawiono« żywego człowieka, upośledzonego fizycznie i umysłowo, który siedział z zamkniętymi oczami, zwisającymi rękami, z szyldem na szyi: »Drugie rozwiązanie nieśmiertelności. Universum się nie porusza«. A gdy wreszcie wybuchło oburzenie na sali, »eksponat« zamieniono na małą, żywą dziewczynkę, która płakała żywymi łzami... (Ech, na mój gust, nahajami rozpędziłbym tę zgraję »artystów«!) (Józef Mackiewicz, Barbara Toporska, „Droga Pani", Kontra, Londyn, 1998).

Po wybuchu rewolucji bolszewickiej Michał został zmuszony przerwać naukę. Zbolszewizowani chłopi białoruscy palili, grabili polskie dwory, nie oszczędzili też Pućkowa. Z obawy przed utratą życia Pawlikowscy opuścili swój majątek. Rewolucja bolszewicka przyniosła zagładę świata ziemiańskiego w tej części dawnej Rzeczypospolitej. Michał w czasie wojny polsko-bolszewickiej pełnił funkcję sekretarza zarządu mia-

eprasa.pl f4e64891b7

sta Mińsk, służył też w 19. myśliwskiej eskadrze lotniczej w obsłudze naziemnej. Po demobilizacji wyjechał do Warszawy, gdzie ukończył przerwane studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim.

Po uzyskaniu dyplomu ukończenia studiów podjął pracę w Urzędzie Wojewódzkim w Wilnie. W 1926 roku Pawlikowski nawiązał współpracę z redakcją dziennika wileńskiego „Słowo". Dziennik powstał w 1922 roku z inicjatywy prof. Mariana Zdziechowskiego, ziemiańskiego środowiska dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego, tzw. żubrów wileńskich, prezentował wartości konserwatywne. W „Słowie" zamieszczał felietony, był też redaktorem myśliwskiego dodatku miesięcznego pod tytułem „Gdzie to, ach gdzie zagrały trąbki myśliwskie?". Pełnił funkcję wiceprezesa Towarzystwa Łowieckiego Województwa Wileńskiego.

Redaktorem naczelnym „Słowa" był Stanisław Cat-Mackiewicz, wybitny publicysta polityczny, monarchista. Na łamach „Słowa" publikowali nieprzeciętni autorzy, m.in. prof. Marian Zdziechowski, Józef Mackiewicz, brat Cata, Władysław Studnicki, Wacław Alfred Zbyszewski, Ksawery Pruszyński, Adolf Zbyszewski, Paweł Jasienica. Pawlikowski utrzymywał przyjacielskie kontakty z braćmi Mackiewiczami do grobowej deski. Był obok Kazimierza Okulicza jedyną osobą, której w listach Cat zwierzał się z bardzo intymnych spraw osobistych, powierzał tzw. tajemnice alkowy. W latach 1950–1966, z Londynu i z Warszawy, Cat-Mackiewicz wysłał do Pawlikowskiego, mieszkającego wówczas w Stanach Zjednoczonych, 260 listów. Cat-Mackiewicz zdecydowanie krytykował politykę zagraniczną Józefa Becka.

Kiedy po wojnie Józef Mackiewicz był atakowany przez różne środowiska polskiej emigracji, Pawlikowski zawsze stawał w obronie przyjaciela, bardzo cenił jego twórczość prozatorską i publicystyczną. Józef Mackiewicz pod koniec lat 40. ubiegłego wieku zerwał ze swoim bratem wszelkie stosunki. Cat w liście do Pawlikowskiego z 21 stycznia 1953 roku skarżył się: „Józio wchodząc do autobusu, którym wszyscy jechaliśmy na pogrzeb Studnickiego, odwrócił głowę, aby nie przywitać się ze mną".

Należałoby wspomnieć, że Pawlikowski zadebiutował jako dziennikarz w czasie I wojny światowej, publikując swoje artykuły w „Dzienniku Piotrogrodzkim" i „Dzienniku Mińskim".

W 1938 roku Pawlikowski opuścił Wilno, kiedy wojewodą wileńskim został Ludwik Bociański. Pawlikowski nie znosił Bociańskiego, pisał w „Wojnie i sezonie", że był to człowiek „nieuznający Litwinów i Białorusinów", że jego metody niewiele miały się różnić od metod generała – gubernatora Michaiła Murawjowa nakazującego drukowanie „grażdanką" litewskich książek do nabożeństwa. Pawlikowski otrzymał propozycję pracy w pomorskim urzędzie wojewódzkim w Toruniu. Jego zwierzchnikiem był wojewoda Władysław Raczkiewicz. Obaj panowie doskonale się znali, współpracowali już ze sobą w wileńskim urzędzie wojewódzkim w latach 1926–1931. Władysław Raczkiewicz od września 1939 do 6 czerwca 1947 roku, do śmierci, pełnił funkcję prezydenta RP na uchodźstwie.

Razem w Wilnie i Londynie

Wojna zastała Pawlikowskiego w Toruniu. Pod koniec 1939 roku dotarł do Wilna, kiedy Wileńszczyzna była okupowana przez Litwinów. Tutaj podjął współpracę dziennikarską z wydawaną i redagowaną przez Józefa Mackiewicza „Gazetą Codzienną". Publikowali w niej m.in. Barbara Toporska, żona Józefa Mackiewicza, Czesław Miłosz, Aleksander Rymkiewicz, Wacław Zbyszewski, Teodor Bujnicki, Janusz Minkiewicz. Mackiewicz próbował integrować Polaków, Litwinów i Białorusinów w obliczu śmiertelnego zagrożenia ze strony Sowietów. Ważnym celem dziennika było ożywienie idei tzw. krajowców. Pisała o tym m.in. Barbara Toporska: „Nazwano nas krajowcami, gdyż reprezentujemy interesy mieszkańców tego kraju [...]. Broniliśmy przed wojną interesów obywateli tej ziemi przed przerostami centralistycznej administracji. Staliśmy na straży zarówno spraw Polaków tutejszych, jak i Białorusinów, jak i Litwinów. Dziś ci ostatni nie potrzebują naszej pieczy. W ten sposób w imię tej samej krajowości chcemy dziś bronić w pierwszym rzędzie interesów Polaków tutejszych" („Gazeta Codzienna" nr 42, 1940).

W czerwcu 1940 roku, na krótko przed okupacją sowiecką, Pawlikowski przedostał się do Szwecji. Po trzech latach pobytu w Sztokholmie, gdzie redagował pismo „Wiadomości Polskie", wyjechał do Anglii.

W Anglii zamieszkał w Londynie. W 1946 roku przystąpił do współpracy z tygodnikiem „Lwów i Wilno", którego wydawcą i redaktorem naczelnym był Stanisław Cat-Mackiewicz. Tygodnik był niejako kontynuacją wileńskiego „Słowa", wyraźnie wyróżniającym się na tle innych emigracyjnych polskich pism. Jerzy Jaruzelski, biograf Cata-Mackiewicza, pisał, że tygodnik ten „ze swym regionalizmem, pielęgnowanym starannie ziomkostwem kresowym, był czymś egzotycznym i osobliwym także wśród czasopism emigracji". Z tygodnikiem współpracowali – oprócz Michała Pawlikowskiego – Wacław A. Zbyszewski, Józef Mackiewicz, Władysław Studnicki, a więc stara wileńska gwardia. Pismo zakończyło swój żywot w 1950 roku w sposób dość nieoczekiwany. Cat-Mackiewicz swoim ostrym piórem ugodził w jednym z artykułów Tadeusza Zawadzkiego (używają-

eprasa.pl f4e64891b7

cego pseudonimu Żenczykowski), późniejszego dziennikarza Radia Wolna Europa. Cat napisał o nim, że to „były szef propagandy Ozonu, czyli swego rodzaju Goebbels obozu sanacyjnego". Cat przegrał sprawę o zniesławienie przed angielskim sądem i musiał zapłacić 4 tys. funtów jako zadośćuczynienie. Na owe czasy była to bardzo duża kwota.

W 1949 roku Pawlikowski wyjechał do Stanów Zjednoczonych. W niedługim czasie otrzymał posadę na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, był lektorem języków polskiego i rosyjskiego. Współpracował z polskimi i rosyjskimi pismami emigracyjnymi, m.in. z londyńskimi „Wiadomościami" Mieczysława Grydzewskiego, „Kulturą" Jerzego Giedroycia.

Na uniwersytecie Pawlikowski zaprzyjaźnił się z profesor Jadwigą Maurer, polską pisarką żydowskiego pochodzenia, która była kierownikiem katedry slawistyki. Zachowało się wspomnienie Jadwigi Maurer z okresu pracy na uniwersytecie: „Byłam w Berkeley na Uniwersytecie Kalifornijskim blisko zaprzyjaźniona ze starszym ode mnie o półtora pokolenia Michałem K. Pawlikowskim. Pan Michał pochodził ze staroszlacheckiej rodziny z Mińszczyzny. Mieszkał w Wilnie, ukończył prawo w Petersburgu [raczej zaczął, bo ukończył w Warszawie – przyp. D.J.]. Jednym słowem obracał się w tej samej orbicie co Mackiewicz. Był jednym z klanu, był Litwinem. Pan Michał był gawędziarzem i niespodziewanie dla siebie znalazł we mnie wdzięczną słuchaczkę. Kiedy się zjawiłam w Berkeley był już na emeryturze jako lektor języka rosyjskiego i polskiego i przychodził codziennie do biura, żeby się nie nudzić w domu. [...] Był autorem dwóch autobiograficznych powieści: »Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego« i »Wojna i sezon«. Kiedy podarował mi te dwa tomy, stwierdziłam bez większego zdziwienia, że znam już właściwie ich treść, wraz z anegdotami z tego, co pan Michał mi opowiadał. Pan Michał i pan Józef [Mackiewicz – przyp. D.J.] korespondowali pilnie ze sobą. Znałam urywki ich listów. [...] Kiedy pan Michał umarł, w dwóch pośmiertnych artykułach podzieliliśmy z panem Józefem pierwszą stronę »Wiadomości«".

Dwie gawędy

W 1959 roku ukazała się w Londynie powieść autobiograficzna – gawęda „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego". Tadeusz Irteński jest świadkiem końca świata polskich ziemian mieszkających od wieków w widłach Berezyny i Dniepru. Wspomnienia doprowadził Pawlikowski do roku 1914, do momentu wybuchu wielkiej wojny. Powieściowy Tadeusz to *alter ego* pisarza, powieściowy majątek Baćków to rodzinny Pućków. Następną powieść, pod tytułem „Wojna i sezon", wydał Pawlikowski w Paryżu w 1965 roku. „Wojna i sezon" jest kontynuacją „Dzieciństwa i młodości...". Wojna to właściwie dwie wojny – I wojna światowa i wojna polsko-bolszewicka, a sezon to okres międzywojenny II RP. Pierwotnie pierwsza z powieści nosiła tytuł „Bajka". Jak wyjaśniał autor: „Bajka – słodka bajka miękkich czasów dziewiętnastego stulecia – skończyła się. Historia z beztroską powagą przedwcześnie dojrzałego dziecka odwróciła kartę".

Obie powieści Pawlikowskiego utrzymane są w poetyce gawędy, noszą też cechy eposu. W tekście „Dzieciństwa i młodości..." mieni się od barwnych anegdot. „Święta wielkanocne, które w roku tym przypadły na 6 kwietnia starego stylu, minęły wesoło. Po rezurekcji w katedrze było przyjęcie u państwa Irteńskich, na drugi dzień u państwa Święcickich. Niemal przez cały tydzień trwały wędrówki z domu do domu. Stoły rzecz jasna uginały się pod ciężarem malowanych jaj, szynek, kiełbas, pieczonych prosiąt, indyków, zwierzyny i mazurków. Lała się starka i krążyły kielichy wina węgierskiego i starego miodu z reńskiej piwnicy pana Staroniewicza. Bywalcy wielkanocni, którzy uważali za punkt honoru, aby nie opuścić ani jednego święconego w niezliczonych domach krewnych, przyjaciół i znajomych i którzy nieraz potrafili jednego dnia odwiedzić po piętnaście domów, obżerali się do takiego stopnia, że musieli co wieczór brać silne środki przeczyszczające, żeby proces trawienia przyśpieszyć i miejsce w żołądku dla nowych delikatesów kuchni litewskiej otworzyć".

Pawlikowski opowiadał się za granicą na wschodzie z 1772 roku nie tylko ze względów sentymentalnych, lecz także uważał, że oddanie bolszewikom naszej ziemi zachwiało prestiżem Polski w Europie. Polska, rezygnując z jagiellońskich ambicji, kiedy Rzeczpospolita była potęgą w Europie, „wydała na siebie wyrok", skazała się na słabe państwo.

„Wojna i sezon" jest gorzkim rozrachunkiem z II RP, kroniką ostatnich lat istnienia szlachty litewskiej. Pawlikowski nie lukrował rzeczywistości politycznej okresu międzywojnia, nie uznawał poprawności politycznej, głupotę nazywał głupotą, tchórzostwo tchórzostwem. Ostro krytykował schyłkowy okres rządów sanacji. „Pan Bociański był pułkownikiem, dyplomowanym, a więc tumanem ex definitione. [...] był najgorszą kombinacją – chytrej tępoty z energią. Zresztą, jeśli o politykę chodzi, był na terenie Wileńszczyzny miniaturą i wiernym wykonawcą generała Sławoja Składkowskiego. [...] Niezależne i buntownicze »Słowo« Stanisława Mackiewicza było solą w oku Bociańskiego. [...] Zaczęły się konfiskaty »Słowa«. Najpierw co tydzień, później co drugi dzień. [...] Tak tedy nienawiść pana Bociańskiego do »Słowa« rosła. Gnębił »Słowo« wszelkimi sposobami. Skoro konfiskaty nie pomagały, starał się – co mu się nie udało – przekonać Bank ziemski, aby cofnął »Słowu« subsydia

eprasa.pl f4e64891b7

w formie ogłoszeń licytacyjnych. W niedalekiej przyszłości – już po przeniesieniu się Tadeusza do Torunia – nienawiść miała doprowadzić do zesłania Stanisława Mackiewicza do Berezy, którą Bociański groził mu od dawna. Zesłanie Cata-Mackiewicza do Berezy było – może podświadomą – zemstą gen. Składkowskiego za te czasy, gdy Piłsudski godzinami rozmawiał z Mackiewiczem w Druskiennikach, a Sławojowi groził, że go za drzwi wyrzuci. Bociański coraz krzywiej patrzał na Tadeusza z powodu jego współpracy ze »Słowem«, chociaż Tadeusz przezornie redagował oficjalnie tylko dodatek łowiecki podpisując inne artykuły różnymi pseudonimami. Powoli zatracało się poczucie wszelkiej miary. Żyło się w świecie gombrowiczowskim. Rozumni zostali brutalnie odtrąceni, a naprzód cisnęły się miernoty. Nie było głupstwa, którego by nie wymyślono u góry, a które natychmiast znajdowało rezonans u dołu".

Tylko prawda jest ciekawa

Nadzwyczaj interesującą recenzję powieści „Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego" napisał Józef Mackiewicz pt. „Ostatnie dni Wielkiego Księstwa Litewskiego" (Kultura, Paryż, nr 4/ 150 1960). Już w pierwszych zdaniach Mackiewicz z uznaniem potraktował powieść przyjaciela, a niełatwo było zasłużyć na jego pochwały: „Książkę Michała K. Pawlikowskiego pt. »Dzieciństwo i młodość Tadeusza Irteńskiego« /pierwotny tytuł: »Bajka«/, uważam za najlepszą książkę napisaną i wydaną na emigracji. Mówię to bez obawy posądzenia o przesadę; z głębokiego przeświadczenia. Książka dotyczy końcowej fazy pewnej epoki dziejowej. Zarazem ostatnich lat mojej ojczyzny, która przestała istnieć w wyniku pierwszej wojny światowej".

Zdaniem Mackiewicza powieść Pawlikowskiego jest „czymś więcej niż wspomnieniem", „jest to swojego rodzaju epos". Recenzja autora „Drogi donikąd" obfituje w liczne dygresje. Józef Mackiewicz powraca w recenzji do swoich lat dzieciństwa i wczesnej młodości, które też przeżywał w carskiej Rosji, jednak miał zdecydowanie mniej doświadczeń od Michała Pawlikowskiego, choćby z tej racji, że był od niego o dziewięć lat młodszy. „Gdyby mnie dziś zapytano, czy pragnąłbym wrócić do owej epoki? – odpowiedziałbym bez zająknięcia: z całego serca i duszy! – Oczywiście, nie trzeba być psychologiem, żeby się znać na źródłach nostalgii do terenu dzieciństwa, albo do »starych dobrych czasów«, u wszystkich ludzi wszystkich epok. Normalnie rzecz biorąc, nie można żadnej z nich idealizować, bo wiadomo, że idealnej nie było i nie będzie. Nigdy. Można tylko zestawiać post factum. Najbardziej trafnym zestawieniem tego rodzaju wydaje mi się przytoczone przez Fedora Stepuna: »Wiek XIX był wiekiem nieudanego dobra, a XX wyjątkowo udanego zła«. Pawlikowski w swej książce wyraźnie usiłuje otrząsnąć się z idealizacji. Posuwa obiektywizm do granic możliwie dostępnych z dzisiejszej perspektywy. Ponieważ, w gruncie rzeczy, na świecie tylko prawda jest ciekawa, więc tworzy ze swej książki rzecz poza wszystkim, niezmiernie ciekawą. Nawet tam, gdzie sądy autora budzą niejakie zastrzeżenia, prawdę ich ratuje najczęściej »Tadeusz Irteński«, boć jego to dzieciństwo i młodość opowiada książka. A jako recenzent, mogę być zarazem świadkiem koronnym, że właśnie takie były sądy Tadeuszów Irteńskich tamtych czasów".

Po śmierci Michała K. Pawlikowskiego Józef Mackiewicz zamieścił w „Wiadomościach" londyńskich (nr 34, 1972 rok) wspomnienie o przyjacielu. „30 maja br. [1972 – przyp. D.J.] zmarł na Wyspach Hawajskich Michał K. Pawlikowski. Od kilku lat jeździł tam regularnie z Berkeley dla spędzenia wakacji. Otrzymywałem wtedy bajecznie kolorową kartkę, często własną jego fotografię w towarzystwie dekoratywnej Hawajki przybranej w egzotyczne pióra. [...] Michał K. Pawlikowski stał się kronikarzem tamtych dziejów, przenosząc odbicie tych ziem i czasów aż w nasze emigracyjne życie. [...] pisze kronikę dzieciństwa i młodości z percepcji szlacheckiej familii. [...] Pawlikowski był moim przyjacielem. Pisałem o nim ciągle za jego życia. Nie jest mi łatwo pisać po jego śmierci, tym bardziej nie powtarzając się. Był dużo starszy. Za »dzieciństwa i młodości« drogi nasze nie krzyżowały się. Poznałem go dopiero w Wilnie. [...] Był namiętnym myśliwym i poetycznym miłośnikiem naszego »myśliwskiego« krajobrazu, gdzie nawet najrozleglejsze równiny błotne nie bywały bez sinej wstęgi lasów na horyzoncie. [...] Pawlikowski lekceważył sobie trochę lasy Wileńszczyzny, wspominając tamte, z utraconego raju, lasy Berezyny, Ptyczy, wschodniego Polesia. [...] W tym roku miał jechać do Europy. Czuł się znowu doskonale. Przedtem wybrał się z żoną na Hawaje. Dnia 30 maja poszli po śniadaniu na plażę. Pawlikowski pływał w Oceanie Wielkim, czyli Spokojnym, był wesół, żartował. Później robił na plaży zdjęcia ładnych dziewcząt. Później wysypywał piasek ze swoich sandałów plażowych i... Umarł zupełnie nagle, w sekundę już go nie było. Wszystkie zabiegi, aby przywrócić mu bicie serca, były daremne. Zgodnie z jego dawnym życzeniem, pochowany został na Wyspach Hawajskich (»tam, gdzie umrę«). Zapewne nie dane mi będzie odwiedzić grób przyjaciela". ■

***

Michał K. Pawlikowski i Józef Mackiewicz nie dożyli czasów, kiedy doszło do ponownej konfiguracji dawnych granic ziem Wielkiego Księstwa Litewskiego w wyniku rozpadu Związku Sowieckiego. Historia jednak nie ma końca.

eprasa.pl f4e64891b7



Gdyby nie śmierć ojca Maksymiliana Kolbego, polskiego franciszkanina, w bunkrze głodowym obozu koncentracyjnego Auschwitz, być może wielu ludzi Zachodu –Francuzów, Holendrów, Belgów – nie wiedziałoby, kim jest Bóg.

Ewa Polak-Pałkiewicz

Nie patrz na nas!



fot. ARCH.

Być może wśród tych, którzy nie wiedzieliby, kim Bóg jest, byłoby szczególnie wielu Niemców. Jest wszakże pewne, że ojciec Maksymilian w celi śmierci wzbudził w niektórych spośród tych wielu Niemców, przekonanych dotąd o potędze swojej rasy, niewymowny strach. Zamordowano go z powodu tego strachu. Nie była to bowiem śmierć naturalna. Ojciec Kolbe nie umarł z głodu, tak jak zostało to zaplanowane. Esesman nie przyszedł zamordować go zastrzykiem fenolu „z litości", jak się to dziś niekiedy naiwnie interpretuje. Po dwóch tygodniach, odkąd ojciec Kolbe został wtrącony do głodowego bunkra razem z innymi skazańcami, nadal żył, choć nie przysługiwał mu najmniejszy okruch chleba i kropla wody. Powietrza w tej ciasnej celi było także bardzo niewiele. Żył jednak.

Niemcy nie chcieli w obozie śmierci człowieka, którego Bóg trzyma przy życiu. Wbrew ich wyrokowi. Wbrew nadzwyczaj sprawnie działającej – aż dotąd bez przeszkód – machinie śmierci, którą wprawili w ruch. Przemyślanej w najdrobniejszym szczególe. Wbrew całej wiedzy medycznej i naukowej, jaką dysponowali. Ach, jakże ci Niemcy cenili naukę i jej dowody.

A tymczasem ojciec Kolbe wciąż nie umierał. Ten, który na pytanie obozowego nadzorcy, kim jest, miał jedną tylko odpowiedź: „Jestem kapłanem katolickim". W tym miejscu, gdzie „Bóg umarł", dla inspiratorów i organizatorów przemysłu śmierci stało się w najbardziej oczywisty sposób jasne, że można żyć Bogiem. Bogiem samym. Bez kropli wody. Tego nie byli w stanie znieść.

I gdy towarzysze ojca Maksymiliana z więziennego lochu, skazani na śmierć z powodu ucieczki jednego z więźniów, umierali w niewyobrażalnych męczarniach, przez czternaście dni sierpnia 1941 roku z głodowego bunkra dochodziły na zewnątrz dźwięki hymnów śpiewanych na cześć Boga. Modlitwa uwielbienia odmawiana silnym męskim głosem polskiego zakonnika. Słowa modlitwy różańcowej. Tego nie można było wytrzymać.

„Polska będzie wolna i sprawiedliwa"

Nieliczni z elitarnego grona przywódców wojskowych Niemiec wiedzieli już wtedy zapewne, że Bóg podtrzymuje w sposób niepojęty dla człowieka życie tych, których chce zachować. Marta Robin (1902–1981), Francuzka, żyła przez kilkadziesiąt lat wyłącznie Komunią św. Również Niemka, wieśniaczka z Bawarii Teresa Neumann (1898–1962), dziś Służebnica Boża, przez kilkadziesiąt lat nie przyjmowała pokarmów ani wody. Była jedyną osobą w państwie Hitlera, której nie przysługiwały kartki na żywność. Hitler panicznie obawiał się tej kobiety. Esesmani nie zbliżali się nawet do jej wioski, choć prowadzono tam obserwacje i słano donosy.

Propaganda III Rzeszy robiła wiele, by ją ośmieszyć i zniesławić, bowiem jej stygmaty, mistyczne przeżycia

i skuteczność modlitw za innych przysparzały jej niebywałej popularności. Dziennikarz, publicysta i historyk Fritz Gerlich kilkakrotnie, w latach 20. i 30. ubiegłego wieku, odwiedzał Teresę Neumann, prowadził nawet coś w rodzaju badań naukowych nad jej fenomenem, początkowo bowiem uważał, że cała jej historia to oszustwo. W końcu wydał broniącą ją broszurę „Walka o wiarygodność Teresy Neumann". Odstąpił od kalwinizmu i przyjął wiarę katolicką, przypieczętowując nawrócenie ślubem u kapucynów. W wydawanym przez siebie w Monachium tygodniku „Der Gerade Weg" przestrzegał przed polityką Hitlera i przewidywał bankructwo III Rzeszy. W 1933 roku Gerlich został pobity i aresztowany, a po roku zamordowany w Dachau.

Po II wojnie Teresa Neumann, odwiedzana w swojej wiosce m.in. przez Polaków z Armii Andersa, którzy obawiali się wracać do kraju, przepowiedziała, że Polska ocaleje, nawet gdyby doszło do III wojny światowej, bowiem przez naszą ziemię będzie pielgrzymować Matka Boska Częstochowska, która weźmie ją pod swoją opiekę. „Wy, Polacy, macie do nas, Niemców żal, bośmy was skrzywdzili" – mówiła. „Macie rację, ale przez to wyście już wszystko odpokutowali. Na nas, Niemców, przyjdzie jeszcze pokuta, wy możecie czuć się spokojni. Za wami wstawiła się Czarna Madonna, która będzie chodzić po ziemiach polskich. Wam się już nic złego nie stanie". Powiedziała też: „W języku polskim będą głoszone najmądrzejsze prawa i najsprawiedliwsze ustawy".

Człowiek wiecznie umierający

Ojca Maksymiliana Marię Kolbego przedstawia się niekiedy jako człowieka, któremu udawało się wszystko, czego się tknął. Założyciel Rycerstwa Niepokalanej (łac. Militia Immaculatae), miesięcznika „Rycerz Niepokalanej" (o milionowym nakładzie) oraz gwardian najliczniejszego klasztoru na świecie mógł już za życia czuć się bohaterem. Rycerstwo Niepokalanej założył, przebywając na studiach w Rzymie, krótko po ujrzeniu bluźnierczej procesji z czarnymi sztandarami, która szła głównymi ulicami Wiecznego Miasta w styczniu 1917 roku; wznoszono – tak jak dziś u nas, podczas demonstracji rozjuszonych kobiet – obrzydliwe hasła i groźby wobec Kościoła i papieża. Stowarzyszenie miało zajmować się apostolstwem, jego patronką została Maryja. W rzeczywistości jednak ojciec Maksymilian miewał w swoim życiu mnóstwo przeciwności. Dwóch jego braci zmarło we wczesnym dzieciństwie, trzeci, również franciszkanin, jako trzydziestolatek. „Prawdą jest, że całe jego życie było długą udręką: skutki gruźlicy uczyniły z niego człowieka nieustannie umierającego, któremu lekarze dawali zaledwie trzy miesiące życia. Pierwsze pięć lat istnienia M.I. naznaczone były drwiną kolegów, co powodowało duchową samotność, bycie niezrozumianym i nieakceptowanym przez nikogo. Podobnie sześć lat spędzonych w Japonii: opuszczenie i zdrada przez własnych braci, nieufność i wrogość pewnych członków duchowieństwa, brak środków, czasem nawet tych koniecznych do życia", pisze jeden ze współczesnych kontynuatorów dzieła św. Maksymiliana.

Jednak Rycerstwo się rozwijało. Rozwijał się klasztor i jego dzieła. „Jakże wielki sukces, gdy w czerwcu 1939 roku Niepokalanów liczył 13 księży, 762 braci i ponad setką seminarzystów, i dysponował dobrą prasą jako narzędziem apostolatu, niespotykanym nigdzie indziej w świecie!".

Ojciec Maksymilian miał talenty matematyczne i zamiłowanie do techniki; w 1915 roku złożył w urzędzie patentowym projekt pojazdu międzyplanetarnego, tzw. Eteroplanu . W Niepokalanowie uruchomił własną elektrownię oraz dalekopis; na rok przed wojną zaczął tu budować telewizję, studio filmowe i lotnisko. Gdy nie mógł zdobyć pozwolenia na uruchomienie radiostacji, został krótkofalowcem z przynależnością do Polskiego Związku Krótkofalowców. To był początek Radia Niepokalanów, które słyszano w całej Polsce. „Wojna przyniosła konfiskatę Niepokalanowa przez wojska niemieckie, mobilizację prawie wszystkich braci i uwięzienie ostatnich czterdziestu dwóch, zesłanych do obozów koncentracyjnych... Jakże ciężka próba – można by rzec, że w ciągu jednego dnia całe dzieło ojca Kolbe legło w gruzy... Dla niego było jednak oczywiste, że najcięższe próby są również chwilami największych łask".

„U mnie wszystko dobrze"

Z ostatniego listu ojca Maksymiliana do matki: „Moja kochana Mamo, pod koniec miesiąca maja przyjechałem z transportem do obozu w Oświęcimiu. U mnie jest wszystko dobrze. Kochana Mamo, bądź spokojna o mnie i o moje zdrowie, gdyż dobry Bóg jest na każdym miejscu i z wielką miłością pamięta o wszystkich i o wszystkim. Byłoby dobrze przed moim następnym listem nie pisać do mnie, ponieważ nie wiem, jak długo tu pozostanę. Z serdecznymi pozdrowieniami i pocałunkami – Kolbe Rajmund".

Więźniowie zapamiętali go jako człowieka pełnego wewnętrznego pokoju. „[...] sprawiał, że mieliśmy więcej ufności w Bogu i osłabiał nasz lęk przed śmiercią... Pamiętam, jak mówił: »Ja nie boję się śmierci, boję się grzechu«... Zachęcał nas, aby nie bać się śmierci i aby mieć na sercu zbawienie naszych dusz. Mówił, że jeśli nie będziemy obawiać się niczego oprócz grzechu, modląc się do Chrystusa i szukając wstawiennictwa Maryi, poznamy pokój. Potem ukazywał nam Chrystusa jako jedyne pewne oparcie i jedyną pomoc, na którą mogliśmy liczyć. [...] wydawało się, że nie ma większej siły od tej, która od niego emanowała" (Aleksander Dziuba, więzień Auschwitz).

eprasa.pl f4e64891b7

„28 maja 1941 o. Maksymilian został wywieziony z Pawiaka w Warszawie do niemieckiego obozu zagłady KL Auschwitz, gdzie 14 sierpnia 1941 poniósł śmierć głodową, dobity zastrzykiem trucizny". Tak zwykle relacjonuje się to wydarzenie. Ale czy można jednocześnie umrzeć z powodu zagłodzenia i z powodu otrzymania zastrzyku z trucizną? I po co trucizna, kiedy umiera się z głodu?

Wydarzenia w bunkrze głodowym opisała kilka lat po wojnie pisarka Maria Winowska. Jej rzetelna reporterska książka najstaranniej zbierająca fakty – „Le Fou de Notre-Dame" („Szaleniec Niepokalanej") – wyszła w Paryżu w 1950 roku. „Nie autor, lecz temat tłumaczy fantastyczne wprost powodzenie tej książki, wydanej w dwunastu nakładach, przetłumaczonej na jedenaście języków, uwieńczonej nagrodą Akademii Francuskiej" – mówiła kilka lat później Winowska, znakomita romanistka i działaczka emigracyjna, późniejsza bliska współpracowniczka Prymasa Wyszyńskiego, mieszkająca na stałe w Paryżu. Wydanie amerykańskie „The death camp proved Him real" („Obóz śmierci udowodnił, że On istnieje"), nawiązuje do wyzwania, jakie Winowskiej rzucił człowiek, który cztery lata spędził w Dachau; powiedział, że uwierzy w Boga, gdy ona pokaże mu świętego w obozie. Gdy Franciszkanie z Niepokalanowa wydawali polską wersję książki, cenzura mocno ją pocięła. Maria Winowska nie miała jednak prawa dotrzeć nawet z tak okrojoną wersją do polskich czytelników; komuniści wykradali egzemplarze „Szaleńca Niepokalanej" z biblioteki klasztornej.

Był jakby w ekstazie

„Głośno się modlił, tak że i jego współtowarzysze mogli słyszeć i modlić się razem z nim... Współwięźniowie narzekali i w rozpaczy krzyczeli, a nawet przeklinali, lecz po jego słowach pogodzili się ze swym strasznym losem... P. Borgowiec wchodził co dzień do celi, by wyciągać trupy. Skazańcy leżeli, jeden tylko o. Maksymilian stał lub klęczał wpośród nich. Wzrok miał tak przenikliwy, że SS-mani znieść go nie mogli i krzyczeli: »Schau auf die Erde, nicht auf uns! W ziemię patrz, nie na nas!«

Niektórzy skazańcy wijąc się w nieludzkich bólach błagali o kroplę wody; nigdy on. Pewnego razu jeden ze zbirów zawołał: »So einen wie diesen Pfaffen haben wir nie gesehen. Das muss ein aussergewohönlicher Mensch sein! Takiego jak ten klecha, nie widzieliśmy nigdy; to musi być jakiś nadzwyczajny człowiek!«.

Dodajmy szczegół drastyczny, który może urazi delikatne uszy. Tymci gorzej dla pięknoduchów! P. Borgowiec zeznaje, że nie potrzebował wynosić wiadra higienicznego, gdyż było stale puste.

Płyną dni. Oto wigilia Wniebowzięcia. W celi śmierci leży na posadzce trzech konających, bez przytomności. O. Maksymilian siedzi na posadzce oparty o ścianę i oczy ma otwarte, przytomne.

Za długo trwa zbirom to konanie. Dziś właśnie kat obozowy Bock otrzymał rozkaz wykończenia niedobitków. Wchodzi, trzymając w ręku strzykawkę z kwasem fenolowym. O. Maksymilian z uśmiechem podaje mu ramię" (Maria Winowska „Szaleniec Niepokalanej").

I jeszcze jedna relacja: „Umierał bez świadków... Ale Niepokalana nie pozwoliła, by tak zupełnie ukrytą pozostała śmierć Jej gorliwego sługi. Oto w kilka chwil po zastrzyku i wyjściu Niemców z bunkra śmierci wszedł tam więzień obozowy i pisarz bunkra, by wynieść ciała zmarłych i oczyścić celę śmierci. »Gdy miałem ciało o. Kolbego wynieść z celi – zeznaje pod przysięgą – i drzwi otworzyłem, podpadło mi, że o. Kolbe siedział na posadzce oparty o ścianę i miał oczy otwarte. Jego ciało było czyściutkie i promieniowało. Każdemu podpadłaby ta pozycja i każdy sądziłby, że to jakiś święty. Jego twarz oblana była blaskiem pogody. Ciała innych więźniów zastałem leżące na posadzce, zbrudzone i o zrozpaczonych rysach. Pogodna, czysta twarz o. Maksymiliana promieniowała«" (Zdzisław J. Kijas OFMConv). „Jeden o. Maksymilian tak wyglądał, jakby był w ekstazie", dodaje Maria Winowska, powołując się na relację P. Borgowca.

Kościół, który nie chciał spłonąć

Co łączy fakt przyznania najwyższego niemieckiego lauru filmowego dla szkalującego Polaków serialu „Nasze matki, nasi ojcowie", przedstawiającego nas jako antysemitów i prymitywów, wyprodukowanego niedawno przez naszych zachodnich sąsiadów, zamalowaną jesienią 1959 roku wieżę kościoła św. Augustyna w Warszawie na Nowolipkach i wybieg dla modelek zorganizowany przed ołtarzem tej świątyni na jesieni 2013 roku?

Kościół św. Augustyna znajdował się w czasie ostatniej wojny na terenie warszawskiego getta. Jako jedyny obiekt na tym obszarze nie został przez Niemców zniszczony. Całe getto spłonęło, kościół ocalał. Wszystko wokół zostało obrócone w pył, kościół pozostał nietknięty wraz z otaczającą go kępą wspaniałych drzew. Dlatego, że Bóg tak chciał.

Choć wersja oficjalna tego nie potwierdza, jednak istnieje przekonanie, że ciało o. Maksymiliana Marii Kolbego także nie chciało spłonąć w piecu krematoryjnym, mimo ponawianych prób. Niemcy musieli je zakopać na terenie obozu. Gdzie znajduje się grób świętego, który nie umierał, choć go głodzono w bunkrze śmierci?

Po latach kolejny symbol opieki Bożej nad Polską – kościół św. Augustyna w Warszawie – próbowano zniszczyć, tym razem od wewnątrz. Ale to nie jest jeden z wielu kościołów, potwierdza to jego historia. W czasie wojny dwaj księża z tej parafii zostali zamordowani przez Niemców za pomoc Żydom. Proboszcza ks. Garncarka zamordowano 20 grudnia 1943 roku, wikarego, ks. Leona Więckowicza, aresztowano 3 grudnia 1942 roku i zamęczono w obozie Gross-Rosen w sierpniu 1944 roku.

eprasa.pl f4e64891b7

Nad wejściem kościoła św. Augustyna pozostała do dziś tablica fundacyjna ze słowami: „Bogu w Trójcy świętej Jedynemu na cześć i chwałę, wiernym Jego wyznawcom na wzmocnienie i pociechę" . W pierwszych latach wojny kościół służył katolikom z przyległych ulic, potem ochrzczonym mieszkańcom getta. Gdy świątynia została przez Niemców zamknięta, Żydzi z getta urządzili w niej teatr, który działał od lipca 1941 roku. Nazwano go: Nowy Teatr Kameralny, kierował nim Andrzej Marek (Marek Arnsztejn), który wystawił tu sztuki m.in. „Potęga pieniądza", „Moje żony mnie zdradzają", „Finał małżeństwa".

Wtedy właśnie, gdy rozpoczynał swoją działalność teatr żydowski w kościele św. Augustyna, w celi bunkra głodowego w Auschwitz ojciec Maksymilian Kolbe wznosił pieśni wielbiące Boga i śpiewał na cześć Najświętszej Maryi Panny.

Po zagładzie getta Niemcy upatrzyli sobie kościół na magazyn rzeczy zrabowanych Żydom, potem urządzili tu stajnię. Podczas powstania warszawskiego na wieży kościoła okupanci zainstalowali punkt obserwacyjny i gniazdo niemieckiej broni maszynowej. 13 sierpnia 1944 roku w pobliżu kościoła (od ulicy Dzielnej) dokonano ostatniej egzekucji na więźniach Pawiaka. Zamordowano dziewięćdziesiąt osiem osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Po Powstaniu Niemcy podpalili dach świątyni z zamiarem jej zniszczenia. Kościół nie został jednak uszkodzony, spłonęła tylko sygnaturka, organy i drzwi. Niemcy działali w pośpiechu, planowane wysadzenie kościoła nie doszło do skutku.

Dlaczego kościół św. Augustyna ocalał? To pytanie zadawało wielu ludzi, katolików i żydów. Być może stawiali je i Niemcy. Jego ocalenie ma sens nie tylko symboliczny. Mówi ono, że rachuby Boga nie są rachubami ludzi. Ludzie nie mogą czynić tego, co by chcieli, jeśli Bóg tego nie chce. Majestatyczny kościół z siedemdziesięciometrową wieżą pozostał w morzu ruin, dumny i wyniosły.

8 listopada 2013 roku, pod nieobecność księdza proboszcza, odbył się tutaj pokaz mody. Wiadomo, nie ma lepszego miejsca, by zaprezentować półgołe modelki. „Wybieg" przed ołtarzem, teatru ciąg dalszy. Modelki pojawiły się ze świecami w dłoni, niektóre w krótkich szortach. „Zadziwiający, jak na miejsce, był wybór muzyki z filmów »Dziecko Resemary« czy »Tajemnice Brokeback Mountain«", pisano w komentarzach. Zaskoczyła również kolekcja... Zaproszono mnóstwo osób. Choć nie wpuszczono fotoreporterów, zdjęcia z imprezy przedostały się na światło dzienne. Ale jakoś brakowało entuzjazmu, nikt nie klaskał. Modelki chowały się po kątach. Nawet najbardziej oddani miłośnicy tego typu wydarzeń czuli niesmak. Autor kolekcji jakiś spłoszony. Niepokój, wstyd, zażenowanie. Co się stało?

Przypadek, że doszło do czegoś takiego w polskiej świątyni? Co mogło być powodem profanacji? A spektakle w kościołach? Koncerty, widowiska, konkursy, nagrody, tańce (oczywiście liturgiczne), popisy, występy, anegdoty... Przed ołtarzem, na którym Chrystus codziennie umiera. Przy tabernakulum, w którym mieszka prawdziwy Bóg. Tak jak w Paryżu, gdzie inauguracją „powrotu do życia", jak to zapowiedziano, katedry Notre Dame okazał się koncert, nie msza, jakby chodziło o salę widowiskową.

Czy nikt z organizatorów tego rodzaju widowisk i koncertów nie drży przed Bogiem, obrażanym w Jego domu? Czy nikt już nie pamięta słów, które padły owego ranka na placu apelowym w niemieckim obozie śmierci, z tak niewypowiedzianą godnością z ust polskiego więźnia... W chwili tak wyjątkowej, gdy Bóg spojrzał z miłością na wychudzoną postać w pasiaku: „Jestem kapłanem katolickim. Jestem kapłanem"...

„[...] księża pracujący w par. św. Augustyna wraz z Kurią Warszawską wyrażają ubolewanie, iż doszło do tego rodzaju wydarzenia, przepraszają wszystkich, którzy mieli prawo poczuć się tym wydarzeniem urażeni, oraz oświadczają, że zdecydowanie są przeciwni organizowaniu takich prezentacji w kościołach i innych miejscach sakralnych", brzmiał komunikat Kurii Warszawskiej. Pokaz mody odbył się niemal w rocznicę innego wydarzenia, które zwróciło na kościół św. Augustyna oczy całej Warszawy.

„Kłania się średniowiecze"

W sobotę 7 października 1959 roku, w święto Matki Boskiej Różańcowej, kościół św. Augustyna stał się obiektem nadzwyczajnego zainteresowania. W tym samym roku Maria Winowska wydała w Paryżu w języku polskim książkę o ojcu Kolbem, który chciał zdobyć cały świat dla Niepokalanej.

Zgodnie z relacjami świadków, gdy zapadł wieczór, na tle pokrytej blachą miedzianą kuli znajdującej się u podstawy krzyża wieńczącego wieżę świątyni przy ul. Nowolipki ukazała się świetlista postać. Niewiasta w jasnej, długiej sukni i płaszczu z rozłożonymi rękami, spoglądająca w dół, opierająca stopy na kuli. Nad jej głową aureola nazywana w niektórych relacjach koroną. Ludzie oblegający świątynię nie mieli wątpliwości, kim jest ta postać. Nazwali Ją Matką Boską Muranowską – Współczującą, Miłosierną Opiekunką Polski.

Zjawisko powtórzyło się w dniach następnych. Odtąd widziano postać Maryi przez dwadzieścia kolejnych dni, aż do końca listopada. Z dnia na dzień pod kościołem gęstniał tłum, śpiewano „Boże coś Polskę" i „My chcemy Boga", odmawiano Różaniec. Pojawił się też niemal równie liczny tłum milicjantów i tajniaków, którzy wmieszali się w zgromadzonych, strasząc represjami i wygadując na Kościół. Ale ludzi wciąż przybywało. Służba Bezpieczeństwa przechwytywała prywatne listy tych, którzy oglądali zjawisko i chcieli podzielić się tym z bliskimi. Powtarza się w nich informacja, że choć Maryja pojawiała się 70 metrów nad ziemią, widziano Ją jakby z bliska, obserwując nawet ruchy warg, choć nie słychać było słów.

eprasa.pl f4e64891b7

O „Cudzie na Nowolipkach" wiedziała cała Warszawa i część Mazowsza i Podlasia. Komuniści byli przerażeni. Ludzi przeganiano i legitymowano, ogłaszając przez megafon, że gromadzenie się jest nielegalne. Autobusy i tramwaje miały zakaz zatrzymywania się przy ul. Nowolipki. Czerwona prasa natrząsała się z pielgrzymów. („Kurier Polski": „Ludzie, gdzie my żyjemy? W połowie XX wieku na warszawskiej ulicy kłania się nam średniowiecze"). Pisano o dewotkach, fanatyzmie, zbiorowej halucynacji, wstydzie i lotach w kosmos. Księży, którzy ośmielili się przybyć z wiernymi, zastraszano. Milicja zamykała sąsiednie ulice, sprowadzono reflektory, które miały znieść „efekt fosforyzującej blachy na kuli wieży". Ludziom robiącym zdjęcia odbierano aparaty i klisze (nawet milicjantom, którzy po kryjomu robili zdjęcia).

Tadeuszowi Rolke z tygodnika „Stolica" udaremniono zrobienie zdjęcia, o które prosił „Paris Match". Jeżeli było to tylko złudzenie, jak głosiły oficjalne komunikaty, sugestia zbiorowa, refleksy świetlne na błyszczącej kuli, to dlaczego zakazano robienia zdjęć, skąd wzięły się limuzyny ambasadorów podjeżdżające pod kościół? Po co tłumy funkcjonariuszy i orszak smutnych panów? Skąd ten paniczny strach partii? I dlaczego, mimo że kuria metropolitalna wydała komunikat, że nie ma żadnych symptomów zjawiska ponadnaturalnego, władze przystąpiły do przemalowywania kuli? Czyniono to wielokrotnie, wciąż od nowa, ponieważ światło na wieży nieustannie rzucało żywy blask. Ostatnia warstwa była czarna i wyglądała jak smoła. Jednak przez cały miesiąc różańcowy warszawiacy widzieli Matkę Boską na szczycie wieży muranowskiej świątyni.

„To nie był dobry czas na cuda" – mówi ks. Walenty Królak, proboszcz parafii św. Augustyna, który znalazł się wśród wspominających tamte wydarzenia w filmie dokumentalnym według scenariusza Witolda Dąbrowskiego. Ten historyk, pracownik IPN, dotarł do dokumentacji SB. „Matkę Bożą na szczycie wieży widziały nie tylko »dewotki«, ale także wielu milicjantów, esbeków i wojskowych. Zobaczyli i... uwierzyli". Zatrzymano 766 osób (52 księży, zakonników i zakonnic), ponad 600 aresztowano. 20 osób otrzymało wyroki, a 270 grzywny „za zakłócanie porządku publicznego". Wśród nich byli również wojskowi.

W kościele przy Nowolipkach szczególnym kultem otaczany był zawsze obraz Matki Bożej Częstochowskiej. Dar biskupa Karola Niemiry, który był tu proboszczem w latach 1929–1933. (Później był biskupem Pińska, skąd został wypędzony przez komunistów). Kultem otacza się tu także figurę Matki Bożej stojącą przed kościołem, z 1913 roku. Nieuszkodzona przetrwała całą wojnę, próbę zniszczenia kościoła podczas likwidowania getta i Powstanie Warszawskie. Tutaj ludzie przychodzili modlić się nawet w nocy.

„W głębi ducha znacie mnie"

Niemcy zabijając Żydów za ich żydowskość i Polaków, którzy ratowali Żydów, za ich katolicyzm – nieodłączny od polskości – powiedzieli, że nie życzą sobie świata, w którym Bogiem jest Jezus Chrystus. Życzą sobie świata, gdzie bogiem jest siła, bogactwo i przemoc. To wszystko, co określali jako niezbędne, by w XX wieku zatriumfowało państwo oparte na wartości germańskiej krwi. W ten sposób nie tylko ignorowali chrześcijaństwo, lecz także wypowiedzieli mu wojnę. Chrystus nie był dla nich Bogiem – tak jak i dla żydów. Nie dawał żadnej nadziei na ziemskie królestwo, na pełnię władzy. Nie gwarantował żadnego sukcesu. Był Kimś słabym.

Tylko co uczynić później z pustym Grobem? Co uczynić z ciałem świętego, które nie chce spłonąć w krematorium? Co uczynić z kościołem, który nie chce się zawalić? Jedynym wyjściem wydaje się być profanacja. Przez długi czas nie wiedziano, jak postąpić z Kościołem. Od której strony go zaatakować. Teraz wiedzą. Daleko idące zmiany w liturgii – zwłaszcza na Zachodzie – dopełniły tragicznego w skutkach nieporozumienia, jakim stało się wprowadzone do wnętrza Kościoła pomieszanie sacrum i profanum. Efekt? „Si sal evanuerit, In quo salietu? Smak obrzydliwie mdły to rezultat nieobecności idei nadprzyrodzonej", jak mówi Paul Claudel.

Choć zaatakowano Kościół na wszystkich możliwych płaszczyznach (liturgia, nauczanie, duszpasterstwo), podstępnie, w trakcie Soboru, skutki tego ataku zdają się wreszcie wyczerpywać... Bowiem „Jezus pojawia się ianuis clausis [przez drzwi zamknięte]: to drzwi zmysłów, lecz również doczesności, przeszłości i przyszłości. Nagle – in medio nostri – jest tu, jest gospodarzem tych sił, dzięki którym istniejemy" (Paul Claudel). To dlatego Kościół nie był dla ojca Maksymiliana – tak jak dla Teresy Neumann – czymś na kształt ciężkiej zbroi, pozwalającej mu stąpać po ziemi tylko powoli i z godnością; był jak skrzydła u ramion. Bo prawdziwy duch Kościoła nie jest duchem obrony, lecz podboju. Śmierć św. Maksymiliana Kolbego zadana przez oprawców Hitlera, którzy widzieli, że sługa Boży nie umiera, tylko jaśnieje cały od miłości Boga, potwierdza, że życie dla Boga jest życiem prawdziwym. Czy św. Maksymilian swoją decyzją, że umrze za współwięźnia, bronił godności człowieka? Czy zamierzał udowodnić coś Niemcom? Że się ich nie boi? Czy o to mu chodziło? Czy chodziło o akt czystej miłości? Ze wszech miar wolny. Powiedzenie, że życie znaleźć można jedynie w Bogu. Bogiem nie jest wojna. Nienawiść da się przezwyciężyć. Hitler nie jest bóstwem. Pieniądz nie jest bożkiem. Drugi człowiek jest bratem, zawsze. Tak mówił św. Maksymilian Kolbe, tak mówiła Teresa Neumann, która w sprawie Polski wypowiedziała trzy proroctwa.

„Pozycja piekła jest zawsze tylko obronna". Dlatego tak jak Niemcy w czasach Hitlera, tak dziś ich zwolennicy oraz Sowieci i propagandyści Nowej Lewicy nigdy nie mają dość szkalowania naszego narodu. Bo czują się bezsilni. Bezsilni w obliczu wiary, która rodzi świętych i bohaterów. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Agnieszka Kowalczyk

Konie, szable i marsowo dzielne postacie

ZE WSPOMNIEŃ **WOJCIECHA KOSSAKA**

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA ● NOWE PAŃSTWO 1/2021
eprasa.pl f4e64891b7

Wrodzony wdzięk, ułańska fantazja i ogromne poczucie humoru, a do tego „postawa rotmistrza ułanów", nieco cygańskiej nonszalancji, wytwornie zawiązany krawat i zabójcze spojrzenie w stronę dam czyniły z niego duszę towarzystwa. Z niezwykłą swobodą brylował na wiedeńskim i berlińskim dworze, zadziwiał wielkich tego świata doskonałymi umiejętnościami jeździeckimi i gruntowną znajomością historii polskiego oręża. Całym jego życiem zaś było malarstwo batalistyczne, a celem – apoteoza wojska polskiego i jego wielkich tryumfów.

Bohaterami swoich obrazów czynił wiarusów napoleońskich i listopadowych, legionistów i żołnierzy Niepodległej. „Jest to niewątpliwie malarz bardzo polski – napisał o nim Mieczysław Wallis – przez swój temperament i rozmach, przez swą brawurę i werwę wyrażającą się między innymi w junackim, szerokim, zamaszystym i potoczystym dukcie pędzla, przez swe upodobanie do tematów rycersko-wojskowych i łowieckich".

Kity, olbrzymie pompony i pióropusze...

Przyszedł na świat w Paryżu, w noc sylwestrową 1856 roku, tuż przed północą, a kilkanaście minut później urodził się jego brat bliźniak Tadeusz. Los jednak chciał, aby to właśnie Wojciech, którego do chrztu podawał światowej sławy batalista Horacy Vernet, okazał się wybrańcem muz, nieodrodnym synem Juliusza, „spadkobiercą części jego olbrzymiego talentu, tak szczerego i pełnego życia, a tak wyjątkowo polskiego". Przyszłemu twórcy wielkich panoram bitewnych niemal od kołyski towarzyszyli żołnierze. Już w pierwszych latach życia podczas spacerów z piastunką Walkową po paryskiej Esplanadzie mógł mały Kossak oglądać polskich wiarusów napoleońskich w paradnych mundurach, jak wsparci o laski i kule zdążali z wieńcami lauru na plac Vendôme, by uczcić wielkiego cesarza Francuzów, pod którego rozkazami szli po wolność dla swojej ojczyzny. Robili wrażenie nadludzi – „kity, olbrzymie pompony i pióropusze na i bez tego olbrzymich bermycach, kołpakach i hełmach podwyższały ich tak, że [...] wszystko przy nich wydawało się nikłe i małe". Towarzystwo polskich generałów i oficerów Wielkiej Armii, „ogorzałych i wysuszonych w dymie bojowym pod Austerlitz, Wagram i Lipskiem", upodobał sobie już ojciec Wojciecha, chłonąc ich opowieści o zdobyciu Saragossy czy odwrocie spod Moskwy „w głuchej, śmiertelnej ciszy śnieżnej pustyni".

Jeźdźcy z kindżałami w zębach

Pierwsze wspomnienie z Polski to dla Wojciecha mroźna i śnieżna zima, jakiej nigdy dotąd nie oglądał w Paryżu, ciche, wielkie lasy okryte białym puchem, korowody sań pełnych ciepłych futer, okazałe dwory z wysmukłymi kolumnami, piękne panie w balowych kreacjach i płonące kandelabry. „Pierwszy raz widziana Polska – pisał wiele lat później – pozostawiła mi wrażenie jakiejś cudnej białej krainy, gdzie wszyscy są bardzo dobrzy, a cukierków, konfitur i legumin ogromnych więcej niż w Paryżu". Zapamiętał też na zawsze, jak w Siąszycach, w rodzinnym majątku matki Zofii z Gałczyńskich Kossakowej, pierwszy raz dosiadł konia, Perkuna, wierzchowca dziadka Wojciecha. W trud-

fot. Wikipedia

eprasa.pl e64891b7

ną sztukę jeździecką wtajemniczał go siąszycki koniuszy, od którego „nauczył się pierwszych, najpotrzebniejszych kawalerzyście słów w języku polskim".

Gdy w 1861 roku Kossakowie powrócili na stałe do ojczyzny, Królestwo Polskie ogarniała fala patriotycznych manifestacji, będących już zarzewiem powstania styczniowego. W tym to burzliwym czasie zamieszkali w Warszawie, w kamienicy na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Światu, w domu z balkonem, z którego pewnego dnia kilkuletni Wojciech usłyszał od strony placu Trzech Krzyży tętent koni i jakieś przeraźliwe wrzaski przerywane wystrzałami. Zaraz też jego oczom ukazała się cała chmara dzikich jeźdźców – w grubych żupanach i ogromnych baranich papachach, pędzących na małych, krótkonogich koniach, które cwałowały tuż przy ziemi. Pod balkonem grzmiała sotnia po sotni, jedni machali szaszkami, „trzymając w wyszczerzonych zębach kindżały", inni raz po raz palili z pistoletów, a wszyscy gnali ku Krakowskiemu Przedmieściu. Tak też po latach przedstawiał Wojciech tę scenę na obrazie „Ze wspomnień mojego dzieciństwa".

Wraz z początkiem 1863 roku rozpętała się w Królestwie Polskim prawdziwa burza. Wujowie i stryjowie Wojciecha, jeden po drugim, wstępowali do oddziałów powstańczych, skazani na nędzę i tułaczkę. Pełni animuszu i fantazji, jak napisał potem w swych „Wspomnieniach", bili się krwawo, tak iż tylko dwóch wróciło do domu. Gdy pewnego wrześniowego dnia bracia bliźniacy szli ulicą Świętokrzyską ze swą boną Karpińską, stanęli nagle jak wryci ogłuszeni wybuchem bomby rzuconej z poddasza pałacu Zamoyskich w stronę namiestnika Królestwa Polskiego generała Fiodora Berga. W jednej sekundzie stara Karpińska pochwyciła dzieci i pędem dobiegła do bramy domu ich babki. Zdążyli przed Czerkiesami... Nazajutrz Moskale srogo się zemścili za ten nieudany wprawdzie, lecz demonstracyjny akt obrony polskości. Kossakowie, podobnie jak wiele innych warszawskich rodzin, patrzyli z daleka, jak pod pomnikiem Kopernika złowieszczo płonął stos – w popiół obracano wyrzucone przez okno pałacu Zamoyskich pamiątki po Chopinie – jego fortepian i listy do matki.

Gdy powstanie styczniowe upadło i na stokach Cytadeli oraz wielu placach Warszawy powyrastały szubienice, w paryskim senacie mowę swą wygłosił książę Napoleon Bonaparte, bratanek cesarza, który gorąco ujął się za Polakami, a ci w dowód wdzięczności postanowili ofiarować mu historyczny obraz zamówiony u Juliusza Kossaka. Wielka akwarela odważnego malarza ukazywała wyjście oddziału Taczanowskiego z Pyzdr w Kaliskiem, skupiając w sobie cały powstańczy dramat – na tle starego miasteczka widać starszyznę żołnierską i szeregowych, ojca kapucyna Rafała z dubeltówką na plecach, płaczące kobiety, a wśród nich babkę Wojciecha oraz jego ciotki – Pułaską i Wyganowską – żegnające swych małżonków. Widać też wiejskich chłopców, jak idąc na wojnę z Moskalem, uginają się pod ciężarem niesionych wideł. Obraz rodził się w największej tajemnicy, w ukryciu, w momencie gdy aresztowania powstańców sięgnęły zenitu. Pewnej nocy śpiący Wojciech nagle poderwał się, czując, że ktoś obcy siada na jego łóżku. W świetle lampki ujrzał żołnierza w szynelu z bagnetem na karabinie. To była rewizja! Przetrząsano mieszkanie, przeglądano papiery, listy, wszystko... „Do jednej łazienki nie weszli, a tam właśnie był ów karygodny obraz".

W pamięć siedmioletniego chłopca wryły się też inne poruszające obrazy – sceny pożegnań zesłańców syberyjskich pędzonych z warszawskiej Pragi na daleką Północ. „Młode inteligentne głowy ostrzyżone po żołniersku, na nich płaskie rekruckie czapki i szynele, brak kajdan, płonące egzaltacją oczy, naokoło na wysokich kulbakach kozacy w papachach zdzierają pyski kosmatym chmyzom i sypią komplementami od sukinsynów, ciortów i mierżawców. Długie bez końca piki przy strzemieniu, w ręku nahajka. Przez świeżo otwarty żelazny most na Wiśle mknie dorożka za dorożką ku Pradze. Matki, żony, narzeczone jadą zobaczyć może po raz ostatni i pożegnać swoich skazanych". Był wśród nich i Leon Kossak, powstaniec w oddziale Lelewela Borelowskiego, ciężko ranny pod Batorzem i zesłany na Sybir. Kossakowie rozpaczliwie żegnali stryja, nie wiedząc, czy go kiedyś zobaczą.

▶ Z Krakowa w świat

Jeszcze w latach szkolnych zamiast słuchać swych profesorów, Wojciech zawzięcie gryzmolił „batalie, konie, cent-gardów i kirasjerów", a gdy wezwano go do odpowiedzi, poszturchiwał tylko brata, który szedł za niego, a potem i za siebie, grając na nosie niedomyślnemu nauczycielowi. Kiedy zaś rodzina Kossaków przeniosła się do Krakowa, miejscem, które szczerze ukochał piętnastoletni Wojtek, stała się Szkoła Sztuk Pięknych, bo podczas gdy w gimnazjum panował wojskowy dryl i koszarowa punktualność, wśród artystycznej braci obowiązywały zgoła odmienne zasady – „przy robocie żadnego nadzoru", za to „koncepty i wesołość", dozwolone palenie tytoniu, kusząca swymi wdziękami modelka na podium, a główny przedmiot wykładowy – „alfa i omega wiedzy malarskiej" – to nagie ludzkie ciało. Po rocznej nauce w „krakowskiej malarni" nadszedł dla Wojciecha czas wyjazdu do Monachium. Ojciec oddał go pod opiekę całej plejady mistrzów pędzla, wśród których prym wiedli Maks Gierymski, Brandt, Witkiewicz i Chełmoński. Słuchając rad swego rodziciela, młody Kossak nie opuszczał pracowni i przez całe niemal

eprasa.pl f4e64891b7

dwa lata namiętnie rysował „na przemian: Wenery, Apolliny, Nioby, Herkulesów, Laokonów", a wieczorami – akty męskie i kobiece.

W 1877 roku postanowił wyruszyć do Paryża, miasta swych narodzin, gdzie trafił pod skrzydła hrabiostwa Konstantego i Jadwigi z Potockich, których dom uchodził wówczas za prawdziwe gniazdo polskości. Już pierwszego dnia po wstąpieniu do szkoły Léona Bonnata przywitała go studencka brać przy sztalugach, w długich poplamionych farbami bluzach, z krótkimi fajkami w zębach. Koledzy wskazali mu boczne drzwi, prowadzące do gabinetu pana de Tirmois, które w istocie wiodły do smrodliwego składziku na miotły i brudne pędzle. Tam został podstępnie zamknięty, a przy próbie opuszczenia swego więzienia poczuł strumień wody spadający mu wprost na głowę ze sprytnie zawieszonego nad drzwiami cebrzyka. Nowy cylinder i surdut wielce na tym ucierpiały, za to tradycji stało się zadość. Cały ten akt przyjęcia w poczet paryskich malarzy zwieńczył gromadny marsz do winiarni, gdzie zmoczona ofiara fundowała wszystkim rum i eklerki aż do całkowitego opróżnienia portfela.

Będąc już pełnoprawnym obywatelem republiki młodych artystów, mógł się wziąć z całych sił do pracy. Jednym z jego dzieł stał się przyjęty do wystawienia w Salonie portret paryskiej aktorki Fifine (Celine Delèsy). Radość Kossaka i jego uroczej modelki nie trwała jednak długo, gdyż obraz powieszono w bardzo złym świetle przenikającym przez witraże. Widok był porażający – „cóż to za ohyda! [...] Panna Fifine ma pół twarzy żółtej, a drugie pół fioletowej, biust dekoltowany amarantowy, a brzuszek zielony [...] – potwór! olbrzymia papuga!". Aktorka była załamana, nie mogła powstrzymać łez. Zrozpaczony Kossak, nie zastanawiając się długo, chwycił jedną ze stojących w pobliżu niebotycznych drabin i wspinając się po niej na samą górę, wyciął scyzorykiem swój obraz z ram, płótno zwinął w rulon i szybkim krokiem opuścił wystawę. Nazajutrz we wszystkich gazetach okrzyknięty został bohaterem Paryża.

„Pyszny, sumiasty wąs i marsowo dzielna postać"

To, że od najmłodszych lat był Wojciech Kossak wyśmienitym jeźdźcem, „jak każdy Polak pełnej krwi", znalazło swoje odzwierciedlenie w postawie niezrównanego kawalerzysty podczas służby wojskowej w krakowskich ułanach. Tam odkrył w sobie iście żołnierski talent, tak iż szef szwadronu przydzielił mu wierzchowca o podrywającym do skoku imieniu Kozak, który znał dobrze komendy i sygnały trąbki, a w przeszłości dzielnie naginał łeb do szarży pod Nachodem, Königgrätzem i Oświęcimiem. Kossakowi, doskonałemu znawcy koni, jeszcze bardziej fascynujący zdawał się nieposkromiony w boju żołnierski typ polski, którego wcieleniem był wachmistrz Sidor – „na piersi medal za odwagę w bitwie, przez policzek cięcie szabli huzara pruskiego, na czole bruzda po kuli włoskiej czy francuskiej; pyszny, sumiasty wąs i marsowo dzielna postać". Z Wojciechowych obserwacji wynikało, że taki wachmistrz Chmura czy kapral Sroka to nie tylko bitny wojak, lecz także wzorowy Polak, który „sercem i duszą jest w Bronowicach albo Mogilanach, gdzie jego zagroda", a w kantynie czyta na głos Sienkiewiczowską Trylogię, ucząc swoich podoficerów ojczystej historii.

W 1884 roku Wojciech został mężem pięknej Marii Kisielnickiej, córki zamożnych ziemian ze Stawisk w Łomżyńskiem, którą poznał w Tatrach podczas wycieczki do Doliny Wielickiej, a ich miłość zakwitła na wysokości 2208 metrów na Polskim Grzebieniu. Do „swej najdroższej Maniusi" słał przez całe życie pełne czułości listy, a ona, oddając mu rękę, ocaliła przed licytacją zadłużoną posiadłość jego rodziny – Kossakówkę, która na długie lata stała się umiłowanym siedliskiem kolejnych pokoleń Kossaków. Tam też przyszły na świat dzieci artysty – syn Jerzy, który poszedł w ślady ojca i został malarzem (1886) oraz uwielbiane przez niego córki – Maria Pawlikowska-Jasnorzewska (1891) i Magdalena Samozwaniec (1894), obie obdarzone nieprzeciętnym talentem literackim.

Podczas gdy żona z synem bawiła u rodziny w Stawiskach, zaszyty w Kossakówce Wojciech malował zapamiętale pełne życia i dramatyzmu sceny batalistyczne. Wtedy to w jego pracowni powstawały: „Bitwa pod Raszynem", „Jeńcy", „Huzar francuski leżący na śniegu", „Somosierra", „Czarniecki fortyfikuje Kraków", „Bitwa pod Ostrołęką"... „Ludzie mnie na ulicy łapią i winszują »Grochowa«" – wyznawał uszczęśliwiony zdobyciem pierwszego medalu na wystawie sztuki polskiej w Krakowie (1887) za to olbrzymie płótno z dziejów powstania listopadowego, które do historii przeszło jako „Olszynka Grochowska".

Wokół tajemnic „Panoramy Racławickiej"

Pewnego listopadowego wieczoru 1892 roku życie Wojciecha na długie lata odmieniła nieoczekiwana propozycja Jana Styki, który zaoferował mu współudział w tworzeniu „Panoramy Racławickiej", mającej uświetnić setną rocznicę Insurekcji Kościuszkowskiej (1894). Oszołomiony rozmachem tego gigantycznego przedsięwzięcia, ruszył natychmiast do Wiednia, Monachium i Berlina, by zgłębiać technikę malowania panoram i zamówić żelazną konstrukcję, służącą rozpięciu kolosalnej wielkości płótna, mającego 15 metrów wysokości i 120 metrów długości. Musiał też odbyć szczegółowe studia historyczno-kostiumologiczne

eprasa.pl f4e64891b7

i poznać charakter krajobrazu słynnych pól racławickich. Już w kwietniu 1893 roku przygotował cztery wielkie szkice stanowiące główny zarys panoramy, a w sierpniu rozpoczął rysowanie kompozycji na płótnie. Przy tej wytężonej pracy wspomagał Stykę i Kossaka sztab artystów – pejzaż wykonali Ludwik Boller i Tadeusz Popiel przy współpracy Jana Stanisławskiego, Teodor Axentowicz malował piechotę pułku Wodzickich, a Zygmunt Rozwadowski kawalerię narodową. Wspierali ich swym pędzlem Wincenty Wodzinowski i Michał Sozański.

Nie obyło się jednak bez skandalu, ponieważ Styka przypisywał sobie największe zasługi w tworzeniu dzieła, pomniejszając wkład pracy Kossaka. W istocie Wojciech wykonał 70 procent całej kompozycji figuralnej, poczynając od grupy jeźdźców rosyjskich wziętych do niewoli, a kończąc na baterii armat bronionych przez grenadierów. Namalował też konia Kościuszki i jego sztab, a samą postać naczelnika „odstąpił" Styce, który miał go za to wyściskać w kawiarni na oczach zdumionych Niemców. W sporze o autorstwo „Racławic" w obronie Kossaka stanął między innymi Tadeusz Boy-Żeleński, pisząc, że „Styka malował mało; cały był pochłonięty oprowadzaniem zwiedzających roboty dostojników", a gdy „zanadto właził Kossakowi w szkodę, temperamentny Wojtek gonił go po rusztowaniu, chcąc go obić". Mimo dość ostrych zgrzytów między tymi żywiołowymi naturami dzieło powstawało w zawrotnym tempie i po dziewięciu miesiącach nadludzkich wysiłków, 28 maja 1894 roku, malowanie ukończono. 5 czerwca odbyła się uroczysta inauguracja „Panoramy Racławickiej", w której historyk sztuki Kazimierz Olszański widział rozmach kompozycyjny i żywiołową dynamikę scen batalistycznych, mistrzostwo krajobrazu i wartość dokumentu historycznego, wskazując jednocześnie na patriotyczno-wychowawczy ideał krzepienia polskich serc w okresie niewoli.

„Berezyna" i nowy wielbiciel talentu mistrza

Gdy „Racławice" rozgrzewały serca Polaków, w listopadzie 1894 roku Julian Fałat zaproponował Kossakowi wspólne malowanie w Berlinie nowej panoramy poświęconej przeprawie wojsk napoleońskich przez Berezynę (1812). Przystając na to, Wojciech zabrał się za komponowanie czterech wielkich ścian obrazu, podczas gdy w budynku panoramicznym na Herwarthstrasse zawieszano kolosalne płótno mające 1800 metrów kwadratowych oraz instalowano gigantyczne rusztowanie o wysokości dwupiętrowej kamienicy. Kossak żalił się, że „płótno, choć obciążone wielkimi głazami, co kilka metrów, usuwa się pod naciskiem szerokich pędzli i denerwuje, sprowadzając zawrót głowy". Najgorsze było jednak, „wymagające żelaznych ścięgien i muskułów", codzienne pokonywanie tysięcy schodów, którymi co piętnaście minut należało spuścić się w dół, by z oddalenia właściwie ocenić efekty swojej pracy. Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze udręka łaźni tureckiej w lecie, a piwnicznego zimna w zimie, mimo iż wielkie koksowe piecyki rozgrzane były do czerwoności. Kossak malował jednak w zapamiętaniu, tym bardziej że szkice nieba i śniegu wykonane przez Fałata były doskonałe, a Michał Wywiórski i Kazimierz Pułaski okazali się świetnymi pomocnikami. Toteż Wojciech, tytan pracy, rano wypijał tylko herbatę, o dziesiątej pochłaniał dwa jajka sadzone i dopiero o szóstej wieczorem spożywał porządny obiad w Metropolu.

Któregoś dnia, od stóp do głów umorusany w farbie, przemarznięty do szpiku kości, w narzuconym na siebie kożuszku gwardii strzelców konnych, pracował w pocie czoła, gdy do rotundy wpadł nagle wyfraczony Fałat, oznajmiając współtowarzyszom, że za kwadrans przybędzie tu cesarz Wilhelm II wraz ze swą małżonką. Aby nie narażać się na śmieszność z powodu swych „mansardowych kostiumów", Kossak postanowił ukryć się pod podium i ćmiąc papierosa przeczekać wizytę cesarskiej pary. Stało się jednak zupełnie inaczej. Po jakichś dziesięciu minutach Fałat odnalazł go w kryjówce i Wojciech musiał, chcąc nie chcąc, stanąć przed władcą, który nie mógł wyjść z podziwu dla jego dzieła. Odzyskawszy pewność siebie, artysta rozpoczął swój porywający wykład o bitwie i zasługach całego piątego korpusu polskiego, bez którego Berezyna stałaby się w historii grobem Wielkiej Armii.

Po sukcesie panoramy, o której głośno stało się w Berlinie, zakochany w malarstwie Kossaka cesarz Wilhelm II zamówił u niego serię wielkich obrazów historyczno-batalistycznych z dziejów wojen prusko-francuskich oraz płótna współczesne. Polski mistrz pędzla mógł ponadto korzystać bez ograniczeń z pracowni w cesarskim pałacu w Monbijou.

Wojciech Kossak czuł się jednak przede wszystkim Polakiem i nie w smak mu były oskarżenia rodaków o to, że zaprzedał się Prusakom i korzysta z łaski cesarza niemieckiego. W momencie gdy brutalna działalność Hakaty i proces dzieci z Wrześni stały się jawnym dowodem godzenia w duchowe i materialne podwaliny polskości, artysta manifestacyjnie opuścił dwór niemiecki. Czarę goryczy przelała zajadła mowa malborska Wilhelma II wygłoszona 5 czerwca 1902 roku, pełna pogardy dla Polaków, w której wzywał rycerzy zakonu niemieckiego do „świętej wojny z polską bezczelnością i sarmacką butą". Odpowiedzią Wojciecha na jawnie wymierzoną w polski naród politykę niemiecką był znany cykl malarski „Duch pruski" (1909), na który złożyły się takie obrazy jak: „Apostolstwo krzyżackie", „Drapieżny lennik", „Jeszcze Polska nie zginęła" i „Precz! (rugi pruskie)".

eprasa.pl f4e64891b7

„Krwawa niedziela"

Do tchnącego dekadentyzmem Krakowa artysta powrócił na krótko, by potem urządzić sobie pracownię w centrum Wiednia na Schwarzenbergplatz. Tam dotarła do niego wstrząsająca wieść o masakrze, jaka dokonała się z rozkazu cara na placu Zimowym 22 stycznia 1905 roku. Pod wrażeniem petersburskich wypadków Kossak stworzył jeden ze swych najsłynniejszych obrazów – „Krwawą niedzielę", a we „Wspomnieniach" napisał, że niesłychane w historii świata jest to, „ażeby do wiernych poddanych niosących portrety batiuszki cara rżnęli kartaczami [...]. Dowie się świat teraz, czy nasze skargi na gwałty i bezprawia były uzasadnione [...], jeżeli car własnych poddanych tak traktuje". W istocie „Krwawa niedziela" podbiła Wiedeń, a potem Londyn, zbierając entuzjastyczne recenzje. Na łamach „Daily Mail" 18 listopada 1905 roku pisano, że wystawiony w Graves Gallery na Pall Mall „olbrzymi obraz polskiego malarza Wojciecha Kossaka, [...] mierzący około 600 stóp kwadratowych, [...] przedstawia chwilę, gdy natychmiast po morderczych salwach piechoty Kozacy szarżują na bezbronny tłum, któremu przewodzi ascetyczna postać ojca Gapona. W oddali błyszczy w słońcu Pałac Zimowy, a niebo od góry z lekka lazurowe zmienia się powoli w opary szaro-różowe, podnosząc ton zimnych i groźnych śniegów".

„Wnuk tych spod Grochowa i Stoczka"

Gdy w sierpniu 1914 roku wybuchła wielka wojna, z której zrodzić się miała wolna Polska, Wojciech przywdział żołnierski mundur i przydzielony został do 1. korpusu (krakowskiego) armii generała Victora Dankla, a potem jako oficer ordynansowy bił się na ziemi lubelskiej. Rwał się do Legionów Polskich, ale władze austriackie hamowały jego zapędy i skierowały go do Armii Oberkommando w Warszawie. Podczas wojny żołnierz-artysta nawet na chwilę nie rozstał się z pędzlem. Malował zapamiętale portrety polskich ułanów i strzelców, sceny frontowe, potyczki i patrole, obrazki z życia obozowego. Były wśród nich: „Sen żołnierza", „Parlamentarz", „W Karpatach", „Strzelcy pod Miechowem", „Szarża pod Rokitną", „Obliczanie jeńców nad Nidą", „Zdobycie dzwonów", „Autoportret z koniem". Jego „Legionista", znany też jako „Wnuk tych spod Grochowa i Stoczka", zapisał się na zawsze w pamięci Józefa Piłsudskiego. Ciągle bowiem przed jego oczyma stawała jak żywa odmalowana postać chłopca o dziecięcej jeszcze twarzy, w szarym, legionowym mundurze, dumnie wspierającego się na karabinie, a za nim kilku jeńców rosyjskich przewyższających o głowę tego młodego wojaka. Kossak miał wyznać Piłsudskiemu, że na płótno przeniósł scenę wziętą z życia, niczego nie idealizując, i może dlatego tkwiła w tym obrazie tak głęboka prawda o pięknie młodych dusz walczących o Polskę. W odczuciu Komendanta prawdę tę wyrażały oczy chłopca-żołnierza, bo w nich odnajdywał ten sam wyraz, co w oczach swoich legionistów – były to „oczy niewinnego dziecka, młodzieńca, oczy, które życia nie znają. W tych oczach widoczny już był jednak zimny, stalowy odblask woli, stanowczości, decyzji – znamię przedwczesnego wydobycia z duszy wartości żołnierskiej".

Ten zapamiętały w swej sztuce batalista, „rozkoszujący się barwą polskiego munduru, polskich odznak i proporców", pełniący na wojnie podwójną służbę żołnierza i artysty, ujrzał na własne oczy cud zmartwychwstania Polski i polskiego wojska, o którym śnił przez długie lata i które utrwalał na płótnach od swoich młodzieńczych lat. „Malował [...] zawsze z doskonałym wyczuciem – jak pisał o nim Kazimierz Olszański – bitwy, żołnierzy i konie w nieprzeliczonych kompozycyjnie ujęciach, owe patrole, zwiady, rekonesanse, alarmy i pobudki, utarczki, ataki, potyczki i szarże, pogonie i pościgi, pobojowiska i zgliszcza, rannych, zabitych i jeńców, to znów umizgi i zaloty ułanów do dziewczyn, a nade wszystko konie, nieodłącznych towarzyszy żołnierza, w bitwie i na postoju, w pędzie i spoczynku, padające i martwe. Wielu malarzy znało i malowało konia świetnie, ale typ wojskowego konia polskiego odtwarzał najcelniej Wojciech Kossak".

Doczekawszy odrodzenia Rzeczypospolitej i wielkich tryumfów polskiego oręża w wojnie z bolszewikami, przyszło mu jednak dożyć i tego dramatycznego momentu, gdy w 1939 roku Polska została rozdarta między swych dwóch odwiecznych wrogów. Mimo wszystko wierzył, że wojna skończy się zwycięstwem Polaków, a on będzie miał pogrzeb wojskowy, na którym zagrają mu jego ułani. Ostatnie lata, jak pisze Olszański, „spędził przy sztalugach [...], do końca wytrwale pracując. Chociaż na »Kossakówce« się nie przelewało, Wojciech nie sprzedał ani jednego obrazka Niemcom, mimo że chcieli mu dobrze płacić, malował zaś za grosze dla kupców, cukierników i lekarzy krakowskich, na handel wymienny, za kiełbasę". Zdecydowanie odmówił namalowania portretu generalnemu gubernatorowi Hansowi Frankowi. Nie mógł postąpić inaczej. Zmarł 29 lipca 1942 roku, znosząc spokojnie i pogodnie długotrwałą chorobę nowotworową. Umierając, prosił jeszcze o paletę z nałożoną farbą i słuchał po raz ostatni „Poloneza As-dur" Chopina. Spoczął w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Jego pogrzeb w czasie wojennej zawieruchy był skromny i cichy, bez trąbek ułańskich i honorów wojskowych. Dla kultury polskiej była to jednak strata niepowetowana. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Piotr Lisiewicz

Mało wiedzy oddala od Boga. Dużo wiedzy sprowadza do Niego z powrotem" – mówił Ludwik Pasteur. Zdanie to zgrabnie wyjaśnia przyczynę licznego udziału półinteligentów, epatujących swoją wyższością zwykłych obywateli na wszystkich „Ogólnopolskich Strajkach Kobiet" świata. Pasteur, zdaniem wielu największa postać światowej medycyny, wynalazca pierwszej szczepionki, nie był... lekarzem. Syn francuskiego garbarza nie dał się nigdy omamić modom. „Szczęśliwy ten, który nosi w sobie Boga, ideał piękności, i Jemu służy: ideał sztuki, ideał umiejętności, ideał ojczyzny, ideał cnót Ewangelii" – te słowa wypowiedział Pasteur w mowie przy przyjęciu go do Akademii Francuskiej.

Ksiądz dr Maciej Sieniatycki w „Dogmatyce katolickiej" z 1930 roku pisał o nim tak: „Największa chluba Francji, Ludwik Pasteur, jest gorliwym katolikiem. W ostatnich latach życia przyjmuje często Sakramenta św. Umarł, trzymając krzyżyk na rękach, z aktami wiary, nadziei i miłości na ustach. Znane jest jego powiedzenie, iż dlatego, że wiele naukowo rozmyślał, ma wiarę wieśniaka bretońskiego, gdyby był jeszcze więcej myślał, miałby wiarę bretońskiej wieśniaczki".

Poniżej fragment zabawnej scenki, jak Pasteur spotkał młodego, modnego biologa przechwalającego się świeżo zdobytym dyplomem i co z tego wynikło – autorstwa nie byle kogo, lecz samego o. Maksymiliana Marii Kolbego, którego „Rycerz Niepokalanej" miał pod koniec II RP 800-tysięczny nakład.

A obok coś w innym, wesołym, chwilami nawet obrazoburczym tonie, czyli trzy „Ryżowe szczotki" Karola Zbyszewskiego. Za każdym razem, gdy przedrukujemy tu coś tego felietonisty, spotykam Czytelników, którzy domagają się więcej. A im więcej felietonów Zbyszewskiego czytam, tym bardziej skłaniam się ku tezie, że to jednak on, choć konkurencja jest silna, był najlepszym polskim felietonistą XX wieku. I rację miał Józef Mackiewicz, gdy pisał, że także relacje Zbyszewskiego z turniejów tenisowych są literaturą...

Jednym Zbyszewski nie pasuje jako narodowiec piszący do „Prosto z mostu" (i to czasem o Żydach!), innym z kolei nie pasuje zupełnie do stereotypu narodowca, bo żarty z polskich przywar to jeden z jego głównych tematów. Cóż, za życia redaktorzy drukujący Zbyszewskiego mieli wieczne kłopoty z powodu używanego przez niego języka i pewnie nie zmieniłoby się to i dziś, dlatego niemal nikt go nie wydaje. „Wawrzynu łachademickiego" – sformułowanie z jednego z poniższych felietonów – by z tego nie było, za wysoka sprzedaż byłaby na moje wyczucie gwarantowana. ■

Maksymilian Kolbe

Pasteur kontra modny biolog

Z wyniosłego tonu jego rozmowy poznałbyś od razu świeżutkiego absolwenta uniwersytetu, na którego dyplomie atrament nie miał jeszcze dość czasu do wyschnięcia. – Bo widzi pan – biologia, to jedyna wśród nauk, która ostatecznie człowieka przekonywa, iż życie jest czymś niezawisłym od Boga. Ja, jako przyrodnik, zupełnie nie wierzę w Boga!

W pociągu, dążącym do Paryża, w pustym zupełnie przedziale siedział starszy, poważny mężczyzna. W pewnej chwili wsunął on rękę do kieszeni i wyjął z powrotem zamkniętą, kryjąc coś w dłoni. Oczy, którymi śledził piękno krajobrazu, przymknął lekko i pogrążył się w modlitwie.

Po chwili pociąg przystanął w jakimś mieście uniwersyteckim. Otworzyły się drzwi wagonu, do przedziału wsiadł młody, energiczny człowiek, odbierając z hałasem od bagażowego swoje walizy.

Pociąg ruszył. Dość długo jechali obaj mężczyźni w całkowitym milczeniu, które wreszcie przerwał młodszy podróżny, jakby nie mogąc utrzymać w so-

eprasa.pl f4e64891b7

bie nowo nabytych wiadomości. Z wyniosłego tonu jego rozmowy poznałbyś od razu świeżutkiego absolwenta uniwersytetu, na którego dyplomie atrament nie miał jeszcze dość czasu do wyschnięcia.

– Tak – proszę pana – wczoraj właśnie ukończyłem swoje studia uniwersyteckie. Specjalizowałem się w biologii. Szczycę się z oddziału, do którego należałem. Powszechnie spodziewają się od nas wielkich rzeczy. Niektórzy z moich kolegów podjęli już samodzielne, oryginalne badania...

Na twarzy starszego znać było widoczne zaciekawienie.

– Toś się pan specjalizował w biologii! Serdecznie gratuluję! Wybrałeś znakomitą dziedzinę! Nauka o życiu winna cię zbliżyć do Stwórcy życia...

Młodzieniec wielce zdziwiony tą odpowiedzią, podniósł oczy i nagle roześmiał się – niezbyt głośno wprawdzie i niezłośliwie, ale z pewnym politowaniem w tonie...

– Ach! pan zapewne niewiele wie o biologii, nieprawdaż? – zapytał.

Starzec wzruszył ramionami, jakby z pewnym upokorzeniem:

– Być może! Wszak należę już do starszego pokolenia.

– Mnie się tak samo zdaje. Bo widzi pan – biologia, to jedyna wśród nauk, która ostatecznie człowieka przekonywa, iż życie jest czymś niezawisłym od Boga. Ja, jako przyrodnik, zupełnie nie wierzę w Boga!

– Oh! – zawołał zdziwiony towarzysz podróży. Cóż to ma wspólnego z nauką? Czyż wszyscy biologowie muszą zaprzeczać istnienia Boga?

– Naturalnie – poczyna cierpliwie tłumaczyć staremu nasz absolwent. – Widzi pan, moje studia naukowe, moje badania biologiczne przekonały mię najwidoczniej, że Bóg zupełnie nie istnieje...

I dalejże wykładać wszystko, co tylko wiedział, co tylko mógł przytoczyć na poparcie swej arcynaukowej tezy.

– Czy to wasz profesor tak wam wykładał?

– Oczywiście. On już od dawna, jak wszyscy biologowie, przekonał się, że przyjęcie istnienia Boga jest najzupełniej zbędne...

– Jakież jego nazwisko?

Młodzieniec wymienił imię i nazwisko profesora. Starszy pan jednak kręcił dziwnie głową.

– Przyznaję się z lękiem, że o nim nigdy nie słyszałem...

– Ależ to niemożliwe! To jeden z największych biologów świata! Uznany przez wszystkie znakomitości.

Tymczasem pociąg zwalniał biegu. Starszy pan począł spokojnie składać swe rzeczy, oczekując na swą stację. Po czym ozwał się:

– Żałuję mocno, że ta wasza biologia w swych badaniach nad życiem dochodzi do wniosku, że Bóg niepotrzebny dla jego powstania. Ja zawsze sądziłem, że im głębiej poznajemy tajemnicę życia, tym więcej podziwiamy Jego wspaniałe cuda i skomplikowane dziwy i tym mocniej przekonywamy się, że ono nie może być dziełem jakiegoś przypadku, ale wymaga koniecznie Istoty, która by je ściśle obmyśliła i powołała do bytu.

– Eh! Niechże pan przeczyta jakąś popularną biologię – odparł młody protekcjonalnym tonem – a przekonasz się pan, że jesteś w błędzie.

W tej chwili pociąg stanął. Podróżny wstał z ławki, by wysiąść, gdy nagle coś mu się wysunęło z dłoni. Czarny, stary, zużyty różaniec upadł na podłogę wagonu, tuż pod nogi młodzieńca.

Uprzejmie podniósł go i podał staremu panu, wciskając mu go w rękę, jak pieniądz napiwku...

– Pan jak widzę, wierzący?

– Tak!

– No, nie chciałbym osłabić pańskiej wiary, ale jeśli mi pan zechce podać swe nazwisko i adres, przyślę panu książkę z mojej dziedziny... Przestrzegam jednak, że ona może nieco podkopać pańską wiarę...

– Bardzo dziękuję – odrzekł wysiadający. – Możesz ją pan przesłać do mojego Instytutu w Paryżu. Jestem Ludwik Pasteur.

***

Ludwik Pasteur jest twórcą najobfitszej i najbardziej dobroczynnej transformacji nauki medycyny w trzydziestu wiekach jej istnienia. W czterech kątach jego grobowca stoją postacie, wyobrażające Wiarę, Nadzieję, Miłość i Umiejętność i umieszczono tam napis: „Szczęśliwy ten, który nosi w sobie Boga, Ideał piękności i Jemu służy: ideał sztuki, ideał umiejętności, ideał ojczyzny, ideał cnót Ewangelii". Te słowa wypowiedział Pasteur w mowie przy przyjęciu go do Akademii Francuskiej.

Przez całe życie Pasteur praktykował religię katolicką, bez ostentacji i nie dbając o wzgląd ludzki. Umarł, całując krzyż, przyjąwszy pobożnie Sakramenty św. Nieraz też wyrażał swoje przekonanie, że „nauka zbliża człowieka do Boga". ■

Przedruk za: „Dlaczego wierzę". Nowe wydanie ku światłu, Niepokalanów 1937. Nakład Centrali Milicji Niepokalanej.

eprasa.pl f4e64891b7

Karol Zbyszewski

Auto i medal

– Ależ mieliśmy sensację – mówił Norweg pokazując fotografię jakiegoś pana w norweskim dzienniku – proszę sobie wyobrazić, że ten oto taksówkarz w Oslo ukradł pasażerowi teczkę z pieniędzmi. Niewiarogodne! Niebywałe! Wszystkie gazety się o tym rozpisywały. – U nas też była sensacja – odparł Polak – taksówkarz oddał pasażerowi zapomnianą przezeń teczkę z pieniędzmi. Dostał za to medal i nowe auto.

Sądząc po postępach motoryzacji ilość obywateli – nie złodziei jest u nas znikoma. Dla pogrążenia pesymistów trzeba jednak przypomnieć następujące objawy postępu w 37-ym roku: jedno auto wypadało w ubiegłym roku na 1000 mieszkańców, w obecnym na 1001 (zadanie maturalne: ilu ludzi musi zgubić pugilaresy byśmy doszli do przeciętnej Francji – 1 auto na 43 osób); w 37-ym roku 11 matek porodziło trojaczki, w 36-ym ani jedna; w tym roku na pomoc zimową zaczęto zbierać w drugiej połowie grudnia, w zeszłym – w pierwszej połowie marca; w zeszłym roku zwalczanie mrozu powierzono gorącym sercom, w tym – kwestującym ministrom; gdy się to powierzy piecom będzie już zupełnie idealnie; w 36-ym rozdano 5000 orderów – w 37-ym przeznaczono do rozdania pół miliona!

Order to wspaniała rzecz, to zasłużone wyróżnienie wybitnej jednostki. Podczas wojny światowej Nikołka przeglądając pułk, co wrócił z frontu, kazał rozdać w każdej kompanii dwa Gieorgia. Ale 3-cia kompania uciekła haniebnie i w komplecie. Komu dać?

Rozkaz cara musiał być wykonany; postanowiono, że tym co uciekali ostatni. No i czarno-pomarańczowe wstążeczki „za chrobrost" otrzymały dwie niezdary co drałując w popłochu wpadły do rowu; gdy się wygrzebały – były na samym końcu.

Albo ten dyplomata co napisał do naszego MSZ, że na obiadach oficjalnych źle się czuje bo nic nie ma w klapie. Dla godniejszego zaprezentowania Polski prosił o order. Minister się uśmiał i – dano mu.

Szkaradnej pamięci Stanisław August sprzedawał ordery jak straganiarka kiełbaski na rynku. Św. Stanisława można było dostać za 100, po solidnych targach za 75 dukatów. Raz Piattoli robił królowi wyrzuty, że Orła Białego sprzedał za 200 dusiów: – Jak można Najjaśniejszy Panie! Przecie to najważniejszy polski order...

– Ha, pewnie że to fatalnie mon cher abbé, ale co robić gdy brzydki sknera ani rusz więcej dwustu nie dawał.

Jeśli te historyjki wywołują niesmak to dlatego, że dla orderów czuje się pewien respekt. Kawalerowi Virtuti Militari zabroniono niedawno w Bydgoszczy być czyścicielem butów przed dworcem. Chyba żeby szczotkował bez orderu na piersiach. Skrupulatna dbałość o godność odznaczenia jest oczywiście sensowniejsza niż zupełne ich dewaluowanie. Nie warto sprowadzać orderu do roli wawrzynu łachademickiego, który dziś może dostać dorożkarz za krasomówstwo wykazane w pyskówce z Kadenem o kurs, a jutro będzie rozdawany za karę – za wadliwe przejście przez ulicę na ukos.

Już jeden pan zamówił sobie bilety wizytowe: „były radosno twórczy starosta niekarany sądownie". Są medale za ratowanie tonących, może wprowadzi się teraz i dla dobrze umytych.

Odznakę strzelecką otrzymuje każdy co wystrzeli pewną ilość punktów. Wedle ostatnich pojęć to niesprawiedliwe, że złotą odznakę nosi doskonały, ale młody strzelec podczas gdy drugi co od 10 lat puka bez sensu nic nie ma.

Przed wojną hotelarze na Rivierze mówili:

– Ten gość to pewno jakiś fałszywy Polak, nie wpisał się jako hrabia... Uhm, podejrzany!

Teraz będą szeptać:

– To ma być Polak? A gdzież u niego order? Łże bestia. To żaden Polak.

Gdyby tak zilustrować w skrócie epoki? Oto schemat:

Era Piasta kołodzieja: w dziupli prastarego drzewa siedzi poczciwy poganin, odpędza patykiem niedźwiedzia i zajada plaster miodu.

Czasy Jagiełły: rycerz zakuty w zbroję, ze szkaplerzem na szyi, tratuje, tnie mieczem wrogów.

Wiek Sasów: pękaty szlachcic na czworakach przy beczce wina chłepce ogromny puchar, kurzy mu się z wygolonego łba.

XIX wiek: siwy starzec przykuty do taczki pokazuje dzikim Tunguzom święty obrazek.

Rok 1937-my: o 8-ej rano, przed zielonym płotem okalającym białą sławojkę, stoi człowiek na baczność z medalem na piersi. ■

Przedruk za: „Prosto z Mostu", 02.01.1938, Nr 1 (167).

eprasa.pl f4e64891b7

Karol Zbyszewski

Natchnienie w archiwum

Na jakież porównania nie silili się dawniej poeci by oddać piękno swych kochanek! Szmaragdy, toń morska, biel mleczarni, słodycz ula, krągłość kształtów baobaba – wszytko poruszali. Dziś młodzieniec mówi z ogniem w oczach o swej narzeczonej: – Bóstwo! Cud nie kobieta! Ma 68 cm. obwodu w pasie, 95 – poniżej, a łydkę o 27 i pół cm! Waży 59 kilo i 13 deka.

Ceniony przez swe ciocie poeta Stanisław Ryszard Dobrowolski napisał ostatnio 12 pieśni o Janosiku i robi z tej okazji wielkie zamieszanie. W artykułach i na odczytach ciągle podkreśla, że Tetmajer i Kasprowicz wprawdzie też pisali o Janosiku, ale jako stare, niechlujne nieuki – same bzdury. Splątali go z Kostką Napierskim, z Marią Teresą, pogmatwali daty i fakty, kazali mu żyć 150 lat, podczas gdy go powieszono po 24. A tymczasem on – Dobrowolski!! oparł swój poemat na autentycznych dokumentach wyszperanych w archiwach, przy każdej strofie mógłby stawiać odsyłacz. Voilà.

Jakież to charakterystyczne dla naszej epoki! Dziś poeta chcąc opisać piękno puszczy nie pójdzie jak prostak Mickiewicz rozwalić się na mchu, ale skoczy do Dyrekcji Lasów Państwowych, przewertować wykazy o drzewostanie. A przed ułożeniem wiersza o niebie zamiast zadrzeć głowę i gapić się w górę – pokonferuje w obserwatorium z docentami astronomii. Grunt dokładność i naukowe podejście.

Niejaki dr. Przypkowski wywodzi w „Arkadach" (wspaniały papier jest główną zaletą tego miesięcznika), że bobkociąg na Kasprowy to dobrodziejstwo dla literatury. Chuderlaki poeci będą mogli dotrzeć na szczyt, obejrzeć góry solidnie i dzięki temu tworzyć arcydzieła.

Jaka szkoda, że w dobie Słowackiego i Krasińskiego nie było bobkociągów. Nie spartoliliby tak swych „Przedświtów" i „W Szwajcarii".

Słowacki zresztą miał manię niedokładności. Uczniowie z powszechniaka piszą dziś wypracowania na temat: Błędy historyczne w „Horsztyńskim". I bez trudu wyliczają ich dwie kopy.

A w opisach Krzemieńca, który znał chyba nieźle, jak rozwodzi się nad Ikwą, nad tą cudną rzeką snującą się u stóp gór, wokół miasta... Wgramoliwszy się na Bonę turysta daremnie wypatruje Ikwy; ani śladu. No bo jest o 4 kilometry i to parszywy strumyk – gnojówka – nie żadna rzeka.

Jakby dzisiejszy wieszcz przystąpił do napisania Ojca Zadżumionych?

Przede wszystkim objechałby Afrykę trzy razy dookoła, potem spędziłby rok w szpitalu, pół w kolonii trędowatych, uczęszczałby do prosektorium oglądać trupy, wstąpiłby do harcerstwa na kursy rozkładania namiotów, przeczytał kilkanaście rozpraw o pełni księżyca, kilkadziesiąt traktatów psychologicznych o instynkcie macierzyńskim i ojcowskim... aha, no i oczywiście uzyskałby od dyrekcji zoologu pozwolenie nocowania w klatce razem z wielbłądem dla poznania jego nawyków.

Czyż to nie charakterystyczne, że z okazji premiery „Ormianina z Beyrutu" trąbiono w prasie, że Grzymała Siedlecki spędził długie lata na Kaukazie, że jest Ormianinem w jednej czwartej... Zachwalano nie dowcip autora ale jego znajomość Wschodu. Szekspir był święcie przekonany że Czesi to naród wilków morskich, a jednak jego sztuki są nienajgorsze. A „Listy Perskie" będą wieczne choć Monteskiusz wiedział o Persji jeszcze mniej niż Tetmajer o Janosiku.

Nawet pornografia musi mieć dzisiaj stempel naukowości, „Małżeństwo doskonałe" Van der Velde'a to „Dekameron" współczesny. Komisariat Rządu odebrał debit „Vie Parisienne" bo były tam fotografie zbyt bosych panienek – wykresy figur miłosnych Van der Velde'a są jak najlepiej widziane. Książka ta zdobi salony, jeszcze trochę, a będzie w szkolnych bibliotekach.

Na jakież porównania nie silili się dawniej poeci by oddać piękno swych kochanek! Szmaragdy, toń morska, biel mleczarni, słodycz ula, krągłość kształtów baobaba – wszytko poruszali. Dziś młodzieniec mówi z ogniem w oczach o swej narzeczonej:

– Bóstwo! Cud nie kobieta! Ma 68 cm. obwodu w pasie, 95 – poniżej, a łydkę o 27 i pół cm! Waży 59 kilo i 13 deka.

– Aa, oooo – mlaskają z uznaniem znawcy.

Od każdego utworu żąda się dziś by był dokładny jak stroniczka encyklopedii. ■

Przedruk za: „Prosto z Mostu", 28.11.1937, Nr 54 (162).

eprasa.pl f4e64891b7

Karol Zbyszewski

Czy potrzebne są drogi

Mknąc świetną, betonową szosą do Modlina myślałem naiwnie: no, tubylcy modlą się tu pewnie od rana do wieczora za zdrowie rządu co im taką życiodajną arterię wybudował...

Za dużo chodziłem na wykłady psychologii prof. Witwickiego i dlatego rozumowałem najfałszywiej... Oto plon przeprowadzonej ankiety. Babina wiedzie krowę, ja do niej: – Serwus panienko, przyjemnie iść taką dobrą szosą, co?

– A niech ją diabli wezmą!

– Jakto? Toć krowa na niej nogi w wyboju nie złamie.

– Tak, tylko, że już trzy razy mandat karny za krowę płaciłam. Nie dają bydlęciu szosą chodzić, bokiem każą. A jak bokiem, kiedy krowa ścieżki nie lubi. Dawniej sobie szła środkiem szosy, nie wadziła nikomu, teraz ino czyhają by stworzenie ukarać!

Gospodarz z wąsami jak wiechcie zaklął niby rodowity warszawiak:

– Cholera z tą szosą! Dawniej gdy letniaki przyjeżdżały, to za zwózkę ich rzeczy z Warszawy brałem 25 złotych. – Droga strasznie marna, tłómaczyłem, koń się okrutnie zmorduje... I płacili. Dziś każdy letniak samochód wynajmuje i za 10 zł ma wszystko na miejscu. Tfu z tym betonem!

Dobra mama aż ręce załamała na wzmiankę o szosie.

– Mój Antoś, syn znaczy, co 13-cie lat liczy, nie skończy szkoły w tym roku. Pan nauczyciel powiedział co nic się nie uczy. A pewnie, że nic, bo łobuz jeden popołudnie całe na rowerze po szosie ugania. Dawniej to gdzie – wcale jeździć nie mógł, takie dziury i kamienie. Teraz na drugi rok zostanie i bez co? Bez tę szosę!

Zapytałem ze 30 osób i każda miała jakieś pretensje: Kowal, że wozy się teraz mniej psują i roboty mu braknie; baba, że wszystkie kury jej mordują; sklepikarz, że ludzie po zakupy autobusem do Warszawy jeżdżą...

Okazuje się, że to złośliwość władz spokojnej ludności życie zatruwać betonowymi szosami.

Na Polesiu trafiwszy łódką do ślicznego zakątka, mówiłem do kmiotków:

– Czemuż tu żadnej drogi do was nie ma? Zjeżdżaliby ludzie autami, motocyklami, sprzedawalibyście turystom mleko, jaja i lody, pieniądze wyrzucalibyście łopatami do rzeki z braku miejsca na nie w chatach.

Stary Hawryło odpowiedział:

– My już dawno marzymy o drodze, bo jak deszcze pójdą to odcięci całkiem jesteśmy od świata. No to w zeszłym roku zaczęlim groblę przez błota sypać. Już usypalim z połowę – przyjechał urzędnik ze starostwa kazał wszystko rozwalić. Pojechałem z delegacją do województwa, tam tłómaczą nam:

– Pozwolić na groblę wam nie możem, bo bez planu ją prowadzicie, nieprzepisowo znaczy. Ministerstwo plany przygotuje, wtedy i drogę wam wybudujem.

– Oj kiedyż to będzie? Czy aby dożyjem?

– W swoim czasie będzie, a narazie macie tu pół tuzina orderów na gminę.

Chodzim teraz wszyscy udekorowani – ale chodzim dalej po błocie.

I w tej głuchej wiosce poleskiej dzieci modlą się wieczorem: – Daj nam Panie Boże zdrowie, chleba, urodzaj na siano i drogę do miasteczka...

Rozlegają się teraz opinie kawiarnianych strategów:

– Brak dróg, złe drogi – bo siła kraju, bo wtedy zmotoryzowany wróg nie może go zdobyć.

Słucha się tego z przyjemnością myśląc: Polska bezdrożem stoi!

Asfaltowe szosy to zacofanie, pragnąć ich mogą tylko dzicy Poleszucy. ■

ASFALTOWE SZOSY TO ZACOFANIE, PRAGNĄĆ ICH MOGĄ TYLKO DZICY POLESZUCY.

Przedruk za: „Prosto z Mostu", 02.07.1939, Nr 27 (248).

eprasa.pl f4e64891b7

Marek Kalinowski

Pieśń podróży

Trudno o bardziej symboliczne wydarzenie muzyczne 2020 roku. Nick Cave bez publiczności i towarzyszących mu muzyków, w pustej sali londyńskiego Alexandra Palace zarejestrował jeden z najpiękniejszych koncertów ostatnich miesięcy.

Mamy czego żałować. Europejska trasa koncertowa Nicka Cave'a z zespołem The Bad Seeds była jednym z najbardziej oczekiwanych wydarzeń minionego roku. Tymczasem okazuje się, że zespół odwołał również koncerty przeniesione wcześniej na rok 2021, w tym jedyny w Polsce występ w Gliwicach. Na pocieszenie otrzymujemy album niezwykły, zapis koncertu z londyńskiego Alexandra Palace, który odbył się 19 czerwca, w środku szalejącej pandemii. Na scenie Nick Cave solo przy fortepianie, bez towarzystwa muzyków i bez... publiczności. Sam muzyk wspomina ów dzień tak: „Otoczeni przez funkcjonariuszy Covid z taśmami mierniczymi i termometrami, zamaskowanych gafferów i operatorów kamer, nerwowo wyglądających techników i wiadra żelu do rąk, stworzyliśmy coś bardzo dziwnego i bardzo pięknego, co przemawiało w tym niepewnym czasie". Obraz pustej sali, który zarejestrowały kamery, z pewnością zapamiętamy na długo.



Nick Cave, IDIOT PRAYER. NICK CAVE ALONE AT ALEXANDRA PALACE, The Bad Seed

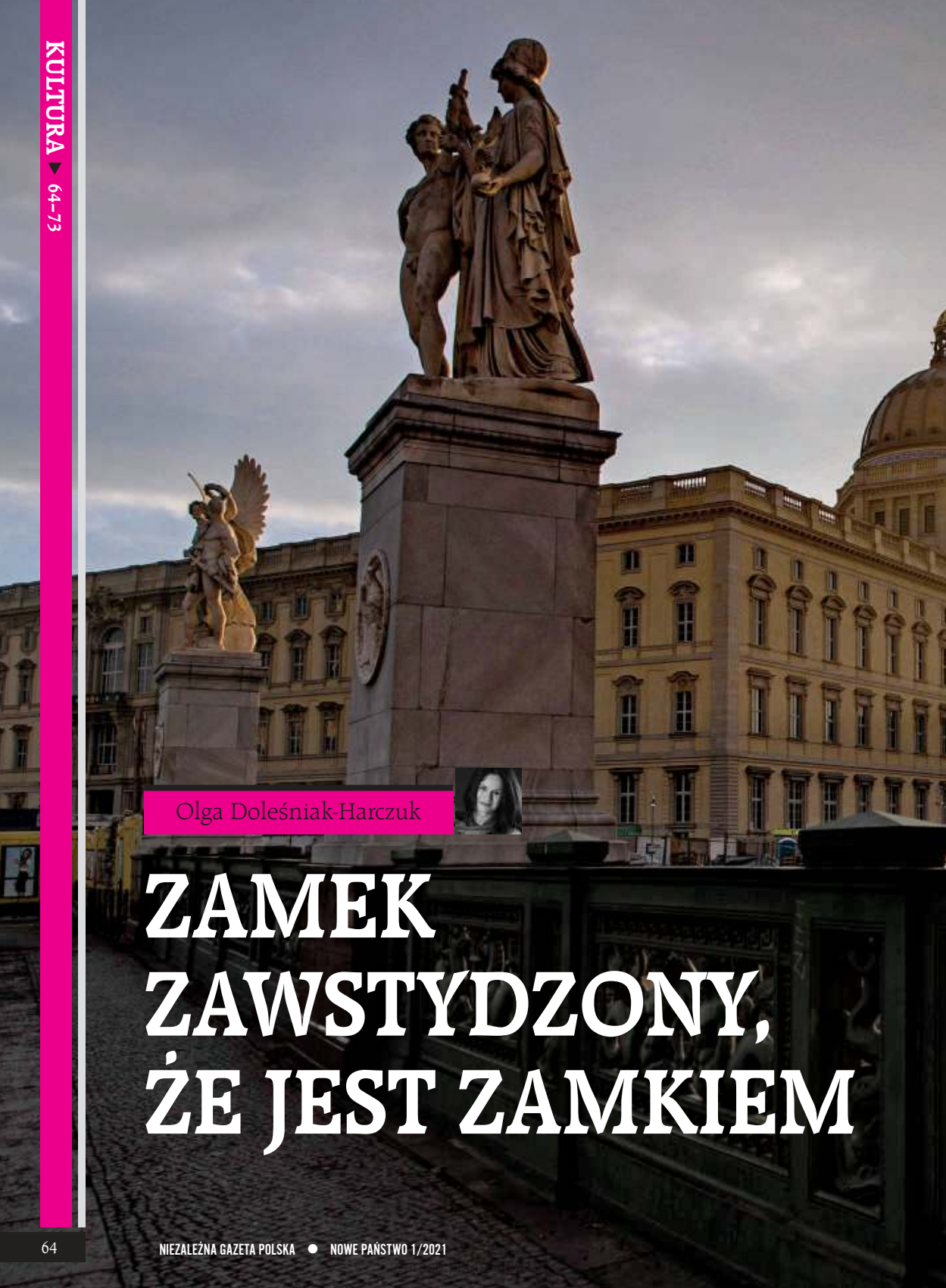
Znaczna część utworów to kompozycje z nagranej w 1997 roku płyty „The Boatman's Call". Wybór wydaje się naturalny, gdyż te minimalistyczne aranżacje idealnie wpisują się w nastrój koncertu. Stąd pochodzi również jedna z najbardziej rozpoznawalnych piosenek Cave'a „Into my Arms", przepiękna miłosna ballada „(Are You) the One That I've Been Waiting For", a także sam tytułowy utwór „Idiot Prayer" – opowieść o śmierci i pożegnaniu.

Śmierć to jeden z tematów od lat towarzyszących twórczości Nicka Cave'a, w ostatnim czasie szczególnie ważny. Zaledwie pięć lat temu artysta stracił w tragicznym wypadku swojego nastoletniego syna. Wydarzenie wywarło olbrzymie piętno na jego twórczości, a nagrany tuż po tym album „Skeleton Tree" oraz ostatnia studyjna płyta „Ghosteen" są poszukiwaniem nowego języka, rodzajem autoterapii, próbą przezwyciężenia bólu i ratunkiem w modlitwie. Próżno w nowej twórczości Cave'a szukać dawnego buntownika i trudno też powstrzymać wzruszenie, gdy w trakcie koncertu łamiącym się głosem śpiewa jedną z ostatnich kompozycji „Waiting for You".

Zagrane podczas londyńskiego koncertu dzieła, choć pochodzą z różnych okresów jego aktywności, tu nieoczekiwanie znajdują wspólny mianownik. Kulminacyjnym momentem staje się pieśń podróży – „Higg Bosson Blues", która zagarnia swym hipnotyzującym nastrojem pozostałe utwory. Wśród nich jest też premierowa, znakomita „Euthanasia", a w niej powrót motywu wędrówki przez świat, włóczęgi bez celu, bo drogę wyznacza przejmująca tęsknota za stratą.

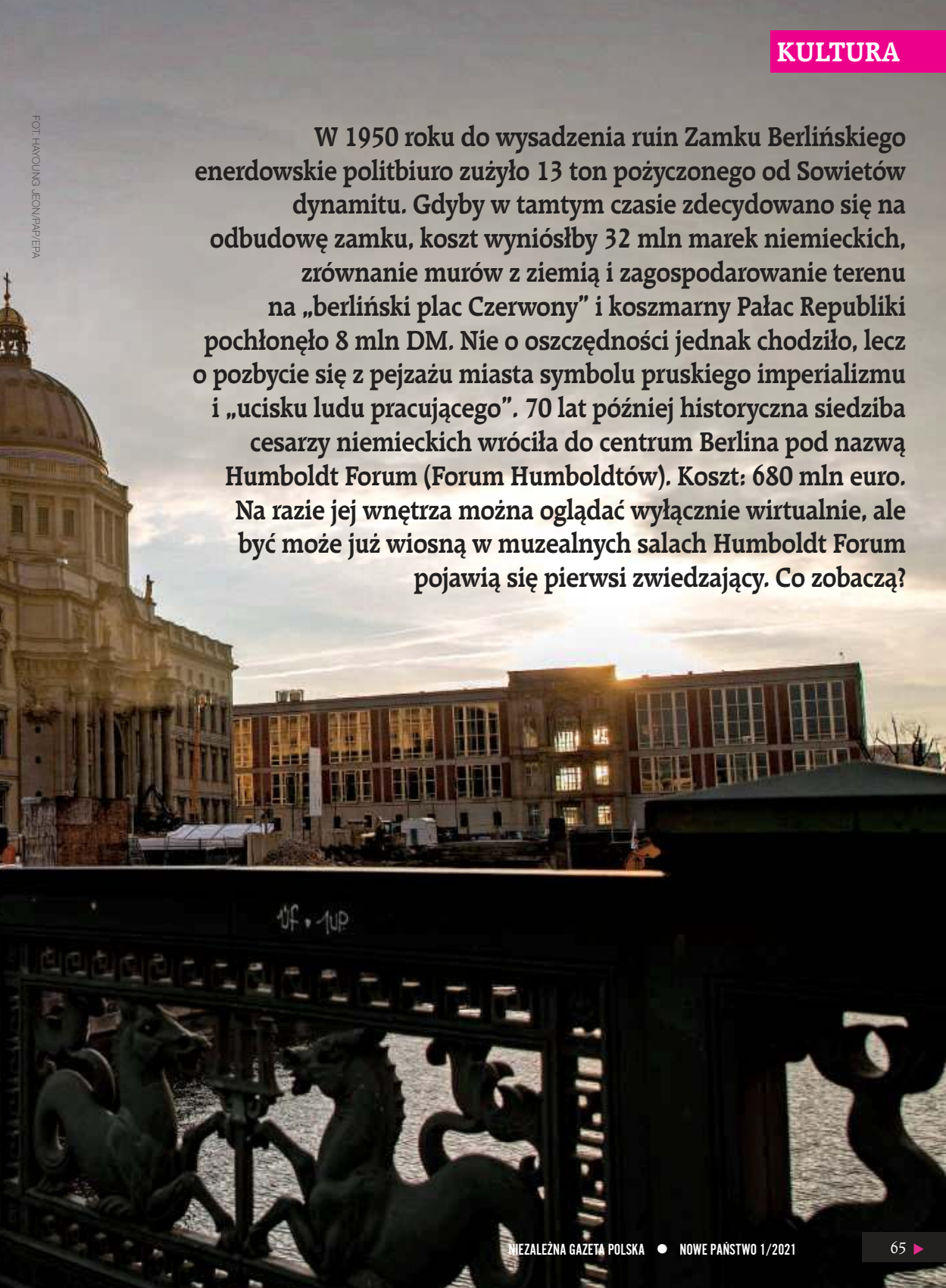
Zapis londyńskiego koncertu to doskonały pretekst, by po raz kolejny wrócić do dyskografii Cave'a. Obdarte z bogactwa dźwięków, doskonale znane utwory odsłaniają teraz zupełnie nowe oblicze. Fortepianowy akompaniament budzi zaś wielokrotnie zachwyt. Akcenty, ekspresja dźwięków i swoboda, z jaką Cave w jednej chwili potrafi zmienić nastrój utworów, to rzecz, która, przy zachowaniu odpowiedniego dystansu przynosi najlepsze skojarzenia z mistrzowską, pierwszą częścią niezapomnianego „The Köln Concert" Keitha Jarreta. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Olga Doleśniak-Harczuk

ZAMEK ZAWSTYDZONY, ŻE JEST ZAMKIEM



FOT. HAYOUNG JEON/PAP/EPA

W 1950 roku do wysadzenia ruin Zamku Berlińskiego enerdowskie politbiuro zużyło 13 ton pożyczonego od Sowietów dynamitu. Gdyby w tamtym czasie zdecydowano się na odbudowę zamku, koszt wyniósłby 32 mln marek niemieckich, zrównanie murów z ziemią i zagospodarowanie terenu na „berliński plac Czerwony" i koszmarny Pałac Republiki pochłonęło 8 mln DM. Nie o oszczędności jednak chodziło, lecz o pozbycie się z pejzażu miasta symbolu pruskiego imperializmu i „ucisku ludu pracującego". 70 lat później historyczna siedziba cesarzy niemieckich wróciła do centrum Berlina pod nazwą Humboldt Forum (Forum Humboldtów). Koszt: 680 mln euro. Na razie jej wnętrza można oglądać wyłącznie wirtualnie, ale być może już wiosną w muzealnych salach Humboldt Forum pojawią się pierwsi zwiedzający. Co zobaczą?

Pandemia zamroziła życie kulturalne europejskich stolic. Dla Berlina rok 2020 miał być pod tym względem wyjątkowy. O odbudowie Zamku Berlińskiego (nazywanego jeszcze czasem Zamkiem Andreasa Schlütera w uznaniu jego pracy na rzecz rozbudowy zamku w latach 1699–1706) mówiło się w Niemczech od początku zjednoczenia, ale dopiero w 2002 roku Bundestag oficjalnie zadecydował o rekonstrukcji gmachu. Niemieccy politycy długo krążyli wokół tematu, powoływano rady eksperckie, kreślono plany, zastanawiano się nad sposobem finansowania budowy. W 1999 roku na łamach „Berliner Extrablatt" wydawca i dziennikarz Wolf Jobst Siedler pisał: „Teraz lub nigdy!". W swoim artykule sugerował, że jeżeli nawet rząd Gerharda Schrödera popiera rekonstrukcję zamku, to chadecy tym bardziej powinni pozbyć się wątpliwości i dołączyć do głosu socjaldemokratów. Siedler zaznaczał, że CDU obawiało się samodzielnie forsować rozpoczęcie budowy, ponieważ „zamek symbolizował powrót do idei porażki państwa narodowego", wizja publicznego linczu ze strony komunizującej lewicy hamowała ówczesnych konserwatystów przed wdrożeniem ambitnego planu w życie. Z pomocą przyszli socjaldemokraci, wśród nich tak prominentni jak ówczesny przewodniczący Bundestagu Wolfgang Thierse i sam kanclerz Schröder. Ten drugi w wywiadzie udzielonym tygodnikowi „Die Zeit" stwierdził nawet, że „Pałac Republiki jest tak monstrualny, że sam wolałbym zamiast niego zamek, bo ten przynajmniej jest śliczny". Za przywróceniem berlińskiemu centrum jego przedwojennej świetności opowiedzieli się późniejsza kanclerz Angela Merkel, prezydent Niemiec Johannes Rau, ambasador USA w Niemczech John Kornblum, amerykański sekretarz stanu Collin Power, a w 2008 roku list z poparciem rekonstrukcji zamku przesłał do Berlina sam George Bush.

Barok razy trzy

Cofnijmy się jednak do maja 2002 roku, kiedy po dekadzie negocjacji i debat nad kształtem planowanej rekonstrukcji, Bundestag zaakceptował plan rozbiórki enerdowskiego Pałacu Republiki i przywrócenie w jego miejsce Zamku Berlińskiego. Inicjatywę poparły kluby parlamentarne CDU/CSU, SPD, Zielonych i FDP. To wtedy postanowiono, że zamek zostanie odbudowany, jednak z pewnymi odstępstwami od oryginału. Trzy fasady barokowe miały być wiernie odtworzone według planów z XVII wieku, a czwarta, od strony wschodniej, miała otrzymać bardziej nowoczesny charakter (i tak się ostatecznie stało, wschodnia fasada wygląda jak marzenie fanów Bauhausu, co spędza tradycjonalistom sen z powiek). Bundestag podzielił się na zwolenników wiernej rekonstrukcji bez wtłaczania modernistycznych elementów i na zwolenników demokratyzacji architektury i pójścia z duchem czasu. Pierwsza grupa argumentowała, że prywatni sponsorzy mogą sceptycznie zareagować na modernistyczne udziwnienia, co negatywnie wpłynie na zbiórkę środków. Koronnym argumentem za tym, by zamek w miarę możliwości zachował swój dawny kształt, było jego specyficzne otoczenie, a zwłaszcza gmach Starego Muzeum, dzieło Karla Friedricha Schinkla, zaprojektowany tak, by jak najlepiej korespondował z siedzibą pruskich władców. Wyrwanie w 1950 roku zamku z trójkąta tworzonego przez Katedrę Berlińską, Stare Muzeum i nieco oddalony kościół św. Mikołaja i postawienie w jego miejscu socrealistycznego Pałacu Republiki z przylegającym placem do defilad zaburzyło tę harmonię na dekady. Brązowo opalizująca fasada enerdowskiego potworka i siedziba Izby Ludowej samym mieszkańcom wschodniego Berlina kojarzyła się różnie. Ci, którzy nie przykładali szczególnej wagi do polityki, wnętrza „sklepu z Lampami Ericha" (tak potocznie nazywano pałac ze względu na 1001 lamp zainstalowanych pod sufitami budynku), pamiętali go głównie z koncertów, wystaw, restauracji i dyskotek. Wieść o planach wyburzenia budynku wywołała u części berlińczyków histerię, ludzie demonstrowali pod pałacem, a najsłynniejszy i do dziś czynny politycznie postkomunista Niemiec Gregor Gysi w 1997 roku z okna socrealistycznego straszydła wywiesił transparent z hasłem w jego obronie. Ale klamka zapadła. Azbestowy pałac szykowano do rozbiórki. Trwała ona od 2006 do 2008 roku. Spacerując w letnie miesiące w tamtym czasie Unter den Linden, na wysokości katedry Berlińskiej, po dwóch stronach ulicy można było zobaczyć berlińczyków odpoczywających na trawnikach niczym na pobliskim dziedzińcu Uniwersytetu Humboldtów. Jedna grupa pod Starym Muzeum, druga pod topniejącym w oczach Pałacem Republiki. Rozbiórka budynku ciągnęła się w nieskończoność. Według ustalonego 18 lat temu przez Bundestag harmonogramu uroczyste otwarcie zamku miało nastąpić 3 października 2010 roku, w 20. rocznicę zjednoczenia Niemiec. Plan się nie powiódł. Zamek, a raczej Forum Humboldtów usilnie odżegnujące się od swojej zamkowo-pruskiej istoty, dołączył do berlińskiej rodziny muzeów 16 grudnia 2020 roku. Nie było fajerwerków, tylko internetowe świętowanie przy dźwiękach muzyki świata w wykonaniu „transtradycjonalnego zespołu Resident Music Collective" i lampka szampana wzniesiona przed ekranem komputerów. I jeszcze coś. Poważny zgrzyt dyplomatyczny w relacjach niemiecko-nigeryjskich, o czym za chwilę.

eprasa.pl f4e64891b7

Każdy porządny zamek ma swojego upiora

Zwiedzający muzea zazwyczaj chętnie zaglądają do muzealnych sklepików. Ten usytuowany na parterze czteropiętrowego Humboldt Forum jeszcze nie wystartował ze sprzedażą pocztówek i plakatów, ale już wiadomo, że jego główną atrakcją będą kuliste lampy Ericha. To ukłon w stronę wystroju wnętrz Pałacu Republiki. Niejedyny zresztą. Fundacja Humboldt Forum przejęła część wyposażenia enerdowskiego pałacu, w barokowych wnętrzach można będzie obejrzeć z bliska pokryte dermą krzesła z lat 70. i 80. XX wieku, porcelanę, na której jadali komunistyczni bonzowie, plakaty, dywaniki, a nawet część płaskorzeźby „Pochwała komunizmu" autorstwa Jo Jastrama. Tyle skarbów z lamusa.

Są jednak i nawiązania współczesne. Na jednej ze ścian artysta Tim Trantenroth namalował motyw fasady Pałacu Republiki, tłumacząc, że chciał uwiecznić miedziane i pomarańczowe odcienie szyb, które rozmywają się w szarości i ostatecznie nikną w jasnych, gładkich powierzchniach zamku. Tranthenroth ubolewał, że pałac rozebrano. I ten żal widać w jego pracy. Ostalgia w zupełnie nowym wydaniu, pozbawiona uroku piaskowych dziadków i niepoprawnych politycznie ciastek Otello. Oto komunistyczna fasada rozmywa się w czymś, co jest i jednocześnie nie jest pruskim dziedzictwem nowoczesnych, multikulturalnych Niemiec. Gdzieś między kryształową popielniczką Honeckera a metalowym kielichem na koktajle z podberlińskiej fabryki sztuki użytkowej. Bez kontekstu, bez wzmianki, że ten kratkowany front szklano-betonowego molocha, nazwany chyba pałacem na złość wszystkim pałacom świata (abstrahując od PKiN), nie zaczynał się i nie kończył na lampach Ericha. Że Erich nie był wesołym panem od oświetlenia, elektrykiem-hobbystą, lecz zbrodniarzem, który tak jak jego poprzednicy nigdy nie odpowiedział za śmierć swoich rodaków zabitych podczas próby przeskoczenia pałacowych murów. Być może któraś z licznych ekspozycji multimedialnych nowego muzeum tłumaczy, kim był ten wiecznie skrzywiony pan w kapeluszu, ale jak na razie z wypowiedzi osób odpowiedzialnych za merytoryczną warstwę całego przedsięwzięcia trudno wywnioskować, by narracja skręciła w tę stronę. Króluje przekaz, że Pałac Republiki i Zamek Berliński są „ikonicznymi budowlami miasta". I na tym koniec opowieści.

Obowiązkowe queer

Kiedy słońce zajdzie i sale Forum Humboldta otuli przyjemny półmrok, do akcji wkroczą instalacje wideo. Krótkie filmy, animacje, etiudy, każda spod ręki młodych, obiecujących reżyserów, będą pokazywane na tzw. kosmografie stojącym w muzealnym foyer. Kosmograf to kilka telebimów ustawionych jeden na drugim. Jak informuje Forum, na razie zaplanowano pokazy filmów trzech twórców lub zespołów reżyserskich, a wśród nich znalazła się Zara Zandieh, przedstawiana na stronie internetowej Forum jako reżyser i reżyserka jednocześnie (za pomocą tzw. gwiazdki genderowej). Zandieh pokaże w gmachu muzeum film „Octavia's Visions" poświęcony czarnoskórej autorce powieści fantastycznych. Sama Zandieh specjalizuje się w „dekolonialnym podejściu queer i różnorodnym ukazywaniu postimigranckich i zmarginalizowanych podmiotów w sposób poetycki" – tyle o autorce mówi notka. Jej filmy i spoty reklamowe wykorzystywane w kampaniach pism i organizacji feministycznych zajmują się sprawami środowisk LGBT, a są to sprawy przeróżnej wagi. Jeden z nich naświetla problem barier w dostępie do klubów queer dla niepełnosprawnych osób transpłciowych, inny dyskryminację, z jaką borykają się feministki w środowisku innych feministek, jeszcze inny ukazuje dzień z życia „pracownicy seksualnej" (w Niemczech nie mówi się już o prostytucji, lecz o pracownikach seksualnych, co ma podkreślać dobrowolność i radość czerpaną z wykonywanego zawodu). Zresztą ten ostatni film był pokazywany nie tylko na festiwalach związanych ze środowiskiem LGBT, lecz także na przeglądzie filmów porno w Berlinie. I teraz film lub filmy Zandieh będą uprzyjemniać leniwe wieczory zwiedzającym muzeum.

Nie samym LGBT jednak muzeum żyje. Pozostali twórcy filmowi poruszają temat kolonizacji, migracji (zwłaszcza z państw afrykańskich), beztroskie tematy z pogranicza teledysku i spotów reklamowych. Kwestia kolonizacji i jej niechlubnego dziedzictwa zajmuje w Forum Humboldtów zresztą miejsce szczególne. W zbiorach etnograficznych i muzeum Azji, które mają budować wielokulturowego ducha gmachu, znajdą się eksponaty zaliczane do kategorii sztuki zrabowanej. Bywalcy niemieckich muzeów co jakiś czas natykają się na puste ramy obrazów i notkę wyjaśniającą, że oto w tym miejscu wisiał obraz zrabowany na przykład żydowskiemu obywatelowi Niemiec, któremu za III Rzeszy odebrano zbiory dzieł sztuki, a teraz dzieło wróciło do potomków okradzionego. Podobnie jest z księgozbiorami, z tym, że w ich przypadku biblioteki zazwyczaj odkupują zrabowane księgi od rodzin okradzionych, z obrazami bywa różnie. Tym razem jednak rzecz dotyczy dzieł zrabowanych mieszkańcom Afryki, a nie żydowskim współobywatelom. I mieszkańcy ci na kilka dni przed oficjalnym otwarciem Forum Humboldtów

eprasa.pl f4e64891b7

upomnieli się o zwrot swojej własności w liście wystosowanym do kanclerz Angeli Merkel i minister kultury, Moniki Grütters. Autorem pisma jest Yusuf Tuggar, ambasador Nigerii w Niemczech, a przedmiotem roszczeń słynne Brązy z Beninu zaliczane do najwspanialszych dzieł sztuki afrykańskiej. Mosiężne figurki, popiersia i płytki znajdują się obecnie w zbiorach Muzeum Etnologicznego w Dahlem, ale już niebawem mają przybyć do Berlina. Zrabowane w czasach kolonialnych z terenu dzisiejszej Nigerii dzieła sztuki to trudny temat dla niemieckich polityków. Berlin od lat stara się uporać ze swoją kolonialną przeszłością, ale czyni to, nie wychodząc poza sferę deklaracji. SPD i Zieloni naciskają na zwrot zagrabionych dzieł sztuki, postulat ten pojawił się nawet w umowie koalicyjnej CDU/CSU-SPD, ale wyników brak. Jak na zapytanie mediów ujawniło niemieckie MSZ, list ambasadora Nigerii wpłynął już w sierpniu 2019 roku, co skłoniło Berlin do podjęcia rozmów ze stroną nigeryjską. Fakt, że pan ambasador postanowił na kilka dni przed otwarciem Humboldt Forum sprawę upublicznić, świadczy o tym, że rozmowy nie przebiegły po jego myśli. Taki rozgłos uderza w wizerunek Forum szczycącego się rolą instytucji potrafiącej stawić czoła kolonialnej przeszłości Niemiec, miejscem interdyscyplinarnego dialogu skrzyżowania kultur, hołdującym idei demokratyzacji wiedzy popularyzowanej przez Wilhelma i Aleksandra Humboldtów. Wszystko w atmosferze poszanowania innych kultur. Ciekawe, że podczas internetowej inauguracji muzeum do głosu dopuszczono Georga Akello Abungu, archeologa i dyrektora muzeum narodowego Kenii, który towarzyszył pracom nad kształtem obiektu. Jego głos miał prawdopodobnie nieco rozrzedzić atmosferę wokół zrabowanych dzieł sztuki. Trudno natomiast powiedzieć, jaki cel miały władze Forum, wyświetlając kilkuminutowy film, sugerujący analogie między obalaniem pomników w USA na fali ruchu Black Lives Matter a budową spektakularnego zamku-muzeum w centrum Berlina. Jak podkreślała narratorka: „Podczas gdy na świecie obala się pomniki kolonializmu, Niemcy tworzą największy projekt kulturalny XXI wieku, który już wkrótce zapełni się zbiorami zrabowanymi innym kulturom". Po minie jednej z pracownic muzeum można było poznać, że koncepcja z filmem była nie do końca przemyślana. Chyba że władzom Fundacji Forum zależy na wywołaniu zamieszek i szturmie organizacji afroniemieckich (których w Berlinie nie brakuje) na co dopiero oddany budynek przy Schlossplatz. Pytanie, w jakim celu. Tak czy inaczej, wersja o platformie wymiany myśli, która rozliczy się z piętnem kolonializmu, raczej nie przystaje do rzeczywistości nowo powstałego muzeum. Nawet jeżeli w centrum jednej z monumentalnych klatek schodowych ustawiono instalację artystyczną mającą symbolizować sprzeciw wobec kolonizacji. Przedziwny pomysł. I w ogóle przedziwne miejsce.

Poza odtworzonymi z pietyzmem rzeźbami i kopułą kaplicy z zatkniętym na jej szczycie złotym krzyżem, trudno zachwycić się pustką, która wzięła w posiadanie to miejsce. Miejsce z ogromnym potencjałem, by stać się faktycznym centrum życia kulturalnego stolicy. I jeszcze specjalne komnaty dla dzieci, w których Leitmotivem uczyniono hasło „zajmij miejsce". Ponieważ, jak przekonują pomysłodawcy, zajmowanie miejsca ma wiele znaczeń. Można zająć miejsce w społeczeństwie, w rykszy, przy stole itd. I dlatego najmłodsi dowiedzą się w tej zamkowej bawialni, że jak już gdzieś usiądą, to to coś znaczy. Tyle że wszystkiemu można nadać jakieś znaczenie. Pytanie, po co w zamkowo-muzealnym wnętrzu urządzać przestrzeń, która zamiast przybliżyć dzieciom wiedzę, chociażby o sztuce, funduje im przyspieszony kurs taniego psychologizowania. Idea tego projektu przypomniała mi o pewnej wycieczce nastolatków do Muzeum Bodego. Towarzyszący młodzieży nauczyciele zachęcali ją do wspinania się na ławy (tak, te, na których zazwyczaj siadają zwiedzający, by w skupieniu popatrzeć na dzieło sztuki) i wykrzykiwania rewolucyjnych haseł, zupełnie nieprzystających do atmosfery miejsca, ale kiedy jeden z uczniów zapytał, dlaczego panie i panowie na obrazach „mają takie śmieszne fryzury", nauczycielka oniemiała. Nie wiedziała, że kiedyś... noszono peruki.

▶ Zawsze zostaje podziemie

Może w realnym kontakcie Forum Humboldtów okaże się ciekawsze i nie tak poprawnościowo nijakie jak w przekazie wirtualnym. A gdyby jednak te patetyczne treści okazały się mieć pokrycie w muzealnej rzeczywistości, zawsze można zejść do podziemia. Ponieważ jak na razie z całej oferty przedstawionej zdalnie najbardziej godne uwagi zdają się być piwnice zamku z XIX-wiecznym wentylatorem i fragmentami średniowiecznych i barokowych murów oraz pozostałościami po klasztorze dominikanów, rozebranym na polecenie Fryderyka Wielkiego. 800 lat historii Berlina zaklęte w murach. I zamek, który przynajmniej w swoich najniższych partiach nie musi udawać nowoczesnej platformy skrzyżowania kultur. Na szczęście żaden z postępowych muzealników nie wpadł na pomysł, by tym murom kazać śpiewać o dyskryminacji bywalców średniowiecznych przybytków dla sadomasochistów czy o zaniechaniach Wielkiego Elektora w kwestii demokratyzacji płci frauencymeru. ■

eprasa.pl f4e64891b7





Krzysztof Karnkowski

Odwaga nagrodzona

Powierzenie reżyserowania serialu „Ludzie i bogowie" Bodo Koksowi było decyzją bardzo odważną i mocno ryzykowną. Zarówno wyniki oglądalności, jak i sam efekt artystyczny pokazują, że odwaga ta została nagrodzona. Odejście od wypracowanego przez lata spojrzenia na produkcje historyczne dało naprawdę interesujący efekt. Każdy odcinek gromadził przed telewizorami ponad 2 miliony widzów, a TVP jeszcze przed emisją trzynastego, ostatniego odcinka pierwszej serii, zapowiedziała kontynuację.

FOT. MAT. PRAS. TVP

Zacznijmy od statystyk, bo te pokazują, że wszystkie zaangażowane strony mają powody do zadowolenia. Użytkownicy portalu Filmweb pierwszy sezon „Ludzi i bogów" ocenili na 7,7 w skali od 1 do 10, co jest wynikiem bardzo dobrym. Wysokie noty wystawiono też kolejnym odcinkom. Co ważne, skala ocen przez cały sezon utrzymuje ten sam poziom, lekko zwyżkując przy odcinku finałowym, który uzyskał w tej samej skali 8 punktów.

Reżyser dość ekscentryczny

Odświeżone spojrzenie na polski opór czasów II wojny światowej w oczach widzów obronił się w porównaniu z bardziej tradycyjnymi, współtworzącymi nasz sposób opowiadania o tych czasach produkcjach „Czas honoru" i „Wojenne dziewczyny" (odpowiednio 8 i 7 gwiazdek na tym samym portalu). Portal Wirtualne Media podał, że średnia oglądalność pierwszych trzech odcinków „Ludzi i bogów" wyniosła 2,5 mln widzów, a całej serii niewiele mniej – 2,33 mln. Dla TVP przekłada się to na realny sukces. W trakcie emisji kolejnych epizodów stacja była liderem oglądalności na rynku telewizyjnym, a wpływ z reklam emitowanych przed i po projekcji to ponad 14 mln złotych. Komercyjnie więc udało się odnieść sukces, choć akurat to, że tak będzie, raczej nie ulegało wątpliwości, popularnością cieszą się bowiem wszystkie historyczne produkcje stacji. Jednak „Ludzie i bogowie" niewątpliwie są również sukcesem artystycznym. I choć wypracowana do tej pory nasza serialowa konwencja jest przez widzów lubiana i znakomicie się sprawdza, próba wyjścia poza nią również okazała się dobrym pomysłem. Pomysł to jednak nie wszystko, podobne eksperymenty bardzo łatwo można położyć. Tym razem jednak nic takiego nie miało miejsca. Na świeżość podejścia do tematu wpłynęło również zaangażowanie scenarzystów, którzy wcześniej nie uczestniczyli w tworzeniu podobnych produkcji – Wenantego Nosula i Krzysztofa Węglarza.

Bodo Kox jest twórcą dość ekscentrycznym, dotąd mającym doświadczenie przede wszystkim w reżyserii filmowej. Najpierw zdobył sobie status kultowego twórcy w polskim kinie niezależnym, później, docenioną przez krytykę „Dziewczyną z szafy", wszedł do głównego nurtu polskiej kinematografii. Doświadczeń serialowych nie miał przed „Ludźmi i bogami" właściwie żadnych i być może właśnie to pozwoliło mu do tematu podejść bardziej filmowo. Filmowość tę widać w rozmachu scenografii, mrocznym klimacie knajp i mieszkań okupowanej Warszawy, a przede wszystkim w scenach ulicznych strzelanin i egzekucji, wzmacnianych grą, tempem i kątami pracy kamery. Szczęśliwie artystyczne ambicje zaowocowały tu starannością dopracowania serialu w duchu kina gatunkowego, nie zaś brnięciem w mało komunikatywne eksperymenty. Sam reżyser miał zresztą świadomość takiego zagrożenia, o czym wspomniał w rozmowie z Polskim Radiem: „Dla mnie to było duże wyzwanie, by [...] nie przegiąć w taką stronę, by ten sposób interpretacji był obraźliwy albo niezrozumiały". Kilka lat wcześniej, przy okazji premiery „Dziewczyny z szafy", Kox mówił na konferencji prasowej, że nie byłby w stanie zrobić czegoś mainstreamowego, a jego filmy zawsze wiać będą offowością. „Ludzie i bogowie" pokazują, że jednak udało się, trzymając przy tym wysoki poziom i nie obniżając sobie poprzeczki, w pełni wykorzystując przy tym możliwości, jakie dawały większy budżet i praca dla wielkiego gracza.

> Bohaterowie „Ludzi i bogów" nie są cukierkowi, jak to zdarzało się choćby w „Czasie honoru". Piją, czasem nawet na umór, mają momenty załamania, klną i nie zawsze są dżentelmenami.

Kino ambitne

Jest faktem, że dwa, zrealizowane już w głównym nurcie pełnometrażowe filmy Bodo Koksa, „Dziewczyna z szafy" z 2012 roku i o pięć lat późniejszy „Człowiek z magicznym pudełkiem", to tytuły ambitne, odstające od nijakości i tandety, jakie przez lata były zmorą polskiego kina. Pierwszy z nich to trudna historia o poświęceniu, chorobie i wycofaniu ze społeczeństwa, duchem i klimatem wciąż tkwiąca w kinie niezależnym. Dramat społeczny podbity jest szaleństwem dosłownie i w przenośni, a reżyser chwilami pozwala sobie na więcej niż w swoich wcześniejszych niezależnych produkcjach – bo może. „Człowiek z magicznym pudełkiem" przemknął przez ekrany niesłusznie słabo zauważony, tymczasem jest to film, który trochę wyprzedził swój czas, opowiadając między innymi o podróży w czasie. Jego bohater, biorąc udział w naukowym eksperymencie w latach 50. ubiegłego wieku,

eprasa.pl f4e64891b7

przemieszcza się do Polski bliskiej przyszłości, która ukazuje się światem z ponurej antyutopii. Nowoczesność w stylu serialu „Black mirror" dehumanizuje obywateli w służbie konserwatywnej dyktatury, a wszystko sypie się dosłownie i w przenośni, jakby cała futurystyczna technologia nie była w stanie poskładać szarego świata, bliskiego raczej wizjom z „Roku 1984" Orwella. Jest to oddanie lęków samego reżysera, żywionych, a zarazem echo nostalgicznych wspomnień związanych ze znalezionym starym radiem, które dla bohaterów okazało się tym, czym w „Dark" (późniejszym, lecz dziś już nie da się uciec od tego skojarzenia) była tajemnicza materia z elektrowni atomowej. Polak potrafi! Oba te filmy dalekie są od konserwatyzmu, oba są równocześnie bardzo udane artystycznie i tu właśnie widać, że wybór Koksa jako reżysera historycznego, patriotycznego serialu Telewizji Polskiej nie był bynajmniej oczywisty. Trzeba jednak dodać, że w późniejszych wywiadach, towarzyszących zapowiedziom „Ludzi i bogów", twórca opowiada o tym, że konserwatywne spojrzenie na świat stało mu się ostatnio bliższe. „Zradykalizowałem się z wiekiem i bliżej mi do wartości »Bóg, Honor i Ojczyzna«, a większość współczesnych mi ludzi wyznaje »Weekend, Lunch i Dotacja«" – deklarował we wrześniu w rozmowie z „Gazetą Wyborczą".

miery czyni niektóre wątki mocno niepoprawnymi politycznie (symulowanie choroby psychicznej przez jednego z bohaterów, mistrzowsko zresztą odegrane przez Grzegorza Wojdona) i bardzo aktualnymi, jak postać kelnera-wegetarianina, narzucającego swój gust klientom restauracji, mającej w menu dania mięsne. Kelnera gra Sebastian Stankiewicz, w „Ludziach i bogach" występujący w roli wyjątkowo obrzydliwego szmalcownika, więc to dobry moment, by wrócić do głównego tematu.

Bohaterowie, również ci, którym mamy kibicować, nie są cukierkowi, jak to zdarzało się choćby w „Czasie honoru". Piją, czasem nawet na umór, mają momenty załamania, klną i nie zawsze są dżentelmenami. Trudno zresztą, by było inaczej, gdy służy się w oddziale AK likwidującym zdrajców. Na frustrację płynącą z całej wojennej rzeczywistości nakłada się jeszcze konieczność dochowania wierności rozkazom, czasem najtrudniejsza, bo stająca w poprzek wobec własnego poczucia sprawiedliwości i potrzeby jego natychmiastowego przekucia w czyn. Przy tym nasi bohaterowie, twarde, lecz i rozrywkowe chłopy, w sercach mają

Filmowe doświadczenie Bodo Koksa widać w rozmachu scenografii, mrocznym klimacie knajp i mieszkań okupowanej Warszawy, w scenach ulicznych strzelanin i egzekucji, wzmacnianych grą, tempem i kątami pracy kamery.

Bohaterowie z krwi i kości

Opowiadając o filmach Bodo Koksa, nie można ograniczać się do przywołanych wcześniej produkcji pełnometrażowych i serialu. Przed 2012 rokiem Bodo Kox nakręcił kilka krótszych i dłuższych filmów niezależnych, z których dwa, „Marco P. i złodzieje rowerów" z 2005 i „Nie panikuj!" z 2007 roku, udostępnia na swoim autorskim kanale na YouTube. Jeśli w pierwszym Kox dopiero, choć już bardzo skutecznie, się rozkręca, epatując widza przerysowaną przemocą i przełamując ją znakomitą parodią telewizyjnej audycji kryminalnej, w drugim idzie już na całość. „Nie panikuj!" idzie jeszcze bardziej w stronę farsy. Nad opowieścią o przygodach trójki przyjaciół unosi się duch młodzieżowej komedii Kevina Smitha, a pokazując swoich bohaterów, Bodo Kox najwyraźniej nie uznaje zasady, że są rzeczy, z których się nie żartuje. To zresztą kilkanaście lat od premiery czyni niektóre wątki mocno niepoprawnymi politycznie (symulowanie choroby psychicznej przez jednego z bohaterów, mistrzowsko zresztą odegrane przez Grzegorza Wojdona) i bardzo aktualnymi, jak postać kelnera-wegetarianina, narzucającego swój gust klientom restauracji, mającej w menu dania mięsne. Kelnera gra Sebastian Stankiewicz, w „Ludziach i bogach" występujący w roli wyjątkowo obrzydliwego szmalcownika, więc to dobry moment, by wrócić do głównego tematu.

Bohaterowie, również ci, którym mamy kibicować, nie są cukierkowi, jak to zdarzało się choćby w „Czasie honoru". Piją, czasem nawet na umór, mają momenty załamania, klną i nie zawsze są dżentelmenami. Trudno zresztą, by było inaczej, gdy służy się w oddziale AK likwidującym zdrajców. Na frustrację płynącą z całej wojennej rzeczywistości nakłada się jeszcze konieczność dochowania wierności rozkazom, czasem najtrudniejsza, bo stająca w poprzek wobec własnego poczucia sprawiedliwości i potrzeby jego natychmiastowego przekucia w czyn. Przy tym nasi bohaterowie, twarde, lecz i rozrywkowe chłopy, w sercach mają Polskę i wierzą w Boga, biegnąc na akcję – a może zwłaszcza wtedy – przeżegnają się przy podwórkowej kapliczce. W sposób zapewne nieplanowany serial wpisał się też w jak najbardziej aktualne dyskusje, „Dager" (Dawid Dziarkowski), jeden z głównych bohaterów, spektakularnie powstrzymuje swoją kochankę przed dokonaniem aborcji i prowadzi swoją wybrankę przed ołtarz. Emocjonalnemu „Dagerowi" towarzyszy chłodniejszy dowódca „Onyx" (Jacek Knap) i kilkoro innych, mających różne „cywilne", czasem na pozór nudne, czasem – szemrane, podglebie postaci. Awanturniczym Polakom towarzyszy cała gama postaci od okupacyjnej szarej strefy do Niemców, rysowanych w barwach ciemnych, lecz bez chodzenia na łatwiznę i spłycania postaci. Niektórych z nich grają aktorzy zza naszej zachodniej granicy, zaś fakt, że niewiele w tym serialu twarzy zgranych i opatrzonych, jest jego kolejnym atutem. Warto wspomnieć też o wyrazistej, nowocześniejszej od przyjętego dotąd w gatunku, muzyce Pawła Lucewicza, którą zapamiętamy zapewne na dłużej. Na drugi sezon przyjdzie nam zapewne trochę poczekać, a pierwsze trzynaście odcinków poprzeczkę zawiesiło bardzo wysoko. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Sylwia Krasnodębska

Szpiegowski political-fiction Doroty Kani

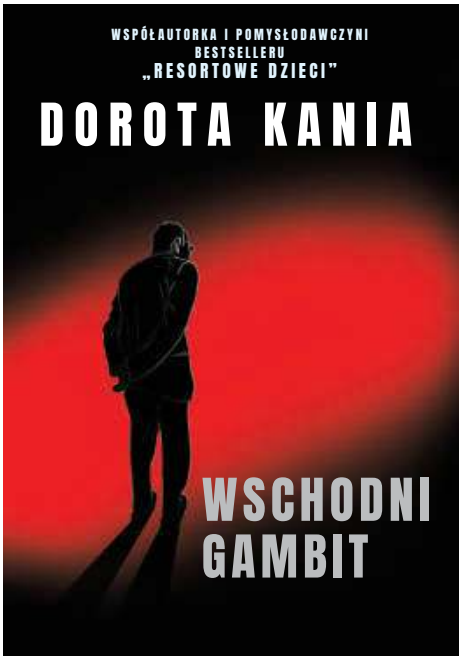
To gotowy scenariusz trzymającego w napięciu filmu szpiegowskiego, którego akcja dzieje się w Polsce, a fabuła ogniskuje wokół rosyjskich wpływów w Europie Środkowo-Wschodniej. Dorota Kania napisała powieść sensacyjną „Wschodni gambit". Pierwowzorem głównej postaci jest dr Jerzy Targalski, specjalista z dziedziny służb specjalnych Europy Środkowo-Wschodniej.

eprasa.pl f4e64891b7

Działania służb, werbowanie agentów obcego wywiadu i media w służbie obcemu mocarstwu. „Wschodni gambit" to sensacyjna powieść Doroty Kani. Autorki bestsellerowych „Resortowych dzieci". Tym razem pisarka sięga po fikcję. Ale czy na pewno? Profesor Stefan Nilsen wraz z młodymi ambitnymi ludźmi tworzy think tank badający sytuację w Polsce i Europie Środkowo-Wschodniej. Grupa rozpracowuje agentów obcego wywiadu i bada ich wpływ na wydarzenia w Polsce i na świecie. A pracy mają pełne ręce, bo rosyjscy agresorzy wychowani w KGB i GRU nie zatrzymają się przed niczym, by odzyskiwać oraz rozszerzać strefy wpływów, i używając terroru, spełniać zapędy imperialistyczne. Nie dziwią więc tajemnicze wypadki, zamachy i śmierci. Dorota Kania sięga po znane nam fakty. Jak choćby rosyjską agresję w Czeczenii i na Ukrainie. Pojawiają się też znane nazwiska...

– Fikcja miesza się z rzeczywistością. Pierwowzorem profesora Nilsena jest dr Jerzy Targalski, który zna wiele języków, również zupełnie egzotyczne narzecza, i jest specjalistą służb specjalnych Europy Środkowo-Wschodniej, Bałkanów, Ukrainy i przede wszystkim Rosji. Inne postaci tej książki też są zaczerpnięte z rzeczywistości. Czytelnicy „Gazety Polskiej" wiele osób z pewnością rozpoznają. To wojna na Ukrainie sprawiła przede wszystkim, że napisałam tę książkę. Każda wojna jest straszna, ale tu przerażające było, że działa się ona w cywilizowanym świecie. Blisko Polski. W książce pojawia się też wątek wojny czeczeńskiej – mówiła Dorota Kania w rozmowie nagrywanej w studiu sklep.gazetapolska.pl. Wplatając w to stworzone przez autorkę szpiegowskie intrygi, wcale nie banalizuje ona problemu rosyjskiego terroru. Wręcz przeciwnie. Pisząc wciągającą powieść, przeprowadza nas zwinnie przez meandry działania służb. Wprowadza czytelnika w „chaos i mętne wody, w których towarzystwo spod ciemnej gwiazdy czuje się najlepiej". Są tu polityczne porwania, pranie pieniędzy, finansowy terror, dotowanie partii politycznej w Polsce, która ma dbać o rosyjskie interesy... Jest w końcu zdrajca, i to w zaufanych szeregach. Czasu jest niewiele, giną kolejne osoby, a wrogie siły chcące destabilizować sytuację w Europie Środkowo-Wschodniej, stają się coraz bardziej agresywne. Przywołaniem nie tylko wspomnianych działań wojennych, lecz także takich wydarzeń jak katastrofa Kurska czy podpalenie się przez Ryszarda Siwca, autorka nie pozwala na beztroską lekturę oderwaną od znanych nam tragedii. Najlepsze powieści szpiegowskie czy filmy, jak choćby przygody słynnego agenta 007, czerpią przecież z realu. Profesor Stefan Nilsen, podobnie jak agent James Bond, nie miałby rąk pełnych roboty, gdyby nie imperialistyczne zapędy Rosji.

– Ten rodzaj publicystyki jest bardzo skuteczny – mówił Jerzy Targalski po przeczytaniu książki i docenia-



Książka dostępna na stronie sklep.gazetapolska.pl lub pod numerem 722 111 655.

jąc wydawnictwo Doroty Kani. – Chociaż było za mało trupów, a książka była za mało krwiożercza – żartował Targalski na antenie Telewizji Republika. Jednak Kania pisze jak wytrawna autorka kryminałów: „Poranek będzie czasem zemsty. Borys Klimow dwadzieścia lat ścigał Antonowa, który za każdym razem mu się wymykał. Teraz jednak nie pozwoli, żeby wróg wystawił go do wiatru. Nie liczył się z konsekwencjami likwidacji Antonowa, tak jak nie obchodziły go wcześniejsze interwencje, gdy ginęli wrogowie Rosji. Dla niego jedynym celem było utrzymanie władzy, a to wiązało się z różnymi komplikacjami, które trzeba było usuwać..."

Nie ma wątpliwości, że gdyby premiera książki odbyła się w warunkach niepandemicznych, przyciągnęłaby tłumy fanów książek Doroty Kani. Seria książek, których była współautorką, „Resortowe dzieci", była bestsellerem Empiku i zrobiła furorę na rynku książki w naszym kraju. – Sądownictwo mamy, jakie mamy, więc wokół „Resortowych dzieci" były, jak państwo wiedzą, procesy. Tutaj, pisząc „Wschodni gambit", wiem, że jestem wolna od procesów – mówiła Dorota Kania w transmitowanej w internecie rozmowie w studiu sklepu „Gazety Polskiej". Autorka zapowiedziała, że będzie kontynuowała pisanie beletrystyki. Obiecała też, że w kolejnych książkach pojawi się tak pożądany w gatunku szpiegowskim romans. Trzymamy za słowo! ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl f4e64891b7

COVID w Amazonii, czyli koronawirus po indiańsku



Stefan Czerniecki
czerniecki.net

eprasa.pl f4e64891b7



To już oczywisty fakt. Pandemia koronawirusa przemieliła współczesną cywilizację. Nasz sposób postrzegania rzeczywistości. Wytyczyła nowe obawy, zmodyfikowała plany. O ile jednak przeciętny Bryant ze Seattle, Mathieu spod Montpellier czy Kowalski z Piły ma prawo mieć jeszcze nadzieję – wszak do szpitala czy do laboratoryjnego punktu pobrań będzie miał zwykle nie dalej jak godzinę drogi, o tyle tutaj – w Amazonii – pandemia COVID-19 oznaczała dla rdzennej ludności zwykle jedno. Szybką śmierć. A w najlepszym wypadku chorowanie bez większych nadziei na jakąkolwiek diagnozę czy skuteczną pomoc.

FOT. ALFREDO PEDROSA NETO

eprasa.pl f4e64891b7



W czasie trudności związanych z COVID-19 do indiańskich wiosek coraz częściej przybywają wolontariusze, aby pomagać Indianom w ich codziennych zajęciach

Daleko jeszcze? – młody, dobrze zbudowany mężczyzna ewidentnie ma już dość przedłużającej się przejażdżki łodzią.

– Nie, senhor. Pół godzinki i dopłyniemy do celu. Wioska jest już naprawdę blisko... – przekrzykujący odgłos silnika sternik wskazuje palcem bliżej nieokreślony kierunek. Gdzieś za najbliższym meandrem rzeki.

– Si... – potwierdza mężczyzna, zwieszając bezradnie głowę. O ile podróż do największej w tej okolicy wioski Santo Antônio do Içá zleciała mu względnie szybko, o tyle ta teraz, dorzeczami zwężającej się z każdym kilometrem Amazonki, dłuży się już niemiłosiernie.

– Zbliżamy się do Kolumbii, senhor – sternik widząc znużenie swego pasażera, próbuje podjąć jakąkolwiek rozmowę. Może to uratuje sytuację?

– Tak, serio? – podnosi na nowo głowę Matheus.

– Naprawdę. Wpływamy na tereny nadgraniczne. Stąd do granicy będzie jakieś 50 kilometrów. Tyle co nic.

– Rzeczywiście, przy tutejszych dystansach to jak rzut kamieniem – uśmiecha się do siebie mężczyzna. W głębi serca wdzięczny dobrodusznemu sternikowi, który ewidentnie robi, co może, aby pocieszyć swojego klienta.

Z drugiej strony przecież to nie pierwszy raz, gdy na zlecenie regionalnego oddziału ministerstwa otrzymuje misję w głębokiej Amazonii. Matheus Feitosa zdążył się więc już przyzwyczaić do niewygód podczas pływania tutejszymi pirogami. Oraz do niemogącej się z niczym równać leśnej izolacji. Tej, która na mieszkającym w mieście człowieku siłą rzeczy musi zrobić wrażenie.

– Jesteśmy na miejscu. Oto wioska São José – sternik wybudza z rozmyślań młodego lekarza, wskazując na tlące się nad zielonym dachem puszczy dy-

FOT. CRISTAL MONTANEZ

eprasa.pl f4e64891b7



Pomimo pandemii chętnych na wizytę w amazońskich wioskach nie brakuje. Nadal pojawiają się tutaj biali turyści

FOT. CÍCERO PEDROSA NETO

my. – Może się pan już szykować. Zaraz będziemy dobijać do brzegu.

– Przypomnij mi jeszcze raz... – Matheus sugestywnie przykłada otwartą dłoń do ust, jakby chciał pokazać językiem ciała, że szuka zgubionej gdzieś myśli. – Jak nazywa się to plemię, do którego płyniemy?

– Kokoma. To lud Kokoma. Potem popłyniemy jeszcze do tych z Ticuna.

▶ Pielęgniarka jako pierwsza

Za trzy dni test na COVID-19 wykaże u Matheusa Feitosa wynik pozytywny. Będzie już wiedział, że z całą pewnością musiał zarażać od kilku dni. Również podczas feralnej misji lekarskiej do szczepu Kokoma. Brazylijskie media po raz pierwszy mogą obtrąbić, że oto skryta przed światem cywilizacja Indian żyjących w głębokiej puszczy również została zakażona najbardziej słynnym wirusem roku 2020.

Już wkrótce okazuje się, że pracująca u boku lekarza pielęgniarka rzeczywiście stwierdza u siebie typowe dla zakażenia objawy. Dwudziestoletnia kobieta była jedną z 27 osób, z którymi miał kontakt Feitosa. Póki co jedynie ona straciła powonienie i smak, obserwując u siebie ponadto nagłe ataki suchego kaszlu. Ten moment, czwartek 19 marca 2020 roku, zostaje oficjalnie ogłoszony dniem, w którym koronawirus złamał barierę Amazońskiej Puszczy. Infekując pierwszą z rdzennych mieszkanek odgrodzonej od reszty świata cywilizacji.

Od tego momentu w Amazonii odnotowane zostanie 1 701 514 przypadków COVID-19. Umrą 48 184 osoby (dane na 15 listopada). Po przeliczeniu tych wartości przez 100 000 mieszkańców, współczynnik zapadalności określony zostanie na wysokość 2338 infekcji (dla porównania: w Polsce w grudniu wynosił on 17,4).

eprasa.pl f4e64891b7



Kontrola temperatury w jednym z amazońskich portów

Odnalezieni

Cztery dni przed feralną dla całej indiańskiej Amazonii datą rząd Peru decyduje się na lockdown. Zamknięte zostają granice. Wprowadzony zostaje zakaz przemieszczania się. Wszystko na nic. Liczba zachorowań nadal rośnie. Dla kraju, w którym piąta część całego społeczeństwa żyje za mniej niż 100 dolarów miesięcznie, decyzje rządu mogą oznaczać tylko jedno: ich bieda tylko się pogłębi. A przecież jeszcze przed ogłoszeniem reżimu sanitarnego stan ochrony zdrowia w tym liczącym 32 mln ludzi kraju był gorzej niż tragiczny. Wystarczy wspomnieć choćby o 70-procentowym udziale ludzi, którzy nie mają żadnego dostępu do usług zdrowotnych, żywieniowych czy edukacyjnych. O dostępie do czegoś tak dla Peruwiańczyków egzotycznego, jak emerytura nawet nie wspominając.

Pochylając się nad problemem pandemii w takich krajach, jak choćby Peru, trzeba sobie uświadomić styl życia tutejszych mieszkańców. Siłą rzeczy narzucony przez obiektywnie istniejące warunki. Większość zajęć wykonywana jest na zewnątrz. Na lokalnych targach trwają całodzienne spotkania. Bardzo często to właśnie tam zjadany jest jedyny posiłek dnia. Za zarobione kilka godzin wcześniej pieniądze. Dlaczego akurat na targu, poza domem? Być może choćby dlatego, że, jak wykazała ankieta z 2018 roku, 44 proc. gospodarstw domowych należących do potomków Inków nie posiada do dziś lodówek.

Atak agresywnego i złośliwego wirusa na tak nieprzygotowane do walki z pandemią społeczeństwo musiał skończyć się katastrofą. Tym bardziej schowanym w głębokim lesie rdzennym mieszkańcom selwy długo zależało na pełnej izolacji względem reszty rodaków. Podobnie było w przypadku Indian południa Wenezueli, Gujany, Surinamu czy zachodniej Brazylii.

Niestety, na efekty pandemii w amazońskiej selwie nie trzeba było długo czekać. O ile statystyka zakażeń wśród mieszkających w nadrzecznych wioseczkach Indian bardzo często nie jest uwzględniana w państwowych ministerialnych raportach (z braku danych), o tyle coraz częściej rolę tę przejmują lokalne społeczności, które starają się informować świat o pierwszych przypadkach koronawirusa u Indian stanu Amazonas, stanu Bolívar czy stanu Delta Amacuro. Wiemy także o zachorowaniach u Arawaków (szczepy Kurripaco, Bare, Baniva), u Indian Jivi, Ñengatú. Nieszczęście pandemii nie ominęło także szczepów Yeral, Sanëma, Uwütuja, Ye'kwana, Pemon czy Warao. Dla nich wszystkich informacja o zakażeniu była prawdziwym ciosem. Ich kryjówka została rozpoznana. Teraz nie mieli się już gdzie schować.

Koronawirus, górnicy i nielegalne kopalnie

W jaki sposób koronawirus dostał (i nadal dostaje) się w głąb niedostępnej, zdawałoby się, puszczy? Prócz przywołanego wyżej przykładu z przybywają-

FOT. CÍCERO PEDROSA NETO

eprasa.pl f4e64891b7

cym do Indian lekarzem dróg zakażenia może być dziś znacznie więcej. Lokalne latynoskie media najczęściej jako źródło podają górników szukających w Amazonii złota. Ludzi, których pojawienie się na rdzennych ziemiach selwy coraz częściej określa się jako „inwazję". O jednej z tego typu kopalń pisaliśmy w tym miejscu przed dwoma miesiącami.

– Sami sobie z tym już nie poradzimy. Tak naprawdę to dziś wszyscy jesteśmy chorzy. Nasz las zachorował – opowiada dramatycznym tonem Indianka z plemienia Yanomami zamieszkująca region Kayanau. Drugi co do wielkości obszar nielegalnych kopalni złota na pograniczu Wenezueli i Brazylii. – Wirusa przywożą nam górnicy. Ląduje tu coraz więcej samolotów. Coraz więcej. A wraz z nimi ta choroba.

Na górnikach jednak łańcuch przepływu się nie kończy. Niewątpliwe wirusa mogą do leśnej Amazonii przywieźć ze sobą także przemytnicy, z roku na rok przybywający do selwy w coraz większej liczbie. Trzecią grupą nosicieli, z którą mogą mieć styczność Indianie, są wojskowi, zmieniający się cyklicznie w swoich amazońskich dyżurach. Czwartą, o której również w ostatnich tygodniach robi się w lokalnej prasie coraz głośniej, są nielegalni wypalacze lasów. Ostatnią, którą warto tu wymienić, są turyści, z których mało kto wyobraża sobie spacerowanie po kipiącej wilgocią i duszną parą puszczy w maseczce. Również wtedy, gdy mieszka się u gościnnych Indian.

▶ Ogień, dym i pandemia

Świt. Nad Parque do Xingu unosi się gęsta mgła. Słychać miarowy przybój rozlewającej się bezładnie brudnej, zapiaszczonej rzeki. Plusk wodnych uderzeń fali o pokrywające brzeg korzenie i pnie drzew. Pora żeru ustała kilka godzin temu. Teraz puszcza odpoczywa. Zbiera siły. W brazylijskiej selwie poranek jak co dzień. A jednak... Coś tu jest nie tak. Przez pejzaż przewija się jakiś dziwny nastrój niemej grozy. Naraz z gęstwiny mgieł zaczyna dochodzić odgłos agresywnego krakania. Nie mija kilka sekund, jak z chmury zawiśniętej między lianami i koronami drzew wyfruwa stado papug. Za nimi widać kolejne ptaki. Nad samą rzeką pojawiają naraz hoacyny, słabo latające ptaki-indyki. Z przeraźliwym wyciem. Ewidentnie szukają ratunku.

Dopiero teraz możemy się zorientować, że poranne mgły nad rzeką przykryły prawdziwy żywioł, który nadchodził od zachodu. Pożar.

W 2020 roku przestępcy wypalający nielegalnie amazońskie lasy są znacznie bardziej bezczelni niż wcześniej (już w połowie 2020 roku odnotowano, że wylesianie wzrosło o 25 proc. w porównaniu z tym samym okresem w roku poprzednim). Pożary zaczynają wykraczać poza zwyczajowy łuk wylesiania. Trwają też znacznie dłużej niż przed laty. Mogą coś na ten temat powiedzieć chociażby Indianie plemienia Rondônia. Także szczep Acre zamieszkujący północne rejony Mato Grosso. Problem dotyka również mieszkańców południowej części brazylijskiego stanu Pará. Na Transamazônice, transkontynentalnej trasie BR-163 czy autostradzie Belém–Brasília pożary wkraczają już niemal na jezdnię.

– To zabójcza mieszanka – komentuje Christovam Barcellos, geograf z Uniwersytetu w Rio de Janeiro, zajmujący się od lat problemem nielegalnych wypaleń Puszczy Amazońskiej. – W tym roku nałożenie się na siebie pandemii COVID-19 i plagi pożarów powoduje, że w szpitalach brakuje łóżek. Te, które powinny być zajęte przez choroby typowe dla tej pory roku, są już zatłoczone przypadkami koronawirusa.

Jest jeszcze jeden problem. Do amazońskich szpitali coraz częściej zgłaszają się ludzie z objawami SARS-CoV-2, a cierpiący *de facto* na zatrucie dymem. Objawy są bowiem często zupełnie podobne. Spalanie biomasy lasu powoduje, że w dymie pojawia się drobnoziarnisty materiał, który – podobnie zresztą jak COVID-19 – może wywołać procesy zapalne w organizmie osób narażonych na jego wdychanie.

– Wśród dzieci mieszkających na terenach dotkniętych pożarami wzrost liczby hospitalizacji może sięgać nawet 30 proc. – bije na alarm obserwujący dramatyczną statystykę Barcellos. – W dodatku należy pamiętać o panującej w Brazylii pandemii. Już sam COVID-19 fatalnie wpływa na zdolności oddychania zakażonej osoby. Interakcja koronawirusa z wdychanym dymem jest potwornie niebezpieczna. Ten dym jest bowiem znacznie bardziej toksyczny od tego miejskiego. Zawiera związki organiczne, które powodują stan zapalny i zmniejszają zdolność oddychania.

Gdy do takiego organizmu dostanie się jeszcze koronawirus, stan płuc zakażonego może być już nie do odratowania. A jest się czego bać. Z końcem sierpnia Brazylia stała się przecież światowym epicentrum zakażeń COVID-19. Odnotowano tu 15,1 proc. wszystkich potwierdzonych przypadków koronawirusa na świecie. I – co bez wątpienia najgorsze – aż 14,3 proc. wszystkich zgonów.

▶ „Wylęgarnia"

Dla większości indiańskich wiosek dostanie się do najbliższego szpitala wiąże się zwykle w kilkudniowym spływaniem rzeką. Pandemiczny rok zastał brazylijską służbę zdrowia w procesie totalnej

eprasa.pl f4e64891b7



Do Indian plemion zamieszkujących względnie blisko cywilizacji maseczki również dotarły

decentralizacji. Wygaszono głośny program Mais Médicos, który miał na celu wzmocnienie lokalnych placówek medycznych, zwłaszcza w głębi interioru, z dala od większych miast. Współczynnik liczby lekarzy na mieszkańców jest w przypadku brazylijskiej Amazonii najniższy w całym państwie. Wśród pracujących tu lekarzy jest bardzo niewielu specjalistów. A przecież mówimy o skrawku świata, gdzie każdego dnia może pojawić się ognisko kolejnej choroby. Nieprzypadkowo medyczna branża w Brazylii nazywa region Amazonii „wylęgarnią". Wystarczy spojrzeć na malarię, której rozwój został wprawdzie w ostatnich latach ustabilizowany i wydaje się pod kontrolą. Przez co jednak zlekceważono bądź nie zauważono kolejnego problemu, jakim dla mieszkańców Amazonii stała się gruźlica. Do tego dochodzi denga, żółta febra – wszystkie oddziałujące na układ odpornościowy organizmu. Pandemia koronawirusa sprawiła, że system zdrowotny państw, w których skład wchodzą regiony Puszczy Amazońskiej, uległ załamaniu.

▶ #MinersOutCOVIDOut

W okresie od sierpnia do października 2020 roku liczba potwierdzonych przypadków wśród plemienia Yanomami – jednego z najbardziej rdzennych i niedostępnych ze wszystkich ludów żyjących w Amazonii – wzrosła z 335 do 1202. Oznacza to wzrost o ponad 250 proc. na miesiąc. Przypadki zakażeń zostały potwierdzone w 23 z 37 regionów zamieszkiwanych przez Yanomami. W zlokalizowanych między stanami Roraima i Amazonas regionach mieszka około 26,7 tys. rdzennych mieszkańców puszczy. W tym również izolujące się przed światem grupy, które wskutek braku wcześniejszego kontaktu z cywilizacją są jeszcze bardziej podatne na choroby.

Raport lokalnej organizacji zajmującej się plemionami Yanomami oraz Ye'kwana wskazuje, że już ponad 10 tys. Indian tych szczepów, a więc już ponad jedna trzecia całej populacji, mogło już być narażonych na kontakt z zakażeniem. Indianie podjęli więc wysiłek, aby zwiększyć presję na usunięcie z zamieszkiwanych przez siebie terenów osób potencjalnie będących nosicielami COVID-19. Już w czerwcu 2020 roku przywódcy wspomnianych plemion wezwali oficjalnie władze do eksmisji ze swoich terenów tysięcy nielegalnych górników złota, którzy nadal intensywnie tu pracują. Jesienny raport wskazuje, że obawy były jak najbardziej uzasadnione: według badań pracujący w nielegalnych kopalniach złota górnicy byli jednym z głównych nośników zakażeń dla Indian zamieszkujących to terytorium.

Kampania medialna #MinersOutCOVIDOut zapoczątkowana przez ludy Yanomami i Ye'kwana zaowocowała zebraniem ponad 410 tys. podpisów popierających walkę ludów tubylczych. Na tym nie koniec. Brazylijska fundacja Hutukara zajmująca się od lat badaniem szczepu Yanomami oskarża rząd o potężne zaniedbania w kwestii ochraniania Indian przed skutkami pandemii, a co za tym

FOT. CÍCERO PEDROSA NETO

eprasa.pl f4e64891b7

idzie o narażanie plemion na masowe zachorowania na COVID-19.

Z danych Brazylijskiego Ministerstwa Zdrowia, do których dotarli pracownicy fundacji, wynika, że tylko do połowy września 2020 roku aż 70,5 proc. testów przeprowadzonych przez Distrito Sanitário Yanomami było pozytywnych. W regionie Demini, jednym z najczęściej przebadanych na tym terytorium, ponad 90 proc. populacji było zarażonych COVID-19. Zwraca się także uwagę na i tak niewielką liczbę testów: 1270. Z całej populacji Indian przetestowano zatem mniej niż 5 procent. Liczba testów przeprowadzonych przez Specjalny Sekretariat ds. Zdrowia Ludności Tubylczej (SESAI) do 23 października jest nieznaczna: 1270 testów było pozytywnych, negatywnych lub odrzuconych. Innymi słowy, przetestowano mniej niż 4,7 proc. całej populacji. Wzmacnia to teorię niektórych badaczy, że w rzeczywistości liczba zarażonych Indian może być znacznie wyższa niż to pokazują oficjalne statystyki. A i te przecież same w sobie są już zatrważająco wysokie.

Koronawirus czy malaria?

W czerwcu 2020 roku medialne wzburzenie wywołał fakt zniknięcia trójki indiańskich dzieci, które chorowały na COVID-19. Jak się później okazało, dzieci zostały – bez wiedzy rodziców czy jakichkolwiek krewnych z plemienia Yanomami – pochowane na cmentarzu w stolicy stanu Roraima, Boa Vista. Było to tym bardziej bulwersujące, że w kulturze plemienia Yanomami grzebanie zmarłych jest niedopuszczalne. Niestety, bunty i protesty na nic się zdały. Szczątki trojga dzieci nadal leżą pochowane tysiące kilometrów od ich rodziny i indiańskiej społeczności.

Kolejną tragedią dla Indian Yanomami jest niewiedza. I wynikająca z tego zatrważająca niepewność.

– Skąd mamy mieć pewność, czy to, na co umieramy, to na pewno COVID-19? – pyta retorycznie Francisco, Indianin z regionu Marauiá. – Przede wszystkim my sami musi się dowiedzieć, która choroba nas zabija. Nie mając testów nigdy się tego nie dowiemy.

Wątpliwości Indian wydają się słuszne. Tym bardziej zastanawiające było działanie brazylijskiego rządu po śmierci pewnego 15-letniego chłopca, prawdopodobnie pierwszej ofiary koronawirusa wśród Indian Yanomami. Władza przesłała wówczas drogą wojskową do lokalnej placówki zdrowia 16 tys. tabletek chlorochiny. Leku, który na całym świecie jest powszechnie stosowany u pacjentów z zakażeniem COVID-19. Kolejne 33 tys. przekazał DSEI-Y (Distrito Sanitário Especial Indígena Yanomami, czyli Specjalny Oddział Opieki Medycznej Ludów Yanomami). W oficjalnym komunikacie władz poinformowano jednakowoż, że lekarstwo nie jest przeznaczone do walki z COVID-19, lecz z malarią. Sprzeczne wersje dotyczące celu masowej dystrybucji chlorochiny mogłoby wskazywać albo na powszechną eksplozję malarii na tym terytorium, o której z racji pandemii koronawirusa nikt jeszcze nie wiedział. Albo o tajemnej, mniej oficjalnej drodze leczenia koronawirusa, do której to masowej fali zachorowań wśród Indian plemienia Yanomami władza nie chciała się przyznać. Znajdujący się w centrum całego tego zamieszania Indianie są więc zupełnie bezradni.

Amazoński system zero-jedynkowy

Świat zza zielonej kurtyny. Tajemniczy. Położony daleko. Jakby w izolacji od wszystkiego tego, co zewnętrzne. W głębokim spokoju. Miejsce bezpieczne. Żyjące innym tempem. Tak do tej pory patrzono na codzienność żyjących w głębi lasów deszczowych rdzennych mieszkańców Amazonii. Chyba nikt na początku pandemii nie spodziewał się, że koronawirus dotrze nawet tam. W miejsca, gdzie niejednokrotnie dociera zaledwie kilku białych na rok. Albo nawet żaden.

Dziś wiemy to na pewno. Nawet najbardziej rdzennym i żyjącym w najbardziej dziewiczych regionach Amazonii ludziom grozi zakażenie. W brazylijskim mieście Iquitos – największej miejscowości spośród wszystkich leżących w samym środku selwy – zaczyna dziś brakować lekarstw. Medycy skarżą się na brak mydła, tlenu. Gdzieniegdzie kończą się maseczki. Amazonia nie była przygotowana na coś takiego.

Do tej pory walcząca z dengą czy malarią. Martwiąca się pożarowymi wyziewami. Zabijającymi tereny łowieckie. Zabierającymi opcjonalne miejsce zamieszkania dla kolejnych plemion. Teraz wszystkie te problemy zeszły jakby na dalszy plan. Został COVID-19. Pod tym względem strach i panika Indian nie różnią się zanadto od tych targających białym człowiekiem bogatej Europy, Australii czy Stanów.

Z tą różnicą, że ci drudzy mają jednak jakiekolwiek podstawy do nadziei. Wszak żyją w wielkiej globalnej wiosce, gdzie opieka medyczna – lepsza czy gorsza – jest w jakimś tam zasięgu. Dla Indian Amazonii zakażenie oznacza najczęściej po prostu przymusowe położenie się w swojej lepiance. I przeczekanie. Jeśli wirus ustąpi, będzie można wrócić do codziennie pracy. Jeśli nie, najprawdopodobniej nic już tu nie pomoże. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Hanna Shen

Chiny powinny zapłacić

Rok 2020 zapamiętamy na długo. Kilkadziesiąt milionów chorych, ponad półtora miliona ofiar śmiertelnych, a liczby te nadal rosną. Kryzys gospodarczy i ograniczenia w naszym codziennym życiu nie mają precedensu. Właściwie wszystko zostało wywrócone do góry nogami z powodu pandemii. Rok 2020 to czas zarazy z Chin. W 2021 roku będziemy nadal walczyć z pandemią i jej skutkami. Ale powinien to być także rok, w którym pociągniemy do odpowiedzialności tych, którzy są za to piekło odpowiedzialni, tj. rządzone przez komunistyczną partię Chiny.



FOT. ANGELO CARCONI/PAP/EPA

W jednym z grudniowych wydań ukazującego się w Wielkiej Brytanii konserwatywnego tygodnika „The Spectator" temat odszkodowań od Chin w artykule pt. „Argument za chińskimi reparacjami" podjął brytyjski pisarz i komentator polityczny Douglas Murray. Pokazuje on, co pandemia uczyniła w sferze ekonomicznej.

Cios w światową gospodarkę

W Wielkiej Brytanii, według danych Biura Odpowiedzialności Budżetowej (OBR), gospodarka skurczyła się w 2020 roku o ponad 11 proc., co jest największym spadkiem produkcji w tym kraju od ponad 300 lat. Optymistyczne scenariusze mówią, że Zjednoczone Królestwo może zacząć wracać do wyników gospodarczych sprzed COVID-19 w czwartym kwartale 2021 roku. Zadłużenie sektora finansów publicznych jest największe w czasie pokoju, a prognozy sugerują, iż w latach 2025–2026 będzie ono stanowić ponad 97 proc. PKB.

Nie lepiej jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie PKB kraju spadło do poziomu najgorszego w historii, a dług publiczny wzrósł do ponad 27 bln dolarów. „W Australii sam stan Queensland w ciągu najbliższych kilku lat zadłuży się do ponad 130 mld dolarów. Wszędzie na świecie gospodarki doświadczają bezprecedensowego spadku PKB i gwałtownego wzrostu zadłużenia rządu" – pisze Murray.

Analizy dotyczące wpływu koronawirusa na polską gospodarkę są lepsze niż dla wielu innych państw, m.in. dla tych, o których wspomniał Murray. Jednak nawet najwięksi optymiści nie wierzą, że nasza gospodarka zdoła w pełni odrobić straty spowodowane przez pandemię.

Według prognoz, PKB Polski ma dość szybko wrócić do poziomu sprzed pandemii, ale stracimy prawie dwa lata w czasie, w którym mógł być nieprzerwany wzrost, i PKB będzie już stale o kilka procent mniejsze, niż gdyby nie było zarazy.

Większość ekonomistów spodziewa się spadku polskiego PKB w 2020 roku o około 3,5 proc. i słabszego odbicia o około 4,2 proc. w 2021 roku. Stabilizacja wzrostu na poziomie około 3,5 proc. rocznie ma się zacząć rok później.

W prognozach departamentu analiz ekonomicznych NBP, opublikowanych w pod koniec 2020 roku, czytamy: „NBP uznaje pandemiczny szok za trwały: po wyjściu z recesji trajektoria PKB jest równoległa do tej z okresu do 2019 r. włącznie (średnie tempo wzrostu wynosi 4 proc. rocznie). Tym samym, w następstwie pandemii wszyscy są permanentnie biedniejsi".

eprasa...f4e64891b7

Wiele branż jest w tej chwili w zastoju i eksperci ostrzegają, że jeśli pracodawcy nie odbudują szybko miejsc pracy, to wielu Polaków może być zmuszonych do emigracji zarobkowej.

Reparacje, nie kontrakty

Tymczasem Chiny, jak pisze Murray w artykule w „The Spectator", mają mieć 1,8-procentowy wzrost gospodarczy i mogą wyjść najlepiej z kryzysu, które same spowodowały. I choć brytyjski komentator ma być może zbyt optymistyczną wizję stanu chińskiej gospodarki, to niewątpliwie ChRL wykorzysta fakt osłabienia Zachodu, by zasypać nas jeszcze większą liczbą swoich towarów. Już w tej chwili Chiny dominują w eksporcie sprzętu ochrony osobistej – niestety często słabej jakości i w niektórych przypadkach produkowanego w obozach koncentracyjnych w prowincji Xinjiang.

Od stycznia do końca października 2020 roku łącznie 453 przedsiębiorstw budowlanych w Chinach ogłosiło upadłość, średnio około 1,5 firm dziennie. Wzrasta zadłużenie tych, które walczą o przetrwanie. Te borykające się z trudnościami na lokalnym rynku będą jeszcze bardziej zabiegać o kontrakty poza granicami swego państwa.

Do budownictwa odnosi się też Murray, gdy porównuje działanie ChRL w czasie pandemii do aktywności dewelopera, który zniszczył teren wokół naszego domu i oferuje nam teraz kupno niepożądanej nieruchomości po niewiarygodnie niskiej cenie. Chiny – sprawca koronawirusa – będą teraz chciały na nas, poszkodowanych, zarobić i jeszcze bardziej uzależnić nas od siebie.

Pandemia to moment, by z tego uzależnienia starać się wyrwać, m.in. nie wybierając chińskich inwestycji. W chińskie ręce nie powinny wpadać takie kontrakty, jak na przykład na zaprojektowanie i budowę ostatniego fragmentu autostrady prowadzącej od Mińska Mazowieckiego do Siedlec. Niestety w tym przypadku w wyniku przetargu na początku grudnia 2020 roku wybrano chińską firmę Stecol Corporation. Mimo fatalnych doświadczeń sprzed lat z firmą Covec, odpowiedzialną za niewywiązanie się z budowy autostrady A2 między Łodzią a Warszawą, znów dopuszczamy Chińczyków do budowy polskich dróg. I znów jest to firma całkowicie kontrolowana przez tamtejszą władzę, czyli przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh).

W tej chwili już druga inwestycja od czasu Euro 2012 jest realizowana dla Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad (GDDKiA) przez Chińczyków. W sierpniu 2019 roku firma Stecol Corporation podpisała wart 724 mln zł kontrakt na budowę drogi ekspresowej S14 stanowiącej zachodnią obwodnicę Łodzi.

Zgoda na to, by kontrakty drogowe w naszym kraju otrzymywały podmioty kontrolowane przez KPCh, zapada teraz w szczególnym momencie. Zamiast wspierać polskie firmy, wspieramy państwo, które jest odpowiedzialne za pandemię.

Brak danych i dezinformacja

Murray ma rację, gdy pisze, że do tej pory nie wiemy, jak powstała zaraza. Wersja, że wirus pochodzi z jednego z laboratoriów w ChRL, wciąż jest bardzo prawdopodobna. Opracowanie sporządzone w ramach sojuszu „pięciorga oczu", czyli służb specjalnych USA, Wielkiej Brytanii, Kanady, Australii i Nowej Zelandii, przedstawia budzące obawy badania prowadzone w Wuhańskim Instytucie Wirusologii. To laboratorium zajmowało się m.in. koronawirusami pochodzącymi od zwierząt i to tam zespół prowadzony przez Shi Zhengli i częściowo finansowany przez ChRL już w 2013 roku odkrył w odchodach nietoperzy w jaskini w prowincji Yunnan wirusa o genotypie w 96,2 proc. pokrywającym się z wirusem SARS-CoV-2.

Ponadto do dziś chińscy urzędnicy fałszywie przedstawiają dane na temat rozprzestrzeniania się choroby w Wuhan i okolicach. Nie znamy też prawdziwej liczby zachorowań i śmierci w Państwie Środka. Opublikowany 7 kwietnia 2020 roku raport amerykańskiego think tanku American Enterprise Institute (AEI) z Waszyngtonu stwierdza, że do momentu powstania dokumentu w Chinach było około 2,9 mln potwierdzonych przypadków koronawirusa, czyli dużo więcej niż 100 tys. zachorowań zgłoszonych wtedy przez chiński reżim.

Co więcej, chińskie państwo rozpoczęło międzynarodową kampanię dezinformacji, która ma przekonać opinię publiczną, że wirus nie pochodzi z Chin, bo zanim zaczął się tam rozwijać, to był już we Włoszech. W ostatnich tygodniach pojawiła się też wersja, że być może koronawirus najpierw był w Australii. Wcześniej Chińczycy forsowali teorię, że pandemia jest wynikiem działań amerykańskiej armii i to tam należy poszukiwać źródła koronawirusa. Pisał o tym na Twitterze m.in. rzecznik chińskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Lijiana Zhao. „Może to armia amerykańska sprowadziła epidemię do Wuhan. Badźcie transparentni! Opublikujcie swoje dane! USA jest nam winne wyjaśnienie!" – czytamy w opublikowanej przez Zhao wiadomości.

Kolejne pytanie bez odpowiedzi brzmi, czy Komunistyczna Partia Chin pozwoliła, aby wirus wyszedł z Chin celowo, czy stało się to przez przypadek. Na pewno wiemy, że Pekin nie zrobił nic, by pandemię zatrzymać.

eprasa.pl f4e64891b7

Chińskie kłamstwo to dług

W wyprodukowanym przez HBO serialu „Czarnobyl" jedna z bardziej poruszających scen to ta, gdy główny bohater wypowiada słowa: „Gdy prawda jest niewygodna, kłamiemy i kłamiemy, aż nie pamiętamy, że ona istnieje – ale istnieje! Każde nasze kłamstwo to dług zaciągnięty wobec prawdy. Prędzej czy później ten dług będzie spłacony".

Zachowanie komunistycznych władz Chin bardzo przypomina to, co wydarzyło się w Czarnobylu. W 1986 roku władze ZSRS początkowo kłamały na temat wypadku jądrowego. Dopiero fizyczne dowody zmusiły je do ujawnienia prawdy. Tak samo zachowały się komunistyczne władze ChRL w przypadku wybuchu epidemii koronawirusa. Od początku słyszeliśmy nieprawdę i mieliśmy do czynienia z patologiczną skrytością. Na pewno już na początku grudnia 2019 roku władze w Wuhan informowały władze centralne, że pojawił się dziwny wirus. Pod koniec stycznia 2020 roku w wywiadzie dla państwowej stacji CCTV burmistrz Wuhan powiedział, że jako lokalny urzędnik po otrzymaniu informacji musiał czekać na zgodę władzy centralnej na jej ujawnienie. To jasny sygnał, że Pekin takiej zgody nie wydał. I wtedy rzeczywiście władze lokalne bardziej skupiły się na przygotowaniach zjazdu regionalnych władz KPCh, który odbył się w Wuhan w dniach 11–17 stycznia 2020 roku. W czasie jego trwania – aby nie psuć atmosfery na komunistycznym zlocie i wokół niego – twierdzono, że nie ma nowych przypadków zachorowań na wirusa, co było nieprawdą.

Wiemy też, że sam Xi Jinping znał sytuację w Wuhan już 7 stycznia 2020 roku. Dziś jesteśmy również bogatsi o informację, że to był moment, w którym należało podjąć zdecydowane kroki, by uniknąć katastrofy. Potwierdzają to naukowcy z brytyjskiego University of Southampton, którzy zbadali, jaki wpływ na ograniczenie epidemii w Chinach miały niefarmakologicze metody (na przykład izolacja chorych, ograniczenia w podróży, kordony sanitarne). Według brytyjskich badaczy, gdyby Chiny podjęły działania służące ograniczeniu wirusa na przełomie grudnia i stycznia, to byłoby o 95 proc. mniej zachorowań. Krótko mówiąc, nie byłoby pandemii.

Pekin nie tylko nie podjął na czas odpowiednich działań, które zapobiegłyby pandemii, lecz także prześladował tych, którzy chcieli ostrzec świat, że w Wuhan dzieje się coś niepokojącego.Taki los spotkał lekarza z Wuhan Li Wenlianga, który wraz z innymi siedmioma lekarzami jeszcze w grudniu 2019 roku ostrzegał przed epidemią groźnego wirusa wywołującego zapalenie płuc. Za to był dwukrotnie zatrzymywany i kazano mu podpisać dokument, w którym „przyznawał się", że rozsiewał plotki i przyczyniał się do zakłócania porządku społecznego. Li wrócił potem do pracy w szpitalu i zarażony przez pacjenta koronawirusem – zmarł. Gdyby świat mógł usłyszeć doktora Li, nie byłoby pandemii.

Także władza lokalna pozwoliła nieświadomym zagrożenia Chińczykom z Wuhanu, z prowincji Hubei, na to, by spotykali się na imprezach masowych i podróżowali po Chinach i za granicę, bo bała się samodzielnie podjąć decyzję bez aprobaty centrali. Sam Xi Jinping prawdopodobnie uważał, że ograniczenia na przykład w podróży wprowadzone w okresie Księżycowego Nowego Roku wywołają niezadowolenie społeczne, a to zachwiałoby jeszcze bardziej jego pozycją w KPCh. A należy pamiętać, że rok 2019 był dla prezydenta Chin bardzo ciężkim czasem. Przesunięcie posiedzenia Komitetu Centralnego KPCh z przełomu 2018 i 2019 na koniec października 2019 roku to dowód na owe trudności. Mówiło się tuż przed posiedzeniem, że to opóźnienie spowodowały „cztery bomby", rozbrajaniem których zajęty był Xi Jinping i które bardzo osłabiły jego pozycję w partii. Owe bomby to: spowolnienie gospodarcze, przedłużająca się wojna handlowa ze Stanami Zjednoczonymi, protesty w Hongkongu i walka frakcyjna w samej partii. Można do tego wybuchowego zbioru dodać jeszcze eskalację zachodniej krytyki chińskiej polityki wobec Ujgurów w Xinjiangu i coraz bardziej asertywny wobec Pekinu Tajwan, co przyniosło kolejną porażkę Xi na początku 2020 roku – przegraną propekińskiego Kuomintangu w wyborach prezydenckich i parlamentarnych na Tajwanie. Teraz do tego wszystkiego doszła kolejna bomba – koronawirus.

Z tego wniosek, że komunistyczni oficjele w Chinach z opóźnieniem zaczęli wprowadzać obostrzenia w walce z COVID-19, bo tak było lepiej dla partii.

Komunistyczna Partia Chin kłamiąc na początku ubiegłego roku w sprawie wybuchu pandemii, uciszając ekspertów medycznych i naciskając na inne kraje, aby te nie ograniczały podróży do Chin, co powstrzymałoby rozprzestrzenianie się wirusa, zniszczyła życie i zdrowie wielu milinów ludzi, zniszczyła gospodarkę. Wypuszczając w świat wirusa, sprawiła, że nasze życie w 2020 roku wywróciło się do góry nogami. Dla wielu się zakończyło. Czas, aby w 2021 roku, jak pisze Murray, wolne państwa zjednoczyły się i zażądały od ChRL reparacji. Rok 2021 powinien być czasem, w którym trzeba wystawić rachunek sprawcom biologicznego Czarnobyla – Komunistycznej Partii Chin. Ten dług komuniści muszą spłacić. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Antoni Rybczyński

OBLĘŻONY KREML, CAR PARANOIK

Grudniowe doroczne konferencje prasowe Władimira Putina zawsze były starannie zaplanowanym i zrealizowanym spektaklem. Jednakże ta ostatnia wypadła blado – nie tylko dlatego, że prezydent pojawił się tylko za pośrednictwem łączy wideo (wiadomo, COVID-19). Trudno się temu dziwić. Jaki rok, takie jego podsumowanie. A rok 2020 był jednym z najgorszych dla Putina, jeśli spojrzeć na dwie dekady jego panowania.



Władimir Władimirowicz swego czasu lubił pozować na Piotra I czy Józefa Stalina. Twardzi przywódcy dali w swych epokach ważne miejsce Rosji w świecie. Ostatnio Putin bardziej przypomina Stalina, i to ze schyłku jego rządów. A może jeszcze bardziej popadającego w szaleństwo Iwana Groźnego. Przesadzona opinia? Niekoniecznie. Wystarczy przypomnieć, co Putin mówił na konferencji 17 grudnia i co wcześniej, przez 2020 rok, wydarzyło się zarówno w samej Rosji, jak i w jej sąsiedztwie. Zarówno tym bliższym, jak i tym dalszym.

Wszędzie wokół CIA

Wiadomo, że jak są problemy, to trzeba szukać winnych wszędzie, byle nie w swoim domu. Logicznie więc postąpił Putin, na dorocznej konferencji prasowej obarczając Zachód winą za pogorszenie się relacji z Rosją. Wyścig zbrojeń? Tak, jest, ale rozpoczęły go Stany Zjednoczone, zaś Rosja została zmuszona do pracy nad nową bronią. Generalnie niewiele nowego w retoryce Putina się pojawiło. Znów oskarżył Zachód o to, że nie dotrzymał on obietnic dotyczących nierozszerzania NATO na wschód. Choć przecież trudno w kończącym się roku wskazać na coś konkretnego, jeśli o tym mowa. Putin zarzucił też USA, że pogarszają relacje z Rosją, choćby poprzez wycofanie się z układów INF i Open Skies. Oczywiście nie wspomniał, że Donald Trump podjął takie decyzje, bo Moskwa tych układów nie przestrzegała. „W porównaniu z wami – tak" – tak Putin odpowiedział na pytanie dziennikarza BBC, czy władze rosyjskie uważają, że w kwestii pogorszenia relacji z Zachodem zachowują się bez zarzutu.

Oczywiście była rytualna już część dotycząca „rosyjskiej Wunderwaffe". Putin zapewnił, że wszystkie plany dotyczące stworzenia nowych rodzajów broni zostaną zrealizowane w terminie. Poinformował, że na końcowym etapie są prace nad ciężkim międzykontynentalnym pociskiem balistycznym (ICBM) Sarmat. Praktycznie zakończona jest już praca nad hipersonicznym pociskiem Cyrkon – dodał. Ogłosił, że Rosja pracuje teraz nad stworzeniem technologii, które pozwolą na przeciwdziałanie użyciu broni hipersonicznej przez stronę przeciwną. O obecnych relacjach z Waszyngtonem gospodarz Kremla nie mówił szczegółowo; wyraził jedynie nadzieję, że przynajmniej część problemów w tych relacjach „zostanie rozwiązywana za rządów nowej administracji" USA. Prezydenta elekta Joe Bidena Putin nazwał politykiem doświadczonym w sprawach wewnętrznych i zagranicznych.

Jednocześnie jednak Putin z Amerykanów zrobił źródło niemal wszelkiego zła. Powiedział, że to Stany Zjednoczone stoją za opublikowanymi niedawno materiałami śledczymi. Doniesienia, że jego były zięć Kirił Szamałow kupił akcje firmy Sibur za jedyne 100 dolarów, Putin nazwał „zemstą" amerykańskich służb specjalnych. Z CIA powiązał także publikacje na temat próby otrucia opozycjonisty Aleksieja Nawalnego . „To nie jest żadne śledztwo dziennikarskie, to jest legalizacja materiałów amerykańskich służb specjalnych" – oznajmił. „Ten pacjent korzysta z poparcia służb specjalnych USA, a to oznacza, że nasze służby powinny mu się przyglądać" – dodał Putin, przyznając faktycznie rację autorom dziennikarskiego śledztwa, że już od trzech lat Nawalny jest stale inwigilowany i śledzony przez rosyjską bezpiekę. Zresztą Putin niemal wszędzie widzi ślady zachodnich służb specjalnych, co zapowiada zaostrzenie rosyjskiej polityki. Choćby w obliczu zaplanowanych na 2021 rok wyborów do niższej izby parlamentu Rosji, Dumy. Putin wyraził przekonanie, że dojdzie podczas nich do prób ingerencji z zewnątrz: „Będą próbowali ingerować, cały czas to robią".

Putin komentował także inne problemy rosyjskie. Choćby z Nord Stream 2. Wyraził nadzieję na realizację projektu; przekonywał, że alternatywą dla rosyjsko-niemieckiego gazociągu jest droższy gaz z USA, co – w jego ocenie – byłoby niekorzystne dla gospodarki Niemiec. Jeśli chodzi o kryzys na Białorusi, Putin powtórzył opinię, że opozycja w tym kraju ma poparcie zagranicy, a więc dochodzi do ingerencji z zewnątrz w sprawy Białorusi. W odniesieniu do Ukrainy zapowiedział, że Rosja nadal będzie wspierała Donbas i że będzie zwiększać „wsparcie produkcji, rozwiązywanie problemów socjalnych, kwestii dotyczących infrastruktury" w Donbasie.

Ruski mir w ogniu

Ukraina to niewątpliwie jedna z największych porażek polityki Władimira Putina. Aneksja Krymu i wtargnięcie do Donbasu miały miejsce już przeszło sześć lat temu. Rosjanie zakładali sobie wtedy, że w takiej sytuacji, prędzej czy później, Kijów pójdzie na ustępstwa – zmuszą go do tego sami Ukraińcy zmęczeni ciągłą wojną i kryzysem, wybierając polityków sprzyjających celom Moskwy. Nic takiego się jednak nie stało. Najlepszym przykładem przejęcie rządów na Ukrainie przez Wołodymyra Zełenskiego i jego obóz. Kreml miał chyba sporo nadziei z tym związanych (podobnie jak kiedyś ze zwycięstwem Donalda Trumpa). Ale okazało się, że nawet skłonni do kompromisu czy ustępstw wobec Rosji politycy muszą brać pod

FOT. YURI KOCHETKOV/PAP/EPA

eprasa.pl f4e64891b7

uwagę opinię społeczeństwa. Ale też pamiętać o stanowisku Zachodu. Efekt? Moskwa tak naprawdę nie posunęła się w ostatnim roku o cal, jeśli chodzi o rozwiązanie konfliktu w Donbasie według jej scenariusza (szeroka autonomia regionu w ramach Ukrainy). Za to Ukraina coraz mocniej osadza się w zachodniej strefie wpływów, nie tylko pod względem politycznym czy bezpieczeństwa, lecz także choćby gospodarczym. Wiele wskazuje na to, że Rosja na dobre straciła decydujący wpływ na państwo, nad którym kontrola zawsze była legitymacją mocarstwowego statusu Moskwy.

O ile problemy Kremla z Ukrainą ciągną się od wielu, wielu lat, o tyle z pewnością bardzo przykrą niespodzianką było dla Putina to, co wydarzyło się w ostatnim roku, a właściwie półroczu w kilku innych postsowieckich krajach uważanych dotąd za „bezpieczne" z punktu widzenia Rosji. Zaczęło się od Białorusi. Wydaje się, że Putin w próbach osłabienia Łukaszenki przelicytował. Rosjanie dyskretnie pompowali promoskiewską opozycję wobec dyktatora, a skończyło się na najcięższym kryzysie politycznym na Białorusi od momentu uzyskania przez nią niepodległości. Skala protestów zaskoczyła nie tylko Łukaszenkę, lecz także Putina. Nie tylko zaskoczyła, ale chyba też przeraziła. Putin nienawidzi i panicznie boi się wszelkich ulicznych rewolucji, więc pospieszył jednak na pomoc niecierpianemu Baćce. To uratowało na razie władzę Łukaszenki, ale dla Rosji może mieć fatalne długofalowe konsekwencje. Już widać, że tradycyjnie prorosyjscy Białorusini zaczęli się odwracać od państwa, które swymi bagnetami i rublami utrzymuje władzę i znienawidzony reżim. Co więcej, także liderzy opozycji, długo zorientowani na Moskwę i podkreślający, że rewolucja białoruska nie ma antyrosyjskiego oblicza, zaczynają przypominać Zachodowi, że prawdziwym źródłem kryzysu na Białorusi nie jest już sam Łukaszenka, lecz stojący za nim Putin.

Podczas gdy Moskwa skupiła uwagę na Białorusi, do rewolucji – tym razem udanej, w przeciwieństwie do tej białoruskiej – doszło w odległym Kirgistanie. Wbrew pozorom dla Rosji to bardzo ważny kraj w Azji Środkowej. Kazachstan jest tak duży, że może sobie pozwalać na daleko posuniętą niezależność. Turkmenistan i Uzbekistan od dawna kroczą własnymi ścieżkami, choć zachowując niezłe relacje z Rosją. Tadżykistan i Kirgistan są więc kluczowe, choćby z tej racji, że w tych krajach Rosjanie mają bazy wojskowe. Tymczasem Chiny powoli wypierają Moskwę z regionu. Zmiana władzy w Kirgistanie to osłabienie pozycji Rosji. Ustąpiła ekipa prorosyjska. Ta nowa nie jest szczególnie mile widziana na Kremlu – choćby dlatego, że przejęła rządy na ulicy. Tego zaś Moskwa nigdy nie lubiła.

Centrum w Moskwie? Niekoniecznie

Ale jakby kłopotów w tzw. bliskiej zagranicy w tym roku było mało, w ostatnich dniach wrześ-

> Intryguje wysyp doniesień i spekulacji o fatalnym stanie zdrowia Putina, o tym, że szykuje się na oddanie władzy na początku 2021 roku, czy informacje o aferach w jego najbliższym otoczeniu.

nia wybuchła wojna na Kaukazie Południowym. Niewątpliwie największy konflikt zbrojny w przestrzeni postsowieckiej od czasu inwazji wojsk rosyjskich na Donbas latem 2014 roku. To już trzeci otwarty front w 2020 roku, gdzie Rosja została przywołana do tablicy i przeegzaminowana z roli lidera większości obszaru postsowieckiego (OUBZ, WNP, EuWG). Ale też, co więcej, odcinek, na którym Moskwa stanęła w obliczu innego regionalnego mocarstwa wchodzącego z butami w obszar przez trzy dekady niemal uznawany przez wszystkich za tradycyjną strefę wpływów rosyjskich. I o ile w przypadku Kirgistanu można mówić o cichej i prowadzonej bez pośpiechu ekspansji chińskiej, o tyle na Kaukaz Południowy Turcja wkroczyła z ogromnym hukiem. Trudno inaczej ocenić pomoc wojskową dla Azerbejdżanu: drony bojowe, wojskowych doradców, syryjskich najemników. No i Ankara głośno od początku mówiła, że jest sojusznikiem i pomaga Azerbejdżanowi w „sprawiedliwej" wojnie z Armenią. Co szczególnie mocno uderzało w kontraście ze stanowiskiem Moskwy. Będąca formalnym sojusznikiem Armenii Rosja (zarówno w dwustronnym układzie, jak i w ra-

eprasa.pl f4e64891b7

mach OUBZ) przez sześć tygodni wojny nie pomogła militarnie Erywaniowi. Przeciwnie, zaczekała, aż się wykrwawi, po czym narzuciła stronom wojny warunki rozejmu. Warunki fatalne dla Armenii, potwierdzające duże zdobycze terytorialne Azerbejdżanu, ale też dająca Rosji pozycję „mediatora", który wysłał w rejon konfliktu „siły pokojowe" i ma mieć jeszcze większy niż dotąd wpływ na sytuację. Sukces? Jeśli chodzi o eliminację Zachodu (tzw. grupa mińska de facto nie ma już racji bytu) – tak. Umocnienie wpływu na Armenię, która jest teraz jeszcze bardziej uzależniona od pomocy rosyjskiej? Też. Ale są też minusy. I będą one widoczne w dłuższej perspektywie. Oto okazuje się, że w obszarze postsowieckim jeden kraj, bez zgody Moskwy, może zaatakować inny i na dodatek miażdżąco zwyciężyć. Co więcej, zwycięzca korzystał z pomocy kraju spoza „strefy", czyli Turcji. Zaś przegrany opierał się na rosyjskim uzbrojeniu. Do tego Moskwa wpuszcza Turków na Kaukaz Południowy. Niewątpliwie Ankara ma teraz dużo większe wpływy w Azerbejdżanie. To się przekłada na Gruzję. Tymczasem w Armenii dużej miłości do Rosji po tej faktycznej zdradzie nie będzie. Nawet po zmianie ekipy rządzącej.

Białoruś, Kirgistan, Kaukaz, a na tym zła passa dla Kremla w 2020 roku wcale się nie skończyła. Listopad i wybory prezydenckie w Mołdawii. Kraju, w którym wszystko zdawało się być pod pełną kontrolą Rosji. Prezydent Igor Dodon, parlament i rząd zdominowane przez socjalistów. Reelekcja Dodona otworzyłaby drogę do utrwalenia miejsca Mołdawii w rosyjskiej strefie wpływów poprzez uregulowanie problemu separatystycznego Naddniestrza według kremlowskiego scenariusza. Mówiąc w skrócie: Kiszyniów odzyskuje formalną władzę nad autonomicznym (w bardzo dużym zakresie) regionem, a w efekcie Naddniestrze zyskuje bardzo duży wpływ na politykę Mołdawii. Tymczasem wybory prezydenckie wygrała prozachodnia Maia Sandu, i to z taką różnicą, że Dodon i Moskwa nie mieli nawet cienia szansy, by wywołać chaos w kraju. Prezydent Sandu to duży ból głowy dla Kremla. Zwłaszcza że już zapowiedziała, iż chce pozbyć się rosyjskich „sił pokojowych" z Naddniestrza.

Władza absolutna to absolutna wina

Kreml nie jest w stanie skutecznie gasić pożarów wybuchających na granicach „ruskiego mira", bo Rosja stała się po prostu słaba. Putin przesuwał granice w sąsiedztwie i wysyłał wojska gdzieś na Bliski Wschód, a tymczasem gospodarka słabnie, a społeczeństwo definitywnie się od niego odwróciło. Specjaliści z Kremla dostrzegli to już w 2019 roku i wyciągnięto wniosek, że społeczny pakt Putina z Rosjanami, którzy dawali mu wolną rękę w polityce zagranicznej i zgadzali się na zaostrzanie polityki wewnętrznej w zamian z dobrą stopę życiową i stabilizację, skończył się. Skończyło się naftowe prosperity, więc i sytuacja gospodarcza się pogarsza. Sondaże nie pozostawiają wątpliwości – Putin traci stale poparcie. Cały reżim traci. Rządy można więc utrzymać już tylko dzięki fałszerstwom wyborczym i brutalnej sile. Cały teatr ze zmianą konstytucji w 2020 roku, uwieńczonym sfałszowanym „ogólnokrajowym głosowaniem", to punkt zwrotny w długim panowaniu cara Władimira. Od tego roku już definitywnie panuje on wbrew woli większości Rosjan.

Ogromnym ciosem okazała się dla reżimu pandemia koronawirusa. Skutki społeczno-polityczne są zbliżone do tych z Białorusi. Duża część dotychczasowego elektoratu Putina na własnej skórze odczuła niewydolność, a właściwie nieudolność systemu rządów budowanego przez lata przez czekistów. COVID-19 na dodatek pogłębił kryzys gospodarczy w Rosji, przypominając, że Putin przez wiele lat prosperity nie zrobił niczego dla przebudowy modelu ekonomicznego i zmniejszenia zależności od surowców. Przez lata kleptokraci radośnie rozkradali petroruble – aż przyszedł kryzys wywołany koronawirusem. Co więcej, to sama elita rosyjska przyczyniła się do spadku cen ropy, a więc zmniejszenia wpływów koncernów i budżetu. To Igor Sieczin namówił Putina wiosną 2020 roku do zerwania współpracy w OPEC+, żeby zniszczyć amerykański sektor łupkowy. Skończyło się katastrofą, ale bardziej dla Rosji, i jej szybkim powrotem do OPEC+. Tego typu porażki na pewno nie konsolidują elity rządzącej. I można chyba uznać, że część tej elity zaczyna postrzegać Putina jako ciężar. Intryguje wysyp doniesień i spekulacji o fatalnym stanie zdrowia prezydenta, o tym, że szykuje się na oddanie władzy na początku 2021 roku, czy informacje o aferach w jego najbliższym otoczeniu. Ale cóż, Nawalny Nawalnym i sprawa jego otrucia, podobnie jak „interes życia" byłego zięcia Putina. Być może dużo większym problemem dla prezydenta jest zmiana jego wizerunku w oczach rodaków. Izolacja w czasie pandemii czy niedawne doniesienia, że w ulubionej rezydencji letniej w Soczi zbudowano Putinowi identyczny gabinet jak w rezydencji podmoskiewskiej, żeby symulować, iż prezydent urzęduje ciągle w stolicy, uderzają w samego przywódcę. Biorąc pod uwagę wschodnią specyfikę rządów w Rosji, to może być dla władcy najgroźniejsze. Bo gdy car jest chory, na dworze i wśród poddanych wrze... ■

eprasa.pl f4e64891b7



Olga Doleśniak-Harczuk



Świeczka dla ofiar Breitscheidplatz

19 grudnia minęła czwarta rocznica zamachu na jarmark bożonarodzeniowy na berlińskim Breitscheidplatz. Po nabożeństwie ekumenicznym odprawionym w intencji ofiar zamachowca Anisa Amriego, nieliczni (z uwagi na pandemię) uczestnicy ceremonii udali się przed kościół Pamięci Cesarza Wilhelma. Na stopniach przed świątynią są wyryte nazwiska dwunastu ofiar zamachowca, w tym Polaka, Łukasza Urbana. Pastor Kościoła, Martin Germer, wymienił wszystkie nazwiska, po czym minutą ciszy uczczono pamięć zamordowanych. A potem była już tylko muzyka.

eprasa.pl f4e64891b7

To Roland Satterwhite, amerykański skrzypek od 2008 roku żyjący w Berlinie, zagrał dla tych, którzy zginęli w tamtą grudniową noc. Na stopniach kościoła leżą kwiaty, ludzie zapalają znicze. Na jednym ze schodków wyryto nazwisko pierwszej ofiary tamtego zamachu, Polaka, Łukasza Urbana, którego skradzioną ciężarówką zamachowiec wjechał w tłum. Kierowca ciężarówki z Polski miał wracać do kraju z transportem. Zginął w Berlinie, pięć dni przed Wigilią Bożego Narodzenia i na niespełna dwa miesiące przed swoimi 38. urodzinami. Niemcy były w szoku. Od czasu zamachu na Breitscheidplatz jarmarki bożonarodzeniowe w większych miastach zabezpieczano betonowymi blokami. Przygnębiający widok. Hamburg, Drezno, Lipsk, Berlin – wszystkie te place kojarzące się mieszkańcom i turystom z zapachem grzanego wina i spotkaniami z przyjaciółmi zamieniły się w twierdze. A w dobie koronawirusa i pandemicznych obostrzeń jarmarki stały się wręcz nielegalne. Kolejny cios dla tradycji, która w coraz bardziej zlaicyzowanych Niemczech miała jednak przynajmniej uroczą oprawę, coś, co sprawiało, że przez tych kilka świątecznych tygodni ludziom udawało się zapomnieć o troskach i spojrzeć na siebie łaskawszym okiem. Tam, gdzie jeszcze rok temu stały charakterystyczne budki z piernikami, dziś panuje pandemiczny smutek. W rocznicę taką jak ta ten smutek jest podwójny, dochodzi zaduma. Ale i irytacja.

▶ Senat Berlina: Deportacja? To skomplikowane...

Po zamachu w niemieckim Bundestagu powołano specjalną komisję śledczą, która miała wyjaśnić genezę tragedii. Tunezyjczyk Anis Amri był znany służbom, ale dopiero niedawno zdołano wykluczyć jego związki z Państwem Islamskim. Wciąż brak odpowiedzi na pytanie, dlaczego policja federalna nie zainteresowała się jego wzmożoną aktywnością wcześniej i dlaczego przeoczono sygnały świadczące o jego radykalizacji. Służby przegapiły na przykład związki Anisa Amriego z meczetem Fussilet, w którym przyszły zamachowiec znalazł „duchową ojczyznę". W meczecie tym dochodziło do radykalizacji muzułmanów, placówka była podejrzewana o zagrzewanie do walki w Syrii, w szeregach Państwa Islamskiego, już od 2015 roku, ale nie uczyniono nic, by ten proceder ukrócić. Dopiero w marcu 2017 roku 470 funkcjonariuszy policji przypuściło obławę na pomieszczenia, sale szkolne, mieszkania i firmy związane z moabickim meczetem. Władze Berlina w czwartą rocznicę zamachu uspokajają mieszkańców, że sytuacja jest opanowana i dzięki wdrożeniu nowego planu antyterrorystycznego służby są w stanie lepiej niż w 2016 roku zapobiegać zamachom. Plan opiera się na czterech filarach: prewencji, wczesnym ostrzeganiu, ochronie przed zamachami i minimalizowaniu skutków ewentualnych ataków. Brzmi sucho, urzędniczo i mało przekonująco, zważywszy na fakt, że zielono-czerwona koalicja sprawująca rządy w senacie Berlina niechętnie podchodzi do deportacji osób podejrzewanych o działalność terrorystyczną. Rzekomą przeszkodą ma być to, że dwie trzecie podejrzanych albo ma obywatelstwo Niemiec, albo pozostaje w związku małżeńskim z obywatelem Niemiec. A trzeba podkreślić, że do niemieckich domów coraz liczniej wracają ci, którzy zdobyli doświadczenie na wojnie w Syrii, co dodatkowo komplikuje nadzór nad potencjalnymi sprawcami.

> WCIĄŻ BRAK ODPOWIEDZI NA PYTANIE, DLACZEGO POLICJA FEDERALNA NIE ZAINTERESOWAŁA SIĘ WZMOŻONĄ AKTYWNOŚCIĄ AMRIRA WCZEŚNIEJ I DLACZEGO PRZEOCZONO SYGNAŁY ŚWIADCZĄCE O JEGO RADYKALIZACJI.

▶ Terrorysta na socjalu

Władze senatu podkreślają, że od stycznia 2020 roku berliński wydział kryminalny ma uruchomić nową sekcję policyjną zatrudniającą 177 funkcjonariuszy oddelegowanych wyłącznie do spraw związanych ze zwalczaniem terroryzmu. Metody nadzoru, które zawiodły w przypadku Amriego, mają teraz zostać udoskonalone. Czytając odpowiedzi rządu federalnego na zapytania partii w sprawie błędów, jakie popełniono w przypadku Amriego, trudno oprzeć się wrażeniu, że nie zrobiono wtedy nic. Amri podróżował po Niemczech pod czternastoma różnymi nazwiskami, korzystał z tamtejszej pomocy socjalnej, pozował w internecie z kałasznikowem w dłoni, rekrutował dżihadystów, zatrzymany na granicy ze Szwajcarią ze sfałszowanym paszportem i narkotykami w bagażu – po kilku miesiącach naznaczonych absolutną indolencją niemieckiej prokuratury i sądów – został wypuszczony na wolność. Do Tunezji nie deportowano go ze względu na przeszkody natury biurokratycznej. Czy naprawdę trzeba więcej? 12 osób straciło życie, kolejne 65 zdrowie. Zapalmy w ich intencji świeczkę, jeżeli nie zdążyliśmy 19 grudnia. ■

eprasa.pl f4e64891b7

Hanna Shen



Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Korea Płd.–Japonia–Niemcy

Jedną z niezabliźnionych ran między Koreą Płd. a Japonią jest historyczny spór o niewolnice seksualne (tzw. kobiety pocieszycielki[1]) w czasie japońskiej okupacji Korei. Konflikt ten ostatnio przeniósł się daleko od Seulu i Tokio, aż do Berlina, gdzie w gminie Mitte znajduje się pomnik upamiętniający te ofiary.

Od grudnia 2011 roku, po tym, jak pierwszy z pomników umieszczono przed japońską ambasadą w Seulu, powstało ich ponad 60, m.in. w USA, Kanadzie i Japonii.

Od momentu powstania monumentu w Berlinie japońska dyplomacja zabiegała o to, aby ją usunąć. Po odsłonięciu pomnika we wrześniu 2020 roku urząd gminy Mitte pod wpływem presji ze strony Tokio nagle ogłosił, że konstrukcja zostanie usunięta. Wtedy to mieszkająca w Niemczech społeczność Koreańczyków z Południa, wsparta przez berlińczyków, rozpoczęła kampanię na rzecz ocalenia rzeźby. Na początku grudnia 2020 roku radni gminy Mitte przegłosowali rezolucję, która obiecuje utrzymanie pomnika co najmniej do września 2021 roku. Zgodnie z rezolucją urząd gminy Mitte, sejmik i grupy obywatelskie będą też dyskutować o tym, co zrobić, by utrzymać pomnik na stałe.

Na tę decyzję natychmiast zareagował rząd Japonii. „Będziemy nadal naciskać na wczesne usunięcie pomnika, jednocześnie wyjaśniając stanowisko rządu Japonii różnym urzędnikom" – powiedział Kato Katsunobu, sekretarz gabinetu premiera Sugi Yoshihide.

Rząd Japonii żąda usunięcia pomnika, argumentując to znajdującą się na nim nieprawidłową inskrypcją. Napis sugeruje, że kobiety pocieszycielki były wykorzystywane seksualnie przez japońskie wojsko podczas II wojny światowej i były „niewolnicami seksualnymi". Japoński rząd utrzymuje, że wojsko nie miało nic wspólego z bezpośrednim zaangażowaniem w rekrutację kobiet i że dobrowolnie świadczyły one usługi seksualne. Tymczasem dowody wyraźne pokazują, że było inaczej.

Wśród niewolnic seksualnych z lat japońskiej okupacji znalazły się nie tylko Koreanki, lecz również Chinki, Malajki, Filipinki, kobiety urodzone na Tajwanie, a także białe kobiety pochodzące z podbitych posiadłości kolonialnych lub pielęgniarki z personelu medycznego sił alianckich. Szacuje się, że liczba kobiet wykorzystywanych przez Japończyków wynosi 300–400 tys., a Koreanki stanowią tu najliczniejszą grupę – ponad 200 tys. Niewolnice seksualne traktowane były z wielkim okrucieństwem. Poza gwałtami na porządku dziennym było bicie, nacinanie ostrzami noży, przypalanie i duszenie.

Władze Kraju Kwitnącej Wiśni przez dziesięciolecia po zakończeniu II wojny światowej odmawiały przeprosin za wyrządzone kobietom krzywdy, a to wpływało negatywnie na relacje między Seulem i Tokio. Jeszcze w 2007 roku ówczesny premier Japonii Shinzo Abe pozwolił sobie na uwagę, że tak naprawdę nie ma dowodów na to, iż kobiety były zmuszane przez japońskiego okupanta do nierządu.

Te słowa znów zaogniły historyczny spór i dopiero w 2015 roku Abe oraz koreańska prezydent Park Geun-hye podpisali porozumienie o utworzeniu funduszu odszkodowawczego dla byłych „pocieszycielek", wartego łącznie ponad 8 mln dolarów. Ale spór, jak pokazują wydarzenia z Berlina, cały czas odżywa.

Tajwan

11 grudnia władze Tajwanu poinformowały, że wobec dwóch Tajwańczyków prowadzone jest śledztwo w związku z rozpowszechnianiem przez nich fałszywych

[1] Japończycy nazywali te kobiety „ianfu": „i" oznacza pocieszenie, „an" to spokój, „fu" to kobieta – stąd określenie „kobiety pocieszycielki".

eprasa.pl f4e64891b7

wiadomości w internecie, jakoby USA i Tajwan planowały współpracę, aby wesprzeć ostatnią falę prodemokratycznych protestów w Tajlandii.

Według Biura Śledczego Ministerstwa Sprawiedliwości (MJIB) obywatele Tajwanu o nazwiskach Liu i Yin byli w Chinach na szkoleniu prowadzonym przez członków tamtejszej cyberarmii. Poza fałszywymi informacjami o rzekomo planowanej ingerencji Tajwanu i USA w protesty w Tajlandii, zatrzymani rozpowszechniali w internecie fake newsy o pandemii i wyborach prezydenckich na Tajwanie, które miały miejsce w styczniu 2020 roku.

Działania dezinformacyjne prowadzone przez komunistyczne Chiny wobec Tajwanu mają długą historię. Wczesne metody (w latach 50. XX wieku) chińskiej propagandy w Cieśninie Tajwańskiej obejmowały używanie megafonów do nadawania komunikatów i odtwarzania muzyki w celu zachęcania do dezercji. Od tego czasu technologia i taktyka znacznie się rozwinęły. ChRL rozpoczęła to, co nazywa „wojną informacyjną" przeciwko Tajwanowi, na początku XXI wieku. Pekin zachęcał biznesmenów z Tajwanu mających swoje firmy w Chinach do kupowania mediów i reklam w tajwańskich mediach, aby wpływać na opinię publiczną na wyspie.

W mediach społecznościowych ChRL sięgnęła po bardziej bezpośrednie „inwestycje", kupując strony z dużą liczbą obserwujących i wykorzystując je do pomagania cyberarmii ChRL w rozprzestrzenianiu fake newsów na Tajwanie. Przed wyborami samorządowymi w 2018roku konta takich influencerów na PTT, tajwańskim elektronicznym biuletynie informacyjnym, kosztowały 6500 dolarów.

Do rozpowszechniania treści popierających zjednoczenie z komunistycznymi Chinami i fake newsów dotyczących polityki rządzącej proniepodległościowej partii DPP są szczególnie wykorzystywane popularne wśród tajwańskich internautów platformy YouTube i Facebook. Dezinformacja w YouTube jest na ogół bardziej przemyślana, ponieważ tworzenie i edytowanie filmów jest trudniejsze niż pisanie postów lub memów. Jednak Puma Shen, adiunkt na Wydziale Kryminologii na National Taipei University, zauważa, że chińskie operacje w serwisie YouTube nie są do końca wyrafinowane. Na przykład niektóre filmy skierowane do tajwańskiej publiczności nadal mają uproszczone znaki w napisach (Tajwan używa znaków tradycyjnych do zapisu chińskiego. Uproszczone są stosowane w ChRL).

Nowy Jedwabny Szlak

Według „Financial Times" („FT") w odpowiedzi na wojnę handlową między Chinami a Stanami Zjednoczonymi oraz po ponownym przeanalizowaniu przez Komunistyczną Partię Chin (KPCh) projektu Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS), a także w obliczu kryzysu wywołanego przez pandemię, dwa główne chińskie banki drastycznie zmniejszyły swoje zagraniczne pożyczki.

W raporcie „FT" wskazano, że Chiny początkowo ambitnie promowały zagraniczne pożyczki w ramach NJS. Jednak według danych Boston University, zagraniczne kredyty China Development Bank i Export-Import Bank of China spadły z 75 mld dolarów w 2016 do zaledwie 4 mld dolarów w 2019 roku. Nowy Jedwabny Szlak, inicjatywa prezydenta Xi Jinpinga, jest bardzo krytykowany za to, że związane z nim kraje o niskich dochodach popadły w ogromne długi, zwiększył niestabilność finansową i przyniósł fatalne skutki społeczne i dla środowiska naturalnego.

Według raportu brytyjskiego think tanku Overseas Development Institute, Chiny zaczynają rozumieć, że model pożyczkowy w ramach NJS nie jest rozwiązaniem długoterminowym. W raporcie wskazano, że obecny model pożyczania stawia interesy chińskich przedsiębiorstw i lokalnych elit przed interesami kraju pożyczkobiorcy, ale kraj pożyczkobiorca musi ponosić nieproporcjonalne ryzyko niepowodzenia projektu.

W Chinach działają trzy główne banki udzielające kredytów w celu promowania infrastruktury krajowej i zagranicznej: China Development Bank, Export-Import Bank of China oraz Agricultural Development Bank of China. Banki te mogą udzielać zagranicznych pożyczek na preferencyjnych warunkach, ale powszechną sytuacją jest udzielanie pożyczek na warunkach zbliżonych do komercyjnych stóp procentowych.

Według danych opublikowanych przez Boston University, China Development Bank i Export-Import Bank of China wydały łącznie 462 mld dolarów w pożyczkach w latach 2008–2019, tylko nieznacznie mniej niż 467 mld dolarów, które Bank Światowy pożyczył krajom o niskim i średnim dochodzie w tym samym okresie.

Złe zarządzanie chińskim projektem NJS wywołało serię skandali w krajach pożyczkobiorcach. Najnowszym przykładem jest Pakistan, który krytykując to, że chińskie firmy zawyżały koszt swoich planów projektu energetycznego o miliardy dolarów, próbuje teraz renegocjować warunki płatności.

Także w samych Chinach inicjatywa NJS jest coraz gorzej postrzegana. Chińczycy krytykują wydatki na duże projekty inwestycyjne poza Chinami, podczas gdy pandemia pokazała, że Państwo Środka musi zainwestować więcej środków w służbę zdrowia.

Według badań przeprowadzonych przez Boston University, chińskie kredyty w ramach NJS koncentrują się na kilku krajach. 60 procent pożyczek jest udzielanych 10 krajom, z których Wenezuela, największy pożyczkobiorca, stanowi ponad 12,5 proc. łącznej kwoty pożyczki. Inne państwa to m.in. Pakistan, Rosja i Angola. ■

eprasa.pl f4e64891b7

TŁUMACZENIE I OPRACOWANIE
Antoni Rybczyński

Biden, Nord Stream 2 i bezpieczeństwo energetyczne Unii Europejskiej

Obecnie wydaje się mało prawdopodobne, by będący własnością Gazpromu gazociąg Nord Stream 2 kiedykolwiek zaczął działać zgodnie z przewidywaniami Moskwy. Sankcje USA zatrzymały budowę rurociągu. Więcej amerykańskich sankcji zostanie przyjętych przed końcem roku, co spowoduje dalsze problemy dla gazociągu – pisał dr Alan Riley. Opublikowana 26 listopada przez estoński think tank ICDS prognoza brytyjskiego prawnika specjalizującego się w obszarze energetyki, związanego na co dzień z Atlantic Council, sprawdza się póki co co do joty. Poniżej tłumaczenie tekstu Alana Rileya.

Nawet jeśli Nord Stream 2 zostanie faktycznie ukończony, stanie on w obliczu wielu wymagań unijnych, które w najlepszym wypadku podkopią projekt, w najgorszym – doprowadzą do jego faktycznego wstrzymania. Tym, co jednak powinno bardziej niepokoić Gazprom, nie jest jednak fiasko Nord Stream 2, lecz nadejście administracji Joe Bidena. Jest ona bowiem w stanie przyjąć bardziej strategiczne podejście do bezpieczeństwa energetycznego Unii Europejskiej. Niebezpieczeństwo dla Gazpromu polega na tym, że nowa amerykańska administracja będzie pracowała z UE i krajami członkowskimi Unii nad rozwinięciem skutecznej wspólnej polityki bezpieczeństwa energetycznego. Taka polityka miałaby na celu dokończenie transformacji energetycznej, włączenie krajów europejskich spoza UE do unijnego rynku energii oraz izolację Gazpromu. W takim scenariuszu rosyjski gigant może skończyć jako dostawca gazu ostatniej instancji, zmarginalizowany cenobiorca, stopniowo tracący udział w rynku głęboko zintegrowanych ogólnoeuropejskich sieci elektroenergetycznej i gazowej, a następnie rynku energii odnawialnej nowej generacji.

▶ Nord Stream 2 pod ścianą

Perspektywa, że gazociąg Nord Stream 2 będzie zdolny do przesyłania gazu do UE zgodnie z pierwotnymi zamierzeniami Gazpromu, stoi teraz pod znakiem zapytania. Amerykańska legislacja zawierająca sankcje, przyjęta w grudniu 2019 roku, wstrzymała budowę Nord Stream 2, rozszerzając kary na statki układające rurociąg na dnie morskim. Kluczowy wykonawca gazociągu, czyli spółka Allseas, bezzwłocznie zatrzymał prace swoich statków. Obecnie około 160 km trasy rurociągu pozostaje nieułożone. Konsorcjum Nord Stream 2 AG próbowało znaleźć inne statki układające rurociągi, miało też nadzieję na wznowienie prac dość szybko po wejściu amerykańskich sankcji przy wykorzystaniu dużo wolniejszego i mniej zaawansowanego technicznie statku „Akademik Czerski". Jednakże 20 października 2020 roku amerykański Departament Stanu przekazał informacje wyjaśniające zakres obowiązujących sankcji, piętrząc trudności i przeszkody firmom angażującym się w projekt. Zaś na początku listopada 2020 roku Izba Reprezentantów i Senat doszły do porozumienia w sprawie kolejnych sankcji zarówno uderzających w firmy ubezpieczające rurociąg i twórców projektów, jak i podważające możliwość uzyskania przez gazociąg odpowiednich technicznych certyfikacji. Te dodatkowe sankcje będą wdrożone przed końcem roku jako część dorocznego National Defence Authorisation Act (NDAA), czyli mówiąc w skrócie – ustawy budżetowej Pentagonu [na początku grudnia 2020 faktycznie Kongres przyjął ustawę na 2021 rok – przyp. tłum.].

Pomijana wcześniej w tej kwestii – w wyniku kontrowersji wokół amerykańskich sankcji – sama Unia Europejska podjęła w końcu działania, które zagrożą funkcjonowaniu Nord Stream 2. W maju 2019 roku UE uchwaliła rozszerzenie dyrektywy gazowej z 2009 roku także na rurociągi importowe, takie jak Nord Stream 2. Pełne stosowanie dyrektywy gazowej stwarza wiele problemów dla gazociągu, w szczególności widać to na przykładzie art. 11. Stanowi on, że w przypadku każdego właściciela spoza UE agencja regulacyjna państwa członkowskiego Unii musi ocenić, czy taki właściciel będzie stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa dostaw dla państwa członkowskiego lub całej Unii Europejskiej. Biorąc pod uwagę obszerny katalog zagrożeń ze strony Gazpromu i doświadczenia z odcinaniem dostaw przez rosyjski koncern w ciągu ostatnich dwóch dekad, pozytywne przejście Rosjan przez taką ocenę regulacyjną byłoby problematyczne. Każda zaś próba ze strony agencji regulacyjnej państwa członkowskiego, która starałaby się o zezwolenie na Nord Stream 2, argumentując, że nie ma ryzyka dla bezpieczeństwa dostaw, stanęłaby wobec lawiny pozwów sądowych zarówno w sądach krajów członkowskich UE, jak i unijnych. Nord Stream 2 stoi zatem w obliczu potężnej bariery w postaci istniejących i nadchodzących sankcji USA oraz gąszcza wymogów unijnych niemal nie do przejścia, które sprawiają, że jest bardzo mało prawdopodobne, aby rurociąg przetrwał – przynajmniej w formie i w zamierzonym przez Gazprom celu. Niemniej nawet jeśli Nord Stream 2 zostanie zatrzymany, komercyjne i polityczne wpływy Gazpromu w należących do Unii Europejskiej krajach Europy Środkowej i Wschodniej, na Bałkanach, Ukrainie i Białorusi pozostają znaczące. Ponadto przepychanki dotyczące Nord Stream 2 zwłaszcza między Niemcami a unijnymi państwami Europy Środkowej, na czele z Polską, popsuły stosunki i wywołały podziały. Właśnie w tym miejscu administracja Bidena ma szansą naprawić podziały, promować transformację energetyczną i zapewnić europejskie bezpieczeństwo energetyczne.

Warto też pamiętać, że większość unijnych krajów z Europy Środkowej i Wschodniej, jak też Ukraina, Białoruś i Bałkany, zależą do paliw kopalnych, przede wszystkim węgla i gazu (niektóre

FOT. STEFAN SAUER/PAP/DPA

eprasa.pl f4e64891b7

energii atomowej). I że w tych państwach większość gazu naturalnego jest kupowana od Gazpromu. Co więcej, nie ma wolnego i otwartego rynku dla energii w tej części Europy. Niewątpliwie prawdą jest, że poczyniono wielkie kroki w stronę rozwoju zintegrowanego europejskiego rynku energetycznego. Obecnie jest dużo więcej połączeń między krajami, którymi płynie energia elektryczna i gaz, niż choćby dziesięć lat temu. Jednakże wciąż pozostają ograniczone możliwości interkonektorowe pomiędzy narodowymi rynkami energii elektrycznej i gazu nawet wśród zachodnich i wschodnich członków Unii Europejskiej. Jest to tym bardziej widoczne w przypadku połączeń między krajami unijnymi a tymi pozostającymi poza UE. Ten brak wzajemnych połączeń i alternatyw dostaw pozwala Gazpromowi utrzymywać znaczące komercyjne i polityczne wpływy w Europie Środkowej i Wschodniej.

▶ Zmniejszenie roli gazu ziemnego

Administracja Bidena mogłaby dążyć do budowy poparcia dla wspólnego programu transformacji energetycznej, integracji i bezpieczeństwa energetycznego pomiędzy UE a krajami Europy nienależącymi do Unii Europejskiej. Taki program mógłby uzyskać wsparcie od wszystkich stron UE zaangażowanych w batalię o projekt Nord Stream 2. [...] Miałby zapewnić pełną integrację i unowocześnienie rynków energii elektrycznej i gazu [...]. Jednocześnie pomogłoby to w zwiększeniu wykorzystania energii słonecznej i wiatrowej. Kiedyś cel ten byłby bardzo trudny do osiągnięcia ze względu na koszt energii odnawialnej i dotacje wymagane do rozwinięcia mocy. Jednak w ciągu ostatniej dekady koszt energii słonecznej spadł o 80 proc., a lądowej energii wiatrowej o około 40 procent. Międzynarodowa Agencja Energii w swoim najnowszym raporcie World Energy Outlook podkreśla oszałamiający spadek kosztów energii słonecznej, wskazując, że jest to obecnie najtańsza energia elektryczna, jaką kiedykolwiek wyprodukowano. Początkowym celem takiego programu byłaby maksymalizacja energii elektrycznej, zintegrowanie sieci na całym kontynencie i zwiększenie ich zdolności do odbioru energii odnawialnej. Następnie uruchomienie w tych sieciach większej ilości energii słonecznej i wiatrowej. Gaz ziemny nadal miałby do odegrania rolę jako paliwo zapasowe dla odnawialnych źródeł energii, dopóki dalszy rozwój technologiczny by go nie zastąpił. Na tym etapie nie jest jasne, czy takie zmiany będą obejmować wychwytywanie i składowanie dwutlenku węgla, pojemność akumulatorów na dużą skalę czy wodór, a może miks wszystkich trzech. Jednak geostrategiczny efekt wzmocnienia i integracji sieci elektroenergetycznych oraz zwiększenia mocy odnawialnych zmniejszy rolę gazu ziemnego. Jeśli jednocześnie rynek gazu zostanie w pełni zintegrowany w samej UE i między UE a krajami europejskimi spoza Unii, wymusi to większą konkurencję na tym rynku. Gazprom stanie przed perspektywą dalszej konkurencji ze strony rewersowego przepływu gazu, większej konkurencji ze strony Baltic Pipe (który wprowadzi norweski surowiec na rynek Europy Środkowo-Wschodniej od 2022 roku) oraz LNG.

▶ Strategiczny sojusz

Oprócz wspierania programu infrastrukturalnego Stany Zjednoczone mogłyby pomagać przy pracach Wspólnoty Energetycznej, która stosuje prawo energetyczne UE także na Ukrainie, w Gruzji i Mołdawii oraz w państwach bałkańskich spoza UE. Wspólnota Energetyczna zapewnia platformę prawną dla integracji rynków energii Europy Wschodniej z rynkami UE, tworząc jednolity i otwarty rynek zielonej energii na całym kontynencie. To może być jeszcze bardziej wzmocnione. Uprawnienia Wspólnoty Energetycznej można by rozszerzyć o egzekwowanie wspólnych przepisów antymonopolowych i środowiskowych w państwach Wspólnoty, a także o przyznanie Wspólnocie uprawnień antykorupcyjnych. Takie dodatkowe przywileje pomogłyby w pobudzeniu inwestycji zagranicznych w celu zapewnienia skutecznego przeprowadzenia transformacji.

Aby administracja Bidena podążała w tym kierunku, w celu przeprowadzenia pełnej transformacji energetycznej w Europie Środkowo-Wschodniej, na Ukrainie i na Bałkanach poza UE, należy złagodzić podziały na kontynencie wywołane przez Nord Stream 2. Taki program osłabiłby także komercyjną i polityczną siłę Gazpromu. Lepsze połączenia infrastrukturalne osłabiłyby jego pozycję na rynkach krajowych, większe wykorzystanie energii odnawialnej osłabiłoby rynkowy popyt na gaz. Tego rodzaju gra strategiczna, w której wszyscy wygrywają, może pomóc w zjednoczeniu samej Unii Europejskiej, zbliżeniu UE i Stanów Zjednoczonych, zbliżeniu pozaunijnej części Europy do UE, zniweczeniu rosyjskich prób destabilizacji Europy Środkowej i Wschodniej. ■

_____

Śródtytuły pochodzą od redakcji „NP".

eprasa.pl f4e64891b7

Ryszard Czarnecki

Coś więcej niż sport, czyli cud w Hamburgu, złoto w Monachium (z dedykacją)...

To był międzypaństwowy mecz bokserski NRF–Polska. Miejsce: Hamburg. Czasy, kiedy istniał „eneref" – czyli Niemiecka Republika Federalna – na RFN dopiero przyjdzie pora. Polska była wtedy potęgą bokserską, ale „kapitalistyczne Niemcy" też nie wystawiały ułomków. Wówczas jeszcze w meczach międzypaństwowych było 10, a nie 11 kategorii wagowych. Niemcy prowadzili 10:8 (za zwycięstwo w pojedynku – 2 punkty, za remis – 1 punkt). Do ostatniej walki w kategorii ciężkiej wyszedł utytułowany reprezentant gospodarzy, Niemiec Peter Hussing. W swojej karierze był mistrzem Europy, a także dwukrotnym jej wicemistrzem i raz brązowym medalistą, ale przede wszystkim medalistą Igrzysk Olimpijskich. Charakterystyczne, że największe sukcesy Hussing odnosił, gdy imprezy mistrzowskie typu igrzyska, mistrzostwa globu czy kontynentu odbywały się w Niemczech: w Monachium czy Kolonii. Naprzeciwko niego stanął zawodnik z orzełkiem na piersiach: Władysław Jędrzejewski. Dwa razy startował na Igrzyskach, przegrywając w pierwszej walce z późniejszymi medalistami, a w swym dorobku miał jeden jedyny medal – brązowy – mistrzostw Europy. Miał już swoje lata, był starszy od Niemca aż o 13 lat, niższy od niego aż o 7 centymetrów, miał mniejszy zasięg ramion.

Niemic był stuprocentowym faworytem. Jeśliby wygrał, NRF pokonałaby Polskę 4 punktami. Niespodziewane raczej zwycięstwo Polaka mogło nam uratować remis.

Walka toczyła się według scenariusza przewidywanego przez ekspertów – Hussing potężnym ciosem posyła Polaka na deski. Knock-down. Polak jest liczony. Gong. Przerwa. W drugiej rundzie dopingowany przez tysiące kibiców Hussing przechodzi do natarcia, chce efektownie skończyć walkę przed czasem. Tym bardziej przecież, że miał już Jędrzejewskiego na deskach. I nagle staje się bokserski cud. Jędrzejewski kontruje i wypuszcza cios, którym posyła potężnego Niemca na deski. To nie był knock-down – to był nokaut! Szok. Niemcy są wściekli, u Polaków wielka radość miesza się z niedowierzaniem.

I wtedy następuje coś, co jest powszechnie nieznane, a powinno być częścią annałów polskiego pięściarstwa. Sędzia ogłasza zwycięstwo Polaka przed czasem, czyli przez nokaut. Jędrzejewski idzie do narożnika, mówi coś do legendarnego trenera naszych bokserów Feliksa Stamma i nagle obaj zaczynają płakać. Po latach legenda „polskiej szkoły boksu", dwukrotny mistrz olimpijski, Jerzy Kulej będzie opowiadał, że nigdy, przenigdy nie widział, żeby „Papa" Stamm płakał. To miał być ten pierwszy i ostatni raz. Ale te łzy dorosłych facetów, w tym jednego o posturze Ursusa z „Quo vadis" Henryka Sienkiewicza, poleciały nie po decydującym ciosie urodzonego w Zawierciu w 1935 roku pięściarza z białym orzełkiem na piersiach. „Chłopaki nie płaczą", ale nasz legendarny trener, słynny na całym świecie, i pięciokrotny mistrz Polski bez większych sukcesów międzynarodowych, poza jednym medalem w ME, rozpłakali się nie dlatego, że Jędrzejewski znokautował Hussinga, tylko po słowach polskiego pięściarza do Stamma.

Gdy Niemcy w 1939 roku napadli na Polskę i rozpętali II wojnę światową, Władzio, dziecko z Zagłębia Dąbrowskiego, miał cztery latka. Wojnę zobaczył od razu, niedługo potem stał się jej ofiarą – trafił do niemieckiego obozu śmierci. Co usłyszał od swojego wychowanka, uratowanego z niemieckiego lagru Feliks Stamm? „Panie trenerze, dzisiaj wszystkie polskie dzieci z obozów koncentracyjnych trzymały za mnie kciuki"...

Na Igrzyskach Olimpijskich w Monachium – na których ów znokautowany przez Jędrzejewskiego – więźnia Władzia, Peter Hussing zdobył brązowy medal, złoto w strzelectwie sportowym zdobył reprezentant Polski Józef Zapędzki. Był to jego drugi tryumf w Igrzyskach po złotym medalu w Meksyku w 1968 roku. Na niemieckiej ziemi zagrano mu „Mazurka Dąbrowskiego". Po zawodach swoje zwycięstwo zadedykował ojcu, który zginął w niemieckim obozie śmierci w Dachau...

Historia polskiego sportu to ważna część dziejów narodu, który poprzez triumfy w międzynarodowej rywalizacji rekompensuje swoje dramatyczne dzieje. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Marcin Wolski

GŁUPOTA I MEDYCYNA

Trudno wręcz uwierzyć, w jak wielkim stopniu historia medycyny stanowi splot wielowiekowego doświadczenia, daru obserwacji, a także intuicji, z hochsztaplerią i pospolitą głupotą. Dzisiejsi antyszczepionkowcy mieli swoich zasłużonych poprzedników – w ramach kontrrewolucji ancien regime'u w pierwszej połowie XIX wieku władze co bardziej reakcyjnych krajów (z papiestwem na czele) zakazywały szczepienia ospy, jako że był to wynalazek przypisywany (skądinąd bezpodstawnie) Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Po epoce średniowiecza – niesłusznie uważanego za wieki ciemne, mimo że higiena osobista, choćby w naszym regionie, stała wysoko – rozwinięty był system łaźni, bań czy saun, i po wczesnym renesansie – w krajach południa wielkim powodzeniem cieszyły się termy i publiczne baseny, w których obywatele płci obojga pławili się nago – nastała epoka brudu. Początkiem stała się epidemia przywleczonego z Ameryki syfilisu. Nie znając jej bakteryjnego podłoża, uznano, że przyczyną jest rozwiązłość obyczajów, którą tępiono w najprostszy sposób – za pomocą zakazów i rozporządzeń. Ogromną winę ponosi tu również ówczesna medycyna i teoria, że choroby wnikają do organizmu przez pory w skórze i ich otwieranie – przez częstą kąpiel, co jest najlepszym sposobem na zwiększenie liczby zachorowań. Ograniczono więc mycie do minimum, a ówczesne zalecenia nakazywały pozostawanie po kąpieli dłuższy czas domu i wystrzeganie się świeżego powietrza.

Praktyka ta utrzymywała się przez parę stuleci, a lekceważenie zasad sanitarnych zbierało szczególnie wysokie żniwo u kobiet – te marły masowo w szpitalach, gdzie niemyjący rąk medycy swobodnie przechodzili od sekcji do badania ginekologicznego. Długo nie dostrzegano, że kobiety odbywające porody w domy, gdzie w roli położnych występowały „babki", praktycznie nie umierały.

Poglądy na temat higieny zmieniły się dopiero pod koniec XIX wieku, otwierając epokę ruchu, sportu i czystości, czasem w przypadku dzieci posuniętej do granic absurdu.

Interesująca była również nierównomierność rozwoju medycyny. O ile trepanacje czaszki znała już starożytność, praktycznie każde przebicie otrzewnej prowadziło do śmierci. Przypadki, w których kobieta przeżyła cesarskie cięcie, należały do superrzadkich, zapalenie wyrostka robaczkowego długo było wyrokiem śmierci. (Na jedną z pierwszych operacji zgodził się syn królowej Wiktorii. Powodzenie owocowało masowym wprowadzeniem aseptyki).

Na szczęście rozsądek sprzyjał walce z gangreną – drakońskie amputacje i przypalanie ran było jedynym skutecznym ratunkiem przed gangreną, a wyśmiewany chleb z pajęczyną – stosowany przez kmicicowych kompanów – wyprzedzał o paręset lat penicylinę doktora Flemminga. Również prawidłowa bywała reakcja wobec epidemii – dystans, maseczki i izolacja zarażonych nie są bynajmniej współczesnym wynalazkiem Światowej Organizacji Zdrowia. O kwarantannie pisał już w „Ojcu zadżumionych" Juliusz Słowacki, a palenie odzieży chorych i całych domostw miało głęboki sens. Rozsądne było też opuszczanie wielkich skupisk miejskich – co zrobili na przykład bohaterowie Boccacia i dzięki czemu powstał „Dekameron". Przeglądając tablice genealogiczne rodzin panujących w okresie czarnej śmierci, na próżno szukałem wśród zmarłych czołowych dynastów. Widocznie potrafili się skutecznie izolować.

> O kwarantannie pisał już w „Ojcu zadżumionych" Juliusz Słowacki, a palenie odzieży chorych i całych domostw miało głęboki sens.

Znamienne jest, że każdy wielki kataklizm skutkuje wzmożeniem zarówno postaw racjonalnych – takich jak bezwzględne przestrzeganie zaleceń specjalistów – jak i irracjonalnych – wzniecając emocjonalne protesty „przeciwko ograniczaniom wolności człowieka" przez działania zapobiegawcze.

Co do mnie, wybaczcie biedni durnie, mam w nosie wszystkie wasze wolności, jeśli na drugiej szali znajdzie się życie choćby jednego człowieka! ■

eprasa.pl f4e64891b7



Tomasz Sakiewicz

Jeden wirus zmienił wszystko

Miliardy, biliony, tryliony wirusa tworzą ciężar krytyczny, który pozwala na dostosowanie się do nowej rzeczywistości.

Nie ma prostszego organizmu niż wirus. Nie jest uważany wręcz za organizm żywy, bo nie ma samodzielnej zdolności do życia. Za to wśród wszelkich organizmów dominuje pod względem ilości. Jest go więcej niż wszelkich stworzeń żywych razem wziętych. Żyjemy zanurzeni w „sosie" wirusów, ale ten „sos" jest rozłożony równo tak jak powietrze albo wielkie zbiorniki jak woda. Przyczepia się do organizmów żywych i tworzy wokół nich mniejszą lub większą chmurę. Nie posiada niczego, co byłoby choćby szczątkiem układu nerwowego, więc nie powinien myśleć ani planować. Tak się dzieje z jednym wirusem. Ale jego miliardy, biliony, tryliony tworzą ciężar krytyczny, który pozwala na dostosowanie się do nowej rzeczywistości. Wyobraźmy sobie człowieka, który ma za krótką rękę, by zerwać jabłko z drzewa. Jest na tyle głupi, że nie stanie na palcach ani nie podstawi sobie kamienia. Odrąbie rękę i za chwilę wyrośnie mu nowa. Jeżeli ta nowa będzie za krótka, znowu ją odrąbie. I tak do skutku. Jego materiał genetyczny zapamięta, by potomstwo rodziło się z dłuższymi rękami. To oczywiście skrót myślowy, bo wirus niczego sobie nie odrąbuje. Ginie, a przetrwa tylko to potomstwo z „dłuższymi rękami". Gdyby to dotyczyło ludzkich pokoleń, jabłka same by spadły, a nawet drzewo uschło ze starości, zanim pojawiliby się mutanci z długimi rękami. Wirus żyje jednak niesłychanie krótko. Mutuje więc o wiele szybciej. Co jest jego celem? Zdolność do przekazania swojego materiału genetycznego. Tu właśnie odbywa się kompromis pomiędzy identyczną repliką a niezbędną mutacją. Ten kompromis ma zapewnić ową zdolność. Dlatego wirus nie jest zainteresowany zniszczeniem organizmów żywicieli. Chce je osłabić, żeby nie mogły się bronić, ale w jego interesie jest trwanie i rozmnażanie się również żywicieli.

Żywicielem może być wszystko – człowiek, zwierzę, roślina, grzyb, a nawet bakteria. Zwykle jest nim jeden rodzaj stworzenia, ale zdarza się, że wirus przeskakuje między gatunkami. Musi mieć do tego odpowiednio „długie ręce". Czyli między gatunkami przeskakuje na ogół jakiś rodzaj mutanta. Jeżeli dzisiejszy kornawirus jest rzeczywiście odzwierzęcy, to być może właśnie jest takim mutantem. Poszerzył sobie żywicieli o rodzaj ludzki. Początkowo ludzi zaskoczył. Trafił idealnie tam, gdzie jest najgorszy obieg dotyczących go informacji, ale za to najwięcej ludzi. Być może wcześniej też gdzieś skutecznie trafiał, ale nie miał go kto przenosić albo ludzie szybko reagowali na chorobę, której nawet nie znali. Po wielu miesiącach wirus „zorientował się", że ludzie uczą się go zabijać, ograniczają jego rozprzestrzenianie. Nauczył się omijać te ograniczenia. „Wyhodował" sobie „ręce", które chwytają każdą okazję. Przez to stał się jeszcze bardziej zaraźliwy. Gdyby był mądrzejszy, atakowałby w pierwszej kolejności producentów maseczek, lekarzy i twórców szczepionek. Na razie aż tak mądry nie jest. Chętnie korzysta z głupszych ludzi, którzy nie przejmują się jego istnieniem. Ale i to jest bardzo zgrubne, bo jednak wieloma jednostkowymi zakażeniami rządzi przypadek.

W gruncie rzeczy działanie tego typu jest niekorzystne dla wirusa. Powinien zarażać najpierw mądrzejszych, którzy bardziej ograniczają jego namnażanie. Tego jednak na razie nie umie. Dostosuje się jednak szybko. Wielokrotnie zakażający się (mniej rozsądni) zaczną słabiej chorować. Gdy dopadnie tych, którzy mocnej się chronili, szybciej ich zabije. Wtedy będzie mniej rozsądnych, a więcej nierozsądnych. To mu ułatwi działanie. Trwa wyścig z czasem. Na razie wirus niszczy słabszych. Wkrótce jednak skupi się na tych dla niego „niebezpiecznych". Ma coraz mniej czasu, bo niebezpieczni dla niego ludzie wynaleźli szczepionkę, której na razie nie potrafi ominąć. Będzie próbował, liczy na to, że głupsi dadzą mu trochę czasu. ■

eprasa.pl f4e64891b7



Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i kablowej IPTV z Pakietem M oraz internetowej z Pakietem Komfortowym przy umowach ze zobowiązaniem od 30 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz usług dodatkowych na czas nieokreślony oraz opłat za internet. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Mroczne materie II" © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone. Serie A TIM w ELEVEN SPORTS | Zdjęcia: Getty Images.
Oferta ważna na dzień 28.12.2020 r.

eprasa.pl/d6548117